

Warren Adler

Wojna Państwa Rose

Rozdział 1

Krople deszczu uderzały miarowo o drewnianą fasadę domu i rozpryskiwały się o szyby. Tak jak wszyscy inni, znajdujący się w tym teatralnym, pełnym składanych foteli wnętrzu, licytator spojrzał posepnie w stronę okien. Może miał nadzieję, że porywana wiatrem woda wybije szyby, kończąc całe to beznadziejne widowisko.

Oliver Rose siedział przy samym przejściu, kilka rzędów od podium, opierając wyciągnięte nogi na zniszczonej podłodze. Nawet połowa miejsc nie była zajęta: w pomieszczeniu znajdowało się co najwyżej trzydzieści osób. Za plecami licytatora leżały porozrzucane – niczym po upadku bomby – przedmioty, będące własnością rodziny Barkerów, których ostatni przedstawiciel żył wystarczająco długo, aby nadać tym śmieciom trochę antycznej wartości.

– ... to autentyczny, bostoński fotel na biegunach – mówił monotonicznie licytator. Wskazawszy na mocno sfatygowany mebel w stylu Windsor, przeszedł na falset, nadając głosowi proszącą intonację. – Wykonany przez firmę „Hitchcock, Alford and Company”, producentów najwspanialszych krzeseł w Ameryce.

– Zrezygnowany toczył ponurym spojrzeniem po milczącej sali. – Niech mnie licho, to prawdziwy antyk.

– Dziesięć dolców – zaskrzeczał głos, należący do starszej pani siedzącej w pierwszym rzędzie. Była starannie okutana w brudny irlandzki sweter.

– Dziesięć dolców? – zaprotestował licytator.

– Ależ proszę tylko spojrzeć na te stożkowate pręty w oparciu, ozdobiony spiralą górny brzeg, pięknie ukształtowane siedzenie...

– No dobra, dam dwanaście i pół – rzuciła z rozdrażnieniem kobieta. Kupiła już niemal wszystkie z oferowanych mebli i Oliverowi wydawało się, że cała aukcja odbywa się wyłącznie dla niej.

– Śmierząca sprawa – zasyczał siedzący obok niego jankes o żylastej twarzy. – Wszystko przez ten pieprzony deszcz. Ona ma sklepik z antykami w Provincetown. Kupi ten bujak za grosze, a potem odsprzeda turystom za dziesięć razy tyle.

Oliver pokiwał głową. Wiedział, że deszcz jest również jego sprzymierzeńcem. Większość turystów, którzy przyjeżdżali tłumnie do Chatham w czwartki i piątki, aby spędzić przyjemny weekend na plaży, odjechała jeszcze rano. W „Breaking Wave”, gdzie Oliver pracował sezonowo jako kelner, sala restauracyjna w porze niedzielnego lunchu wyglądała tak, jakby sezon dawno się skończył. Brak też było napiwków, co akurat idealnie pasowało do jego – wywołanego deszczem – nastroju.

Pogoda na Cape Cod w najlepszym wypadku była niepewna. Oliver zdążył się już do tego przyzwyczaić. Przez cały okres swojej nauki w Harvardzie pracował latem w „Breaking Wave” i w dni, kiedy nie mógł chodzić na plażę, z lubością wybierał się na aukcje antyków. Szczególnie lubił te, które odbywały się w starych domach, kiedy ich właściciele zmarli. Rzadko mógł sobie pozwolić na jakiś zakup, chociaż niekiedy udawało mu się okazyjnie zdobyć

figurkę ze Staffordshire.

Wychował się pod stałą obserwacją czterech kobiecych figurek z perłowej masy ceramicznej, rodem ze Staffordshire. Przedstawiały cztery pory roku, ubrane w białe, wydekoltowane suknie. Patrzyły spoza szybek stojącego w jadalni kredensu z chińską porcelaną i były pamiątką ojca z wojennej służby w Anglii. Kiedyś Oliver uszkodził Wiosnę, gdy potajemnie wyjął ją z kredensu, aby w przyływie napięcia okresu dorastania dotknąć jej małych piersi. Figurka wypadła mu z ręki i uderzając o podłogę została pozbawiona głowy. Oliver – „złota rączka” – skleił postać tak doskonale, że matka nigdy nie dowiedziała się o tym wypadku.

Teraz, jakby z poczucia winy, zgromadził swoją własną niewielką kolekcję: kilka często spotykanych figurek śpiących dzieci oraz wszędobylskiego marynarza z żoną i dzieckiem. Przeczytał trochę fachowej literatury i chociaż jego zbiory były raczej mało wartościowe, przypuszczał, że pewnego dnia okaże się, że są w cenie.

Licytator sięgnął po figurkę boksera i uniósł ją wysoko ponad głowę. Włożywszy na nos okulary, odczytał z kartki:

– Porcelana ze Staffordshire. Bokser Cribb. Był mistrzem Anglii w 1809 roku...

Oliver zeszytniał w napięciu. „Ten kretyn rozbija parę”, pomyślał przerażony jego ignorancją. Cribb był biały, a drugi z bokserów – Molineaux – czarny, były niewolnik, który dwukrotnie występował przeciwko Cribbowi i dwukrotnie przegrał. Obydwaj bokserzy zostali uwiecznieni w formie licznych karykatur na papierze i zastawach stołowych oraz w postaci figurek, takich jak te tutaj. Zawsze przedstawiano ich

razem, jak stoją naprzeciw siebie z uniesionymi do walki pięściami.

– Piętnaście dolców – zawołała kobieta z pierwszego rzędu.

Licytator spojrzął na figurkę i wzruszył ramionami. Nie było to dzieło sztuki. Zresztą Oliver też o tym wiedział. Zwykła pamiątka, pierwszy raz sprzedana za jakieś dwa pensy przez jej twórcę – anonimowego garncarza z zapomnianej uliczki. Licytator obrzucił widownię pogardliwym spojrzeniem. Najwyraźniej starał się przyspieszyć sprzedaż.

– Mam piętnaście – zaskrzeczał. – Piętnaście dolarów. Czy usłyszcie szesnaście?

Oliver podniósł rękę. Licytator uśmiechnął się krzywo, zapewne z powodu młodego wieku chłopaka.

– Jest szesnaście – odezwał się z nutką optymizmu.

Dama w brudnym irlandzkim swetrze odwróciła się.

Jej twarz wyglądała jak źle wyrobione, surowe ciasto. Zaczerwieniony nos zdradzał oznaki lekkiego kataru.

– Siedemnaście – zagdakała.

– Mam już siedemnaście dolarów – rzekł licytator i przeniósł wzrok na Olivera.

Odchrząkując Oliver uniósł osiem palców. Kobieta poruszyła się zirytowana na swoim miejscu. Sięgnąwszy do kieszeni, nerwowym ruchem wyjął pieniądze. Miał trzydzieści siedem dolarów, wszystko z napiwków otrzymanych podczas ostatniego weekendu. Gdyby kupił Cribba, chciałby mieć jeszcze dość pieniędzy na Molineaux.

– Dziewiętnaście – zahuczała starsza pani. Gwałtowne

uderzenie wiatru rozbiło o szyby kolejną falę deszczowej wody. Licytator nie zwrócił na to żadnej uwagi, koncentrując się na aukcji. Serce Olivera zabiło mocniej. „Dziwka”, mruknął przez zęby.

– Dwadzieścia! – zawołał.

– Idiota – odpaliła kobieta. Odwróciła się ponownie, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem.

– Mam dwadzieścia dolarów. Dwadzieścia po raz pierwszy. – Na ustach licytatora pojawił się ledwo widoczny uśmiezek satysfakcji, gdy przeniósł wzrok na kobietę w pierwszym rzędzie. Uniósł młotek. – Dwadzieścia po raz drugi. – Oliver wstrzymał oddech. Rozległo się uderzenie w stół. – Sprzedane.

– Do licha – wymamrotał Oliver. Licytacja rozbudziła drzemiącą w nim energię. Poczul przyjemną satysfakcję z odniesionego zwycięstwa.

– Hej, pokonałeś to stare krówsko – powiedział przez nos siedzący obok jankes.

Kilka chwil później pod młotek poszła czarna figurka i Oliver poczul ssanie w żołądku. „To jest para”, pomyślał, utwierdzając się w powziętym postanowieniu. Odliczył pieniądze, które musiał zapłacić za Cribba, i wetknął je do kieszeni, po czym zaczął liczyć pozostałe mu w dłoni banknoty. Miał jeszcze tylko siedemnaście dolarów.

– Oto jeszcze jeden bokser rodem ze Staffordshire. Molineaux, były niewolnik, który walczył na pięści w Anglii na początku dziewiętnastego wieku.

– Dziesięć dolców – zawołała dama w irlandzkim swetrze. Nie odwróciła się, żeby spojrzeć do tyłu.

– Jedenaście! – wykrzyknął Oliver. „Błagam... ”, dodał w myślach, ogarnięty radosnym podnieceniem. Czuł, że oładnęła nim determinacja, nad którą nie mógł już zapanować.

Jednocześnie czynił sobie wyrzuty, gdyż w ten sposób pozbywał się wszystkich swoich pieniędzy.

– Dwanaście – zaszcebiotał czyjś głos za jego plecami.

Zaskoczony, odwrócił się gwałtownie. Dwa rzędy za nim siedziała, uśmiechając się sztucznie, młoda dziewczyna. Spod jej marynarskiej czapeczki spływały długie włosy kasztanowej barwy.

Okrągłą jak jabłuszko twarz zdobił rumieniec.

– Cholera – wycedził przez zęby Oliver, gdy licytator odpowiedział:

– Jest dwanaście.

– Dwanaście pięćdziesiąt – zawołała bez wahania dziewczyna.

„Czy oni nie zdają sobie sprawy, że to jest para?” szepnął do siebie Oliver. Czuł się tak, jakby przebieg licytacji stanowił akt zemsty. Uniósł pięść, w której ścisnął przepocone banknoty.

– Mam trzynaście dolarów – podjął głośno licytator, patrząc prosto na dziewczynę. „Ona się waha”, pomyślał Oliver. – Czy dostanę trzynaście pięćdziesiąt... ? Jest pięćdziesiąt, a więc trzynaście pięćdziesiąt.

Oliver był pewien, że licytator bawił się nimi, i rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie, po czym odwrócił się do dziewczyny i popatrzył na nią z wyrzutem.

– Czternaście – warknął przez zaciśnięte gardło.

Ponownie poczuł ssanie w żołądku. „Cholerna mała” – pomyślał zirytowany. Rozbijanie tej pary było nieporozumieniem.

Licytator przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Jest piętnaście! – zawołał rozgrzany ciekawym przebiegiem aukcji. Zapomniał już o uderzających w szyby strugach ulewy. Publiczność się ożywiła.

– Szesnaście – zachrypiął Oliver.

– Siedemnaście – odpowiedziała natychmiast dziewczyna. Jej głos wybił się ponad ogólny szmer rozmów.

– Przecież to jest para, do cholery – krzyknął zdenerwowany Oliver kręcąc głową. Otworzył dłoń i rozwinął banknoty, aby sprawdzić ich nominały. Razem siedemnaście dolarów. Ani centa więcej.

– Mam siedemnaście dolarów – powiedział licytator. Patrzył wyzywająco na Olivera.

– Osiemnaście! – wykrzyknął Oliver zdławionym głosem.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho, nawet odgłos ulewy powoli zamierał. Wiedząc, że nie ma więcej pieniędzy, czuł się jak kierowana przez kogoś marionetka. Łapczywie nabierał powietrza. Oddychał szybko.

– Dziewiętnaście – odparła dziewczyna.

– Dwadzieścia – strzelił bez namysłu.

Przez chwilę zastanawiała się, a on czuł narastający ucisk w gardle. Spojrzał na nią i ich oczy spotkały się. Bez trudu odczytał w nich silną determinację.

– Dwadzieścia jeden – ucięła.

„W porządku, może i dobrze się stało – zdecydował w myślach i pokiwał głową. – Twarda mała suka”.

– Dwadzieścia jeden po raz pierwszy... – licytator zawiesił głos patrząc na niego.

Oliver poczuł wzmożone bicie serca. „Jestem tchórzem”, powiedział sobie, pogrążony w poniżeniu.

– Po raz drugi... – Licytator wzruszył ramionami i uderzył młotkiem w stół. – Sprzedane.

Przez resztę aukcji Oliver siedział zamknięty w sobie, jakby wystraszony. Do licha, mógł przecież pożyczyć od kogoś pieniędzy. Tylko po co? W jakim celu? Do zakończenia aukcji uspokoił się i kiedy poszedł, żeby zapłacić i odebrać swoją figurkę, stanął przed dziewczyną.

– To jest para – powiedział. Musiał chyba wpatrywać się w statuetkę chciwym wzrokiem, bo dziewczyna przyciągnęła ją w swoją stronę. – Oni stanowią jedną całość.

– Ale nie zostali sprzedani w ten sposób – odparła patrząc na niego karcąco. Miała duże, szeroko osadzone zielone oczy.

– On nie wiedział, co robi.

– Ta figurka po prostu podobała mi się.

Przeszli z sali do zatłoczonego przedsionka, w którym ludzie gorączkowo otwierali parasole, przygotowując się do wyjścia na zewnątrz, gdzie szalał miotany wichrem deszcz.

– Miałem tylko siedemnaście dolarów. Specjalnie podbiłem cenę. – Mówiąc to czuł się trochę głupio, ale i doświadczył nieco mściwej satysfakcji. – Dałem się ponieść nerwom – dodał, aby pokryć swoją małostkowość.

– Ja też. – odparła. – Taka już jestem.

– Zbyt uparta.

– Mój ojciec mówi: wytrwała. – Uśmiechnęła się

odsłaniając białe, równe zęby. To sprawiło, że złość powoli zaczęła go odchodzić.

– A gdybym tak podbił do stu dolarów?

– Obawiałam się, że możesz to zrobić.

– I co? Przebiłabyś mnie?

– Aż boję się o tym myśleć.

Odwzajemnił jej uśmiech. Razem podeszli do drzwi.

– Dlaczego chciałaś ją mieć? – spytał.

Myślała chwilę, jakby onieśmielona. Spojrzał na nią i nagle ujrzał młodą, zalotną kobietę.

– To dla jednej z dziewcząt w „Chatham Arms”. W lecie pracuję tam jako pomocnica kucharza. Jej brat jest w „Golden Gloves”, a ona sama jest pokojówką. Pomyślałam, że zamiast napiwku mogłabym dać jej właśnie tę figurkę.

Wywarło to na nim pewne wrażenie i poczuł się winny.

– Jednak szkoda rozbijać taką parę. Nawet w szlachetnym celu.

Rozłożyła parasolkę i wyszła na deszcz. Przycupnął obok niej, chociaż żadnemu z nich nie wyszło to na dobre.

– Nie masz chyba nic przeciwko temu?

– Jako zwycięzcy ni wyrozumiale traktuję pokonanych.

– A ze mnie jest taki przegrany, który nawet nie potrafi honorowo przegrywać.

„Chatham Arms” znajdowało się na drugim końcu miasta. Ruszyli główną ulicą. Gdy kurczowo trzymali parasolkę, opierającą się podmuchom wiatru, położył rękę na jej dłoni. Deszcz zacinał niemal zupełnie z boku, tak że w końcu poszukali schronienia w zacisznej niszy drzwi do niezbędnego sklepu z zabawkami.

Zdążyli już przedstawić się sobie. Nazywała się Barbara Knowles, była studentką Boston University. Początkowo zamierzała spędzić wakacje jako ochotniczka w kampanii Jacka Kennedy'ego, aby pomóc mu wygrać w rywalizacji z Nixonem, ale ostatecznie się na to nie zdecydowała.

– Poza tym lubię gotowanie, a zwłaszcza wypieki. To duża frajda. I niezłe pieniądze.

– O ile ich nie wydasz. – Wskazał na figurkę zawiniętą w przemoczoną gazetę.

– I wzajemnie – roześmiała się. Zauważył, że jej oczy w świetle późnego popołudnia zmieniały barwę od zieleni do brązu.

– Po prostu lubię stare przedmioty. Nadejdzie dzień, kiedy będą warte więcej od pieniędzy. Tak jak te figurki.

– Nie można ich zjeść.

– Niestety. Tak, czy inaczej, muszę opierać się pokusie. Lepiej będzie trzymać się z dala od aukcji.

Prawo na Harvardzie drogo kosztuje. Zaczynam jesienią. Mam umowę ze starymi, że oni opłacają studia, a ja pokrywam wydatki na życie.

Stali blisko siebie w niewielkim wejściu do sklepu. Kiedy mówiła, czuł na policzku ciepło jej oddechu. Miał świadomość, że między nimi powstało emocjonalne napięcie, coś pięknego i tajemniczego. Widział, że ona czuje to samo.

– Nie oddawaj go – poprosił. W końcu ta figurka była symbolem ich spotkania. – Przynajmniej na razie.

– Jest mój – stwierdziła sarkastycznie, wydymając wargi. Uniosła statuetkę ponad głowę, niczym maczugę.

– Tylko razem są coś warci – powiedział. – To

nierozłączna para.

– Pokonałam cię w uczciwej walce – odrzekła.

– Ale bitwa jeszcze się nie skończyła – wyszeptał Oliver. Ciekaw był, czy jego słowa dotarły do niej wśród szumu ulewy.

– Jeszcze się nie skończyła – zgodziła się z uśmiechem.

A więc jednak. Usłyszała go.

Rozdział 2

Przez mansardowe okno swojego pokoju na drugim piętrze Anna zobaczyła, jak Oliver otwiera boczne drzwi garażu. Trzymając w ręce skrzynkę z narzędziami, ruszył wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką w kierunku domu. Czerwone promienie światła zachodzącego wrześniego słońca odbijały się od narzędzi starannie poukładanych w pudełku. Oślepiąca nagłym refleksem, z bijącym sercem wycofała się w głąb pokoju.

Starając się utrzymać poza zasięgiem jego wzroku obserwowała, jak stanął i podniósł gałązkę bluszczu, która spadła z wysokiego cedrowego płotu, przesłaniającego rząd młodych tui. Oddzielały one ogród za domem od ogrodu sąsiada.

Rzadko mogła przyglądać mu się tak dokładnie, bez kłępującej jej ruchy obezwładniającej nieśmiałości. Zresztą była pewna, że Oliver Rose uważał ją za wiejską prostytutkę z Johnstown w stanie Pensylwania. To znaczy – uważałby ją za taką, gdyby kiedykolwiek poświęcił jej chwilę uwagi.

W beżowych sztruksach i grubej niebieskiej koszuli wyglądał dziwnie nie na miejscu, jak na człowieka, który większość wolnego czasu spędzał pracując fizycznie. Nawet w swoim piwnicznym warsztacie, gdzie w idealnym porządku wisiały narzędzia, leżały nakrętki, śruby, gwoździe i wkręty w niewielkich pojemnikach ze szkła, gdzie stała piła tarczowa, tokarka i mnóstwo innych elektrycznych urządzeń – więc nawet tam nie mógł wyzbyć się charakterystycznego

wyglądu waszyngtońskiego prawnika. Albo też, jak mawiał o sobie, „zwykłego zapracowanego adwokata”.

Coraz bardziej pomarańczowe światło odbijało się od jego falujących, przedwcześnie pokrytych srebrem włosów. Były długie, wbrew panującej w jego kręgach konwencji. Lekko szpakowate gęste wąsy i kruczoczarne brwi nadawały mu wygląd zanglicyzowanego Omara Sharifa. Podobieństwo było jednak tylko powierzchowne i znikало, gdy uśmiechał się szeroko, a błysk w jego niebieskich oczach zdradzał irlandzkie pochodzenie.

Gdyby Oliver domyślał się, jakie wzbudza w niej zainteresowanie, oczywiście jego próżność zostałaby mile połączona, lecz zarazem byłby przerażony. To zauroczenie spadło na nią niespodzianie, niczym wynurzający się z ciemności złoczyńcy, którzy – jak ją ostrzeżono – włóczą się po ulicach Waszyngtonu. Naturalnie nie tutaj, w dzielnicy Kalorama, gdzie było prawie tyle ambasad i przedstawicielstw, co prywatnych rezydencji, i z tej przyczyny ulicami często krążyły wzmocnione patrole policji. Obcy jej snobizm nowego otoczenia rozśmieszał ją. Odwracając wzrok od okna pomyślała, że ma duszę zbuntowanej nastolatki, co raczej nie przystawało do dwudziestojednoletniej kobiety. Pomimo ciepłego przyjęcia w domu Rose'ów, była jedynie opiekunką do dzieci. Zdawała sobie sprawę, że takie stwierdzenie było w stosunku do nich trochę nie fair. Bardzo się starali, żeby czuła się jak w rodzinie. Dostała własny pokój i pełne utrzymanie za bliżej nieokreśloną „pomoc w domu”, co umożliwiała jej kontynuowanie studiów magisterskich na wydziale historii

Georgetown University.

Rozejrzawszy się po pokoju, nie mogła się powstrzymać i nagle roześmiała się wesoło. Przypomniała sobie ogłoszenie w „Washington Post”, oferujące „pokój i utrzymanie”, ogłoszenie, które tak zupełnie ją zmyliło.

Barbara opisała każdy mebel ze skrupulatnością muzealnego przewodnika. Anna zupełnie się nie znała na antykach, jednak życie wśród tych namacalnych relikwów historii rozbudziło w niej ciekawość i często zastanawiała się, jak wśród tych przedmiotów żyli niegdyś inni ludzie.

W jednym rogu znajdowało się łóżko z około 1840 roku a obok niego intarsjowany mahoniowy stół w stylu Empire. Na jego blacie stała lampa typu Art Nouveau od Tiffany'ego oraz porcelanowa figurka ze Staffordshire przedstawiająca dójkę, niegdyś zajmująca miejsce pośród kolekcji na dole. Przy ścianie stały jedna na drugiej dwie szafki ozdobione festonami o zawitych kształtach, wykonanymi z pozłocanego brązu, a także francuska biblioteczka z oszklonymi drzwiczkami. Obok okna postawiono składany angielski sekretarzyk, a na nim sztormową lampę.

– Za każdym razem, gdy znajdziemy się w pobliżu jakiejś aukcji antyków, nie możemy się powstrzymać, żeby tam nie wejść – wyjaśniła kiedyś Barbara. – Jesteśmy nałogowcami, jak narkomani. Nawet poznaliśmy się na aukcji. A w domu nie ma już gdzie umieszczać tych rzeczy.

– To fantastyczne – odpowiedziała Anna.

– Zajmujemy się tym od wielu lat. Mówi się, że kolekcjonerzy nigdy nie przestają zbierać. Może obawiamy się... – urwała, jakby przestraszona nagłą poufałością. – W

każdym razie – zaszcebiotała odzyskując pewność siebie – możesz tu obcować z wszelkimi duchami przeszłości.

– Z radością – odparła Anna. – Historia to moja wielka miłość.

Lecz jeśli „pokój” był zachwycający, to „utrzymanie” przekraczało jej najśmielsze oczekiwania. Anna była nieustannie zafascynowana kuchnią Rose’ów.

Pomieszczenie to miało kształt prostokąta i wyłożoną dywanem podłogę. Były tam francuskie kredensy z orzechowego drewna oraz ozdobione stiukami ściany, tworzące klimat francuskiej wiejskiej kuchni. W jedna ze ścian były wbudowane dwa podwójne zlewy, dwa podwójne piekarniki – jeden gazowy i jeden elektryczny, olbrzymia lodówka posiadająca zewnętrzny kranik z zimną wodą, dopasowana do niej zamrażarka oraz zmywarka do naczyń. W ścianach tkwiły również rzędy otwartych półek, pełnych książek kucharskich, butelek, przypraw, puszek z różną zawartością, garnków, rondli, talerzy, dzbanków, tac, salatek różnych kształtów i wielkości. Pod blatami były duże szuflady ze sztućcami. W rogach wisiały na hakach miedziane garnki i patelnie, a na blatach stały jeszcze: kuchenka mikrofalowa, dwa miksery, maszynka do kawy, opiekacz do tostów i podgrzewacz – zestaw, który na oczach Anny rozrastał się, co stwierdzała podczas każdej bytności w kuchni.

Na środku znajdowała się duża, prostokątna „wyspa”, nad którą wisiał wielkich rozmiarów okap. Był tam jeszcze jeden zlew z nierdzewnej stali, dwie czterofajerkowe kuchenki – jedna gazowa, druga elektryczna – cały arsenał przeróżnych

utensyliów: cedzaków, chochli, szpatuł, rondli oraz garnków zawieszonych na okapie. Oprócz tego drewniany stojak na noże, szeroka płyta z marmuru wbudowana w ogromny drewniany blat, służący za kuchenną deskę, i elektryczny robot kuchenny z mnóstwem pojemników, końcówek i mieszadeł.

Wspominając zepsutą i głośno warczącą lodówkę swojej matki, opiekacz gazowy, którego płomyk przeważnie nie chciał się palić, wyszczerbione i poplamione talerze zastawy stołowej, wspominając to wszystko, Anna miała wrażenie, że wkracza do krainy fantazji i baśni.

– Trochę gotuję – powiedziała ongiś Barbara. Stwierdzenie to było już wyświechtanym zwrotem i oczywistym niedomówieniem.

Anna szła z nią do wnęki, która służyła za spiżarnię. Przechowywali tam również wino i w pomieszczeniu rozlegał się cichy szmer agregatu utrzymującego stałą temperaturę.

– Razem to projektowaliśmy i budowaliśmy – wyjaśniła Barbara zdumionej Annie. Oliver ma złote ręce. A ja mam ukończony kurs hydraulika.

Anna przypomniała sobie, jak bardzo starała się wyrzec na Barbarze korzystne wrażenie. Tak bardzo, jak Barbara usiłowała być przymilna. Tak, ich pierwsze spotkanie było niezapomnianym wydarzeniem, mimo że ograniczyło się do zwiedzenia domu i wysłuchania przez Annę mnóstwa nowych informacji, których i tak zrazu nie była w stanie uporządkować ani zapamiętać.

Szczególną uwagę poświęciła Barbara opisowi sprzętów w jadalni.

– Duncan Phyfe – powiedziała uderzając knykciami o błyszczący blat stołu. – Krzesła w stylu królowej Anny. A to rokokowe straszdyło jest moim oczkiem w głowie – wskazała bogato zdobiony kandelabr na kilkanaście świec. – Dekadencja, nie sądzisz?

– Zapewne jego twórcy nie wiedzieli, że przedmioty przetrwają dłużej niż istnienia ludzkie – odparła Anna, postukując dla lepszego efektu w marmurowy blat kredensu.

W czasie tego pierwszego spotkania pełne kształty Barbary podkreślały obcisłe džinsy i koszulka z napisem „HAUSFRAU”, rozciągniętym na jej obfitym biuście. Ta kombinacja robiła wrażenie. Spostrzegawcza Anna – córka górnika – zauważyła, że Barbara ma piękne słowiańskie rysy: głęboko osadzone piwne oczy, uważnie patrzące sponad krągłych jak jabłuszka policzków i spod szerokiego czoła. Jej kasztanowe włosy spływały niczym wodospad po obu stronach głowy, niemal sięgając szerokich, solidnych ramion, wznoszących się nad jej wspaniałymi piersiami.

– Zamierzam zająć się tym poważnie – stwierdziła Barbara, jakby uznała za konieczne wyjaśnienie, skąd wzięło się niezwykle wyposażenie kuchni. Uśmiechnęła się szeroko i szczerze, pozwalając sobie na chwilkę zadumy. – W końcu mam wszystkie potrzebne urządzenia i trochę talentu. – Jej uwaga odwróciła się nagle od Anny, jakby w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze, kogo należałoby o tym przekonać. Kiedy ponownie spojrzała na Annę, wyjaśniła, że właśnie dostarczyła ambasadzie z sąsiedztwa *cassoulet*, a jej *pate* zyskiwało na rynku coraz większą renomę.

– To dopiero skromne początki – powiedziała.

– Ale właśnie dlatego potrzebuję teraz pomocy do dzieci. Chodzi o ogólną opiekę, trochę sprzątanía, może trochę pracy w kuchni. Ale żadnej ciężkiej pracy. To robi nasza dochodząca gosposia. Dzieciaki potrzebują namiastki matczynego ciepła, gdy ja jestem zajęta w kuchni. – Roześmiała się nerwowo, co trochę uspokoiło Annę, która uświadomiła sobie, że nie tylko ona jest pod wrażeniem nowej sytuacji.

Anna przypomniała sobie, że rozmawiając Barbara wzięła na ręce Mercedes, wysterylizowaną syjamską kotkę, która leżała na jednej z półek, wciśnięta między puszkę Crisco i pudełko z brązowym cukrem. Kotka wtuliła się w jej włosy i po krótkim eskimoskim pocałunku ze swoją panią zeskoczyła na podłogę, następnie popędziła do sąsiedniego pomieszczenia – skąpanej w słońcu minicieplarni. Było tam wiele zielonych roślin.

– Wkrótce spotkasz jeszcze olbrzymiego sznaucera, który głośno szczeka, ale nikomu nie robi krzywdy. Całymi dniami obsługuje mieszkające w sąsiedztwie suki. Słucha się tylko Olivera, a ten twierdzi, że to z powodu ich wspólnych zainteresowań. – Znowu się uśmiechnęła i zachichotała jak mała dziewczynka.

Uwaga na temat męskich instynktów wytworzyła między nimi kobiecą więź, która od tamtej pory stale się umacniała. Anna nabierała pewności siebie. Ta wymiana zdań utwierdziła ją w opinii, jaką wyrobiła sobie na samym początku.

Barbara wspomniała przelotnie, że sznaucer nazywa się Benny, lecz dopiero Ewa – ich szesnastoletnia córka –

wyjaśniła Annie niezbyt subtelny związek między imionami zwierząt.

– Mercedes-Benz. Oczywiście. Powinam była domyślić się od razu. – Anna naprawdę poczuła się zażenowana.

– Nie masz się czego wstydzić, Anno. Naprawdę. To taka nasza rodzinna tajemnica. Pomysł taty.

Ich pierwsze spotkania charakteryzowała niewielka ilość wymienianych słów, lecz Anna przyjęła to ze zrozumieniem. Przecież rola opiekunki szesnastoletniej dziewczyny z samej definicji była nieporozumieniem. Pierwszym ruchem Ewy było zastosowanie wobec Anny metody wstrząsowej.

– Prochy trzymam tutaj, za Louisa May Alcott – wyjaśniła prowadząc Annę do swojego pokoju, którego styl był widocznym dowodem, że Ewa dawała zdecydowany odpór powodzi antyków, zalewającej cały dom. Wszystko, z wyjątkiem różowych regałów i plakatu Andy Gibba, pokrywały bezładnie powieszzone grafiki o kwiecistych wzorach. We wnętrzu szafy był jeden wielki bałagan. Szkolne książki leżały niedbale rozrzucone pod łóżkiem.

– Biorę pigułki antykoncepcyjne – powiedziała, obserwując reakcję Anny, której twarz pozostała nieruchoma. Ona sama nie brała pigułek z dwóch przyczyn: były szkodliwe dla zdrowia, a poza tym potrzebowałyby ich bardzo rzadko. Nie była zaszokowana, chociaż przyszło jej do głowy, że teraz inicjacja w tych sprawach następuje u młodzieży znacznie wcześniej.

Aby przypieczętować swój buntowniczy wizerunek, Ewa poczęstowała ją papierosem, po czym sama zapaliła i zaciągnęła się mocno.

– W dupie mam raka płuc – wzruszyła ramionami. Anna zorientowała się, że to tylko poza. Ewa nie była zepsutą smarkulą. Po prostu czuła się zagubiona, podobnie jak większość nastolatków... i dorosłych.

– Nie palę – odparła wtedy Anna. – Ale żuję.

Chichot Ewy, taki jak jej matki, rozładował atmosferę.

– Coś ty? – wykrzyknęła zrzucając maskę dorosłości. Teraz była naprawdę sobą: szesnastoletnią dziewczyną.

Anna zauważyła, że Ewa jest słaba i trochę niezdarna. Brakowało jej jeszcze pełnych kształtów, lecz było już widać, że odziedziczyła po matce słowiańską zmysłowość. Mając błękitne oczy ojca i piękne włosy matki, już niedługo stanie się piękną kobietą.

Anna instynktownie wiedziała: aby zdobyć Ewę, będzie musiała okazać jej całkowite zaufanie. Czuła niesmak, że z takim wyrachowaniem stara się szukać po temu odpowiedniej sposobności. Jednakże pozyskanie łask Ewy miało olbrzymie znaczenie, zwłaszcza ze względów praktycznych. Praca w domu Rose'ów była prawdziwym darem niebios. Jej utrata, z jakiegokolwiek powodu, oznaczałaby osobistą i finansową klęskę.

Okazja nadarzyła się, gdy Ewa oblała matematykę w Sidwell Friends School – ekskluzywnej prywatnej szkole dla dzieci waszyngtońskiej elity. Ewa bała się powiedzieć o tym rodzicom i wyznała straszną tajemnicę Annie.

– Taki wstyd. Tak bardzo ich zawiodłam – płakała.

Uspokajając ją, Anna zgodziła się podjąć roli pośrednika w przekazaniu wiadomości, co niesło ze sobą pewne ryzyko. Oliver był rozczarowany i zrezygnowany, za to w Barbarze

weszbrała złość.

– Brak odpowiedniego przygotowania to przekleństwo! – warknęła. – Wiem coś o tym.

Anna wówczas już się dowiedziała, że Barbara wyszła za mąż mając dziewiętnaście lat i wtedy też rzuciła studia.

– Obiecałam im, że jeśli oszczędzą ci kazania i kary, to pojedziesz na kurs wakacyjny – oznajmiła z dumą Ewie, która wybuchnęła spazmatycznym płaczem. W pewnym sensie było to zwycięstwo, a z pewnością stanowiło punkt zwrotny w stosunkach między nimi.

– Jeszcze będą ze mnie dumni – powiedziała z determinacją Ewa ściągając usta. Anna odkryła, że w domu panował niewidoczny, choć wyraźnie obecny wśród jego mieszkańców, duch współzawodnictwa. Nie wiedziała, czy to źle, czy dobrze.

Najwyraźniej dało się to zauważyć u dwunastoletniego Josha. Jego największym marzeniem było dostać się do drużyny koszykarzy juniorów Sidwell Friends. Słyszała jak nieustannie, z irytującą regularnością walił piłką w tablicę, którą ojciec przymocował w alejce dojazdowej do ich dużego garażu.

Tak jak siostra, on również stanowił doskonałą mieszaninę rodzicielskich genów: piwne oczy i policzki miał po mamie, między nosem a górną wargą zaś było już zarezerwowane miejsce na gęste ojcowskie wąsy, które wyrosną pod koniec okresu dojrzewania. Włosy miał, niestety, kasztanowe, tak jak Barbara.

Oznaczało to, że być może nie dziedziczy po ojcu falującej, kędzierzawej czupryny. Podobnie jak Ewa nosił na

zębach aparat. Wśród innych rodzinnych dowcipów krążył i ten, że Rose'owie byli spełnieniem marzeń każdego ortodonta.

Pierwsze zetknięcie Anny z Joshem nie wypadło zbyt obiecująco. Nie mogła sobie nic przypomnieć o chłopcach w wieku poprzedzającym dojrzewanie, gdyż chodziła do katolickiej szkoły dla dziewcząt. Dla surowych sióstr, prowadzących ten przybytek nauki, chłopcy, o ile w ogóle istnieli, byli wysłańcami szatana. Josh stanowił jednak dla niej wyzwanie, któremu postanowiła stawić czoło.

Pewnego dnia zobaczyła go, jak siedział pochylony nad piłką u zejścia schodów na drugim piętrze, przed drzwiami jej pokoju. Przyjrzała mu się i zrozumiała, że czekał tam, aby znaleźć się na jej drodze „przypadkowo”. Był wyraźnie pochmurny i zdenerwowany.

– Wyglądasz jakbyś właśnie stracił najlepszego przyjaciela – powiedziała stając nad nim. Mocno obejmował piłkę. Uniósł głowę do góry i zobaczyła, że oczy ma suche, ale drżenie dolnej wargi wyraźnie zdradza stan bliski kompletnego załamania się jego pseudomęskiej odwagi. Przysiadła obok na stopniu, gdzie specjalnie zostawił dla niej miejsce.

– Przeklęty trener – rzucił. Miało to oznaczać, że nie zmieścił się w drużynie. Dla Anny był to już wystarczający sygnał, żeby gwałtownie zaczęła poszukiwać właściwych słów pociechy. Zrządzeniem losu rodzinny dom w Johnstown znajdował się tuż obok szkoły, do której chodzili głównie czarni.

– Macie w zespole Murzynów? – spytała.

Uniósł jeden palec.

– A masz okazję pograć czasem z czarnymi chłopakami?

>

Wzruszył ramionami nie rozumiejąc do czego zmierzała.

– Przejdź się na boisko, gdzie oni grają. Za parę miesięcy będziesz robił w jajo tych ważniaków z drużyny.

Przyjął do wiadomości jej radę. Nadaşany odsunął się, gdy spróbowała ućcisnąć go za ramiona. Dopiero po wielu tygodniach, kiedy nagle strzelił czarnym slangiem, zorientowała się, że zrobił jak mu radziła. Był to strzał na ślepo, pomyślała, ale z całą pewnością przełamał lody między nimi.

* * *

Słońce, ledwo już widoczne przez korony drzew, wkrótce miało skryć się za cedrowym ogrodzeniem, pozostawiając w powietrzu łagodną poświatę i niezmaconą ciszę zapadającego zmierzchu. Z położonej dwa piętra niżej kuchni dochodziły smakowite zapachy. Anna wiedziała, że w piekarniku piecze się właśnie *cassoulet*: skwierczące warstwy gęsiego mięsa, wieprzowiny, baraniny i parówek na podkładzie z fasoli, a wszystko to w sosie zaprawionym suto czosnkiem, tymiankiem, laurowymi liśćmi i innymi wspaniałymi ziołami. Węch mówił jej też, że na marmurowej płycie kuchennego blatu stygł bochenek pulchnego, bananowego chleba. W tym momencie Barbara zapewne mieszała sałatkę z zieleniny i pieczarek i robiła to w dużej drewnianej misie przesiąkniętej od wielokrotnego używania trwałym zapachem

aromatycznych olejków i oliwy. Był też pewnie pokrojony w plastry *pate de campagne* oraz *mousse au chocolat* na deser.

Pod wpływem tych zapachowych wrażeń Anna z uśmiechem pomyślała o znanych jej rodzinnych sekretach Rose'ów. Wielka gala z wystawną kolacją była pomysłem Barbary, aby uczcić wakacyjny sukces Ewy, jakim była dobra ocena z algebry. Przez połowę lata Ewa przedzierała się przez tajniki tej dziedziny matematyki przy znacznej pomocy Anny, która miała świadomość, że wydatnie przyczyniła się do sukcesu podopiecznej.

Oliver też przygotował z tej okazji niespodziankę. Kupił Ewie srebrną hondę, która na razie, w tajemnicy przed wszystkimi, stała w garażu obok jego ukochanego ferrari. Nie jeździł nim często, lecz pieścił go, jakby auto było wymagającym starannej pielęgnacji niemowlęciem.

– Nikomu o tym ani słowa – zobowiązał Annę Oliver. – Cicho sza.

Tego samego ranka Barbara przyszła do Anny, aby podzielić się z nią dwiema niezwykłymi wiadomościami.

– Josh dostał się w końcu do drużyny. Tylko nie mów nic Oliverowi. To niespodzianka. Dowie się dopiero przy kolacji.

– A drugi sekret?

– Właśnie otrzymałam wielkie zamówienie od Pakistańczyków. *Galantine* z kurcząt dla dwudziestu czterech osób. We wtorek wieczorem podejmują kolacją ambasadora Francji. Ale nie mów nic Oliverowi. To również ma być niespodzianka. – Barbara ujęła Annę za ramiona i zajrzała jej głęboko w oczy, jakby szukała w nich lustrzanego odbicia. – Kiedyś naprawdę stworzę wielką i renomowaną firmę

dostarczającą wspaniałości kulinarne. Mocno w to wierzę.

Trochę później, kiedy do pokoju weszła Ewa z kolejną rewelacją, Anna musiała odwrócić się, aby ukryć rozbawienie.

— Może ci się zdawać, że ten wystawny obiad to na cześć moich postępów w nauce, ale ojciec ma w zanadru prawdziwą bombę. Jego firma właśnie pozyskała wielkiego i przebogatego klienta z Nowego Jorku. Tylko nie wygadaj się przed mamą. Ojciec otworzy dziś butelkę wina Chateau Lafite-Rothschild rocznik '59. Robi to tylko przy specjalnych okazjach.

Anna była pewna, że gdyby ktoś powierzył jej tego dnia jeszcze jakąś tajemnicę, nie powstrzymałaby się od śmiechu. Niespodziewanie dla siebie nie czuła się pozostawiona na uboczu. Ona też miała swój mały sekret i przypomniała sobie o nim, gdy mijała Olivera na tylnych schodach. Właśnie wyszedł z sauny, którą sam zbudował w suterenie, łącznie z przylegającym do niej natryskiem. Czasami zbierali się tam całą rodziną. Nie wstydzili się przed sobą nagości, chociaż ze względu na Annę przestali chodzić po domu bez ubrania. Tę kolejną tajemnicę wyznał jej Josh.

Mijając Olivera na schodach szybko odwróciła głowę, gdy ujrzała widok, od którego przeszedł ją dreszcz. Włosy mężczyzny były poskręcane od wilgoci, a w zwięzającym się do pępka wycięciu grubego szlafroka zobaczyła kruczoczarny meszek na jego torsie. Nie śmiała spojrzeć niżej, ale nie mogła zignorować zapachu jego skóry, podniecającego zapachu męskości. Ta bliskość w połączeniu z jego niekompletnym strojem była dla niej silnym przeżyciem.

– Już niedługo – powiedział mrugając do niej znacząco, kiedy się mijali. – Przy kolacji dam Ewie kluczyki do hondy.

W kuchni Barbara miała na sobie długą sukienkę z fioletowego welwetu, a na szyi dobrany pojedynczy sznur pereł. Tym razem nawet Ewa zrezygnowała z dzinsów i włożyła bardziej pasujący do okoliczności strój uczniowski: plisowaną spódnicę, bluzkę i pantofelki. Anna – jak zwykle – czuła się nieodpowiednio ubrana, mimo że nosiła jeden z luźnych kostiumów Barbary, o niebo lepszy od jej polyestrowego stroju od J. C. Penny'ego, który miała na sobie pierwszego dnia.

Jakby za milczącym przyzwoleniem, Anna wzięła stygnący bochenek chleba bananowego i ruszyła ze wszystkimi do biblioteki, która była sercem ich rodzinnego gniazda. Przeszli przez hall o marmurowej podłodze, nad którą błyszczał wielki kryształowy żyrandol. Zwisiał podczepiony do sklepienia domu dwie kondygnacje wyżej, zawieszony na sznurze biegnącym przez środek spirali utworzonej przez schody i ich mosiężne poręcze. W rogu hallu rozległo się siedem uderzeń wysokiego zegara z mahoniowego drewna. Na jego tarczy widniały rzymskie cyfry oznaczające godziny.

W bibliotece Oliver zbudował półki z orzecha, na których stały rzędy oprawionych w skórę książek. Przy pustej ścianie stała bogato rzeźbiona paleta na broń z dziewiętnastego wieku, wysoka na dwa metry siedemdziesiąt centymetrów, którą Oliver wyposażył w półki. Stały na nich butelki rozmaitych trunków. Z kolei na kominku znajdowała się kolekcja porcelany ze Staffordshire. W całym domu było

ponad pięćdziesiąt figurek, z których Oliver był taki dumny: dójki, marynarze, Napoleonowie, kilku Garibaldich, Czerwone Kapturki i zwykli wiejscy chłopcy o różowych policzkach.

Na stoliku w hallu widnieli legendarni już Cribb i Molineaux, ustawieni naprzeciwko siebie, wiecznie gotowi do walki. Historia poznania się Rose'ów. Dyżurny temat rozmów w tym właśnie miejscu.

Nad kominkiem w bibliotece wisiał duży obraz: angielski olej przedstawiający scenę z polowania, idealnie pasujący do kompletu – skórzanej sofy z Chesterfield i takichże foteli.

Barbara przyznała, że biblioteka była trochę jak lamus – mieszanina różnych stylów – ale idealnie nadawała się na niedzielne kolacje przy ciężkim dębowym stole o krótkich nogach. Podłogę pokrywał błękitno-czerwony perski dywan.

– Zdaje się, że tylko przy takich okazjach wszyscy jesteście razem – powiedziała Barbara patrząc tajemniczo i trochę melancholijnie, co raczej kłóciło się z jej usposobieniem.

Zanim nadszedł Oliver, a wraz z nim kryjący się za plecami ojca Josh, na stole leżały już plenery z *cassoulet* i *pate* oraz duża drewniana miska z sałatką. Nieświadoma oczekującej ją niespodzianki Ewa skubała bananowy chleb i wkładała do ust małe kawałki.

Rodzina zasiadła przy stole, podczas gdy Oliver z namaszczeniem rozlewał do kryształowych kieliszków Lafite-Rothschild'59. Rozejrzał się po ich twarzach i uniósł kieliszek.

– Nim zasiądziemy do tej wspaniałej uczyty – powiedział z

przyjemnością używając wyszukanych słów – musimy uczcić tę chwilę tryumfu. – Spojrzał na Ewę, która uśmiechnęła się promiennie. Okrągłe jak jabłuszka, zaróżowione policzki zdradzały jej pełne napięcia wyczekiwanie. – B z minusem nie czyni z ciebie geniusza, ale jest o niebo lepsze od F. – Josh zaśmiał się cicho: zawsze przynosił od góry do dołu oceny A, same celujące i zamierzał dać to siostrze do zrozumienia. – Ale jeszcze lepsze od H.

– H? – spytała zdumiona Ewa.

– H jak honda – rzekł Oliver.

– Honda – Ewa rozejrzała się bezradnie po twarzach obecnych. Oliver uniósł kieliszek jeszcze wyżej i wyjął z kieszeni kluczyki wraz z pilotem do zdalnego otwierania drzwi garażu.

– Tylko nie uderz w ferrari, gdy będziesz wyjeżdżać.

– To grozi utratą życia – zażartowała Barbara.

Ewa wrzasnęła z radości i rzuciła się ojcu na szyję zasypując go pocałunkami. Potem po kolei uścisnęła mocno Barbarę, Josha i Annę, w końcu chwyciła kluczyki z pilotem i ruszyła pędem na tyły domu.

– Rozpieszczamy ją – zauważył Oliver, kiedy wybiegła. Podniósł kieliszek do ust. Wszyscy poszli za jego przykładem. – Ale to daje tyle radości.

– Pierwszy samochód kupiliśmy dopiero trzy lata po ślubie – rzekła Barbara.

– Inne czasy – wzruszył ramionami Oliver. – Przecież po to tak ciężko pracujemy. – Zatoczył wolną ręką koło obejmujące całe otoczenie łącznie z zebranymi.

– Dostałem się do drużyny – odezwał się niespodziewanie

Josh, jakby nagle coś pękło w jego wnętrzu.

– Do licha. – Oliver odstawił kieliszek i zaczął klaskać w dłonie. – Niekiepsko, stary. – Złapał już od Josha trochę slangu.

– Wypiję za to – odparł Josh i wychylił kieliszek drogiego wina, jakby to była coca-cola.

Usłyszeli klakson hondy, która właśnie zajechała przed front domu. Stanęli przy oknie i pomachali Ewie, a ona ruszyła gwałtownie zostawiając za sobą chmurę spalin.

– Szczęściara – rzucił Josh.

– Na ciebie też przyjdzie kolej, gdy ukończysz szesnaście lat – odparł Oliver. – Masz teraz przykład. Na tym właśnie polega ojcostwo: na dawaniu dobrego przykładu. – Roześmiał się z własnego żartu. Wrócili do stołu.

– Mamy do ogłoszenia jeszcze więcej sukcesów naszej rodziny – odezwała się cicho Barbara. Jej głęboko osadzone oczy śmiały się wesoło, pełne wargi rozwarły się w uśmiechu ukazując białe zęby. Wyjawiła swoją tajemnicę bez emocji, nawet jakby obojętnym tonem, choć nie pozbawionym cienia determinacji. Anna była pewna, że tylko ona jedna wyczuła w głosie Barbary nieustępliwość i nutkę przechwałki. Oliver podszedł do żony i pocałował ją w usta.

– To fantastycznie – powiedział. Anna odwróciła się gwałtownie, porwana nagłym przyływem zazdrości. – Zdaje się, że to, co ja mam do powiedzenia, nie nadaje się na punkt kulminacyjny wieczoru – dodał, gdy do biblioteki wpadła zaczerwieniona z emocji Ewa.

– Ciągnie jak marzenie. Jak marzenie – zawołała. Przysiadając obok Anny ścisnęła ją za rękę. – Jestem

naprawdę szczęśliwa.

Anna pogroziła jej żartobliwie palcem.

– Mamy nowego klienta – podjął Oliver. – Zarobimy dużo pieniędzy. To prawdziwy bogacz. Koledzy w pracy są naprawdę zadowoleni z moich zdolności do nawiązywania korzystnych kontaktów. Jutro rano lecę do Nowego Jorku, żeby sfinalizować sprawę.

Znowu wszyscy całowali się i cieszyli, po czym rozpoczęli ucztę. Z pełnymi ustami zachwycali się kulinarnymi wspaniałościami Barbary, do których godnym dodatkiem był wyborny smak i bukiet Lafite-Rothschild'59. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Przyglądając im się w chwilach radości, Anna nie potrafiła uniknąć porównania z własną rodziną szarych ludzi, zamkniętych w ciasnym drewnianym domku w Johnstown niczym w więziennej celi. „Pieskie życie – pomyślała – życie, w którym wydarzeniem było nabieranie na pogięty widelec polskich kiełbasek z wielkiego garnka i popijanie ich piwem z puszki”.

Wspaniały *cassoulet* rozpląwał się jej w ustach, a przed oczami stanęła okropna scena, jak klatka z zatrzymanego filmu. Tłuste ciało jej matki trzęsło się jak galareta, gdy kładła się na zniszczonej sofie przed telewizorem. Miała na sobie podartą podomkę w kwiatki, na głowie papiloty, mające upodobnić ją do jakiejś znanej wówczas aktorki czy piosenkarki. Ojciec, ze zwisającym brzuchem pełnym piwa, siedział na sfatygowanym fotelu, strzepując popiół z papierosa na wytarty dywan.

Aby otrząsnąć się z tej wizji, Anna uderzyła lekko srebrną

łyżeczką w kieliszek. Wszyscy uciszyli się i spojrzeli na nią.

– Trudno mi wyrazić jak bardzo... – głos uwiązł jej w gardle. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

– Trudno mi wyrazić, jak wiele dla mnie znaczy to, że jestem tutaj z wami. Nie możecie sobie wyobrazić...

– zająknęła się. Wizje z przeszłości były zbyt żywe, nie potrafiła skoncentrować się na tym, co zamierzała powiedzieć. Przebiegła wzrokiem po ich twarzach. Zdziwiła się, że patrzy na Olivera bez poprzedniej nieśmiałości. – To najwspanialszy okres w moim życiu. Jesteście dla mnie tacy dobrzy, że staliście się dla mnie rodziną. – Z trudnością przełknęła ślinę.

– Pełną szczęścia rodziną... – urwała, przejęta i wzruszona. Wargami szukała brzegu kieliszka, przytknęła go do ust i pociągnęła łyk wina.

„Jakież to szczęśliwy dom – pomyślała. – Jak to cudownie, że go znalazłam”.

Rozdział 3

Pierwszy ból przyszedł w momencie, gdy pan Larabee skończył mówić o trudnościach, które jego firma napotyka ze strony Federalnej Komisji Handlowej. Oliver robił notatki w żółtym liniowanym notesie, lecz nagle ołówek zaczął kreślić zygzaki, jakby pisał niezależnie od ruchów trzymającej go ręki. Siedzieli przy okrągłym stole konferencyjnym w gabinecie prezesa na Manhattanie. Oliver zdążył już wypić przed lunchem więcej filiżanek kawy niż miał w zwyczaju. Na początku próbował zignorować ból, lecz gdy poczuł jak oblewa go fala zimnego potu, wpadł w panikę. Odłożył ołówek i spróbował odkaslnąć, żeby ukryć chwilowe niedomaganie. Wtedy prezes zwrócił się do niego. Jego uwagi docierały do Olivera jakby z oddali, przytłumione, bezsensowne. Usiłował obrócić potworne cierpienie w żart, zaśmiać się mimo bólu. Wszyscy biznesmeni obawiali się nagłej przypadłości w czasie ważnego spotkania. Nagła biegunka i wymioty same w sobie były nieprzyjemne, lecz przede wszystkim wywarłyby fatalne wrażenie na zebranych, których obchodził akurat tyle co nic. Miał w zanadrzu, tak na wszelki wypadek, wyświechtany dowcip o czystej bieliźnie, chociaż dotyczył on raczej kobiet.

– Panie Rose, dobrze się pan czuje? – spytał prezes.

Oliver zdołał skinąć głową, ale wiedział, że nie wypadło to przekonująco. Ktoś nalał mu szklankę wody ze srebrnego dzbanka, ale nie mógł jej przełknąć.

– To żałosne – szepnął.

Podprowadzono go do skórzanej sofy. Położył się, z trudem rozpiął kołnierzyk i rozluźnił krawat.

– Zaraz mi przejdzie – zaskrzeczał. To również nie zabrzmiało przekonująco. Szarpiący ból pod mostkiem stawał się nie do wytrzymania.

– Nie wygląda dobrze. – Ktoś położył dłoń na jego czole.
– Zimne jak lód.

Usłyszał słowo „pogotowie” i nagle zdał sobie sprawę, że jest bliski utraty świadomości. Serce kołatało, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Myśli przelatywały jak szalone, widział obrazy z przeszłości i zastanawiał się, czy to właśnie jest tak, jak w tej historii o tonącym, któremu przed oczami stanęło całe życie w postaci wyświeczonego w zawrotnym tempie filmu.

– To nic – usłyszał swój głos, mimo że słowa nie zostały wypowiedziane.

– Wszystko będzie dobrze – odezwał się nieszczercze Larabee.

Oliver natychmiast stracił do niego sympatię i odwrócił się z odrazą.

„Mam dopiero czterdzieści lat” – pomyślał, gdy panika ustąpiła miejsca żalowi nad samym sobą. Modlił się, żeby nie doszło do niekontrolowanego wypróżnienia, przypomniał sobie awantury z dzieciństwa. Czuł już pierwsze symptomy. Niepokoiła go także myśl, czy na pewno opłacił wszystkie składki ubezpieczeniowe. Agent zapewnił go, że gdyby zmarł jako czterdziestolatek rodzina otrzymałaby milion dolarów, lecz Oliver roześmiał się na to i wybrał ubezpieczenie częściowe.

„Czy to możliwe, żebym umarł? – pomyślał. – Oboje rodzice żyją, babcie i dziadkowie poumierali dopiero po osiemdziesiątce”. Zaczął wyliczać osoby, którym jego odejście sprawi zawód. To zdenerwowało go jeszcze bardziej, spodziewał się, że lada moment zemdleje.

Leżąc stracił poczucie czasu. Ktoś okrył go kocem, ale wciąż odczuwał lodowaty chłód.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział prezes. Obwisła skóra na jego twarzy była zaczerwieniona. Z nerwów lub ze złości.

„Położyłem pierwsze spotkanie z nowym klientem” – pomyślał Oliver. Wyobraził sobie reakcję kolegów z firmy. Biedny stary Oliver. Szkoda sukinsyna. Dwóch sanitariuszy w białych fartuchach przesiąkniętych zapachem antyseptyków przeniosło go na nosze wyposażone w kółka. Potem zobaczył, jak do jego twarzy zbliża się tlenowa maska. Z wysiłkiem kiwnął palcem i Larabee pochylił się nad nim.

– Zadzwońcie do mojej żony – wydusił Oliver. Przypięta maska zakryła mu twarz, poczuł, jak nosze toczą się gdzieś, potem usłyszał dźwięki ruchu ulicznego i przeszywające wycie syreny, gdy ambulans ruszył z dużą szybkością do szpitala. Na odsłonionej piersi poczuł zimną końcówkę stetoskopu.

– Nic nie wiadomo – powiedział ktoś schowawszy słuchawki.

– Czy umrę? – szepnął Oliver. Spoza maski jego głos nie docierał do nikogo. Stęknął i odczuł na moment niespodziewaną ulgę, lecz po chwili ból wrócił. Przez chwilę myślał zupełnie jasno, zaraz jednak powróciły wizje:

czerwone od płaczu twarze Barbary, Ewy i Josha unosiły się tuż nad nim, czekając na moment jego śmierci. „Zawiodłem ich” – wyrzucał sobie.

Jego myśli zalała fala rozgoryczenia i żalu. Kto będzie karmił Benny'ego? Kto będzie doglądał wina, pielęgnował orchidee, nakręcał mahoniowy zegar? Kto naprawi zepsute urządzenia, zajmie się antykami, obrazami, porcelanowymi figurkami? I kto wyreguluje jego ferrari? Dlaczego odbiera mu się wszystko, *co* miał? Ta myśl była nie do zniesienia, podobnie jak przesywający go ból.

Poczuł ukłucie na ramieniu i po chwili ból nieco zelżał. Lewitował teraz w powietrzu, jak astronauta w kosmosie. Jakiś potworny, senny koszmar wdarł się do jego świadomości. Nie potrafił go dokładnie określić, pamiętał jedynie, że było to coś naprawdę przerażającego. Wkrótce odniósł wrażenie, że ziemia pod nim się porusza. Nosze sunęły już wzdłuż szpitalnego korytarza. Nad jego głową przesunął się rząd umieszczonych na suficie białych świetlówek, których blask raził go w oczy.

Kiedy zdjęto maskę, wyszeptał znowu:

– Zadzwońcie do mojej żony. Zadzwońcie do Barbary.

Półprzytomnie zdawał sobie sprawę, że podłączają go do jakiejś aparatury. Jakby z daleka usłyszał rytmicznie powtarzające się sygnały elektronicznego urządzenia i jakieś inne dźwięki, których nie potrafił z niczym skojarzyć. W pobliżu, nad nim, wszędzie odzywały się czyjeś szepczące głosy. Wiedział, że jeśli ściągną Barbarę na czas, to wszystko dobrze się skończy. Jego życie zależało teraz od Barbary. Nie umrze, jeśli ona będzie u jego boku.

Rozdział 4

Kiedy odzyskał przytomność, w pokoju było ciemno. Słyszał regularne odgłosy pracy aparatury pomiarowej, tak że poczuł się jak we wnętrzu olbrzymiego zegara, może tego mahoniowego, który stał w hallu jego domu. Każdy dźwięk odczuwał jak uderzenie potężnym wahadłem w głowę, głowę pękającą z bólu. Przed oczami migały mu obrazy z przeszłości. Spędzali miodowy miesiąc w „Groton Inn” – starym, podupadłym zajeździe pamiętającym kolonialne czasy. Miał wrażenie, że o każdej porze w jadalni wszystko było przygotowane na przyjęcie gości.

Czerwiec był wtedy rzeczywiście upalny. Słońce prażyło niemiłosiernie przenikając cienki dach. Kochanie się w tych warunkach było męczące i nie dawało im pełni szczęścia. Barbara nie zachowywała się tak jak wtedy, gdy robili to przedtem, lecz on wytłumaczył to sobie napięciem związanym ze ślubem. Obydwie rodziny były przeciwne temu małżeństwu. On miał przed sobą jeszcze dwa lata studiów prawniczych na Harvardzie, a ona tyle samo na Boston University.

– Będę pracował – oznajmił rodzicom w dniu, w którym ze strachem poinformował ich o swoich życiowych planach. Zresztą oni nie mieli nic przeciwko Barbarze, nie chcieli tylko, żeby niszczył swoją karierę przez małżeństwo z biedną dziewiętnastoletnią dziewczyną, przez wzięcie na siebie obowiązków wynikających z założenia rodziny.

– Ale ja ją kocham – protestował z taką determinacją,

jakby te słowa miały stanowić wystarczający powód radykalnej decyzji. Przypuszczał, że monotonia małżeńskiego życia i pokładane w synu nadzieje leżały u podstaw ich sprzeciwu. Dlatego postanowił nie ranić ich uczuć. Związane z jedynakiem ambicje pracownika instytucji państwowej to delikatna sprawa.

– Nie zawiedziecie się na mnie – obiecał. Wiedział, jak ciężko było im wysupłać pieniądze na jego studia. – Aleja po prostu nie mogę dłużej bez niej żyć. – Był rok 1961, przemiany w światopoglądzie społeczeństwa były jeszcze przed nimi i wspólne życie bez ślubu nie wchodziło w rachubę.

– Oszalałeś – odrzekł ojciec. Matka tylko usiadła przy kuchennym stole, splotła palce dłoni, opuściła głowę i zapłakała.

– Nie oczekuję od was pieniędzy na studia – powiedział Oliver. – Teraz jestem na własnym. – Zawahał się. – Razem z Barbarą.

– Razem damy radę – zapewniła go przedtem Barbara.

Jej rodzice przyjęli to jeszcze gorzej, ponieważ oboje byli nauczycielami w szkole średniej. Przeraziła ich myśl, że córka miałaby porzucić naukę.

– Kocham go – powiedziała im Barbara. Jeszcze wtedy słowo „kochać” oznaczało prawdziwą Miłość. I miłość znaczyła dla nich wszystko. Byli sobą zauroczeni. Pragnął jedynie tego, żeby jej dotykać, czuć jej zapach, słyszeć jej głos.

– Kocham cię ponad wszystko na świecie – powtarzał w kółko, przytulając ją mocno, nieustannie. Zawsze ją przytulał.

– Dla ciebie jestem gotowa umrzeć – przysięgała Barbara. Umrzeć? Porażony tym słowem nagle oprzytomniał.

Nie rozumiał, dlaczego nachodziły go takie myśli. Leżał w ciemnym pokoju, gdy niespodziewanie doznał erekcji, wyraźnie odznaczającej się na powierzchni równo ułożonej pościeli. „Ha, więc jeszcze żyję” – pomyślał, zarazem dokonując odkrycia, że ból minął. Środki uspokajające – zresztą nie był pewien co mu podali – wywołały jednak ból głowy i uczucie senności. Wpół drzemiac słyszał glosy lekarzy i pielęgniarek wymieniających fachowe uwagi, jak przypuszczał, o jego nędznej cielesnej powłoce. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć stukot obcasów Barbary w korytarzu, poczuć jej chłodny, kojący dotyk.

Bez wyraźnej przyczyny zaczął myśleć o kredensie w stylu Ludwika XV, wykonanym z drewna tulipanowca, z oryginalnymi szybami i ozdobnymi okuciami. Dzieło Linkego. Bardzo chciał go kupić, ale Barbara nie dopuściła do tego i pokłócili się. Jej argumenty były logiczne.

– Nie mamy na to miejsca – protestowała, przytrzymując go za rękę, która rwała się do góry, gdy licytator patrzył w jego stronę.

– Ale to jest przecudowne.

– W domu nie ma już na nic miejsca, Oliverze. Koniec. Kropka.

Oczywiście miała rację. Przypomniał sobie, że nie mógł się z tym pogodzić przez wiele tygodni. Nie ma miejsca? Koniec? Od ponad dziesięciu lat kupowali antyczne meble dla domu, ich ukochanego – mimo nieco podniszczonej fasady – domu. Górując nad parkiem Rock Creek stał w

takim miejscu, z którego widać było wspaniałe kształty łuków Calver Street. Poza tym mieszkali w najlepszej dzielnicy miasta, co w Waszyngtonie ma olbrzymie znaczenie prestiżowe.

Całymi latami dom pochłaniał każdy zaoszczędzony przez nich grosz: odnawiali zaniedbane wnętrza pokój po pokoju.

Półprzytomnie odczuł jakiś ruch: szpitalne łóżko na kółkach przesunęło się pod nieskończonym ciągiem świetlówek.

– Jedziemy na rentgen – wyjaśnił czarny pielęgniarz. W windzie Oliver słyszał, jak tamten mówi coś o grze w piłkę. Przyszło mu do głowy, że być może odwiedzających nie dopuszcza się do niego celowo. Może Barbara siedzi gdzieś w tutejszej poczekalni zalana łzami, czekając na wyniki badań. Cisnęło mu się na usta pytanie: „Czy naprawdę jestem umierający?” Nie wypowiedział go jednak, bo bał się odpowiedzi.

Z niepokojem myślał o swoich orchideach, które z lubością pielęgnował od chwili, gdy pokazywały pierwsze pędy. Jak dorosną, znajdą się w cieplarni wśród pnących roślin Barbary: afrykańskich fiołków i bostońskich paproci. Hodowla tak delikatnych kwiatów była dla niego wyzwaniem, próbą sprawdzenia własnych umiejętności.

Martwił się też o Benny'ego – sznaucera, dla którego był panem i władcą. Pies z widoczną radością okazywał mu swoje przywiązanie. Barbara ani dzieciaki nie mogli dać sobie z nim rady. I narzędzia wymagały konserwacji, i w ogrodzie było dużo do zrobienia. Ponadto w kuchni

Barbary...

„Boże, nie zabijaj mnie jeszcze” – pomyślał z rozpaczą.

Przeniesiono go na zimny metalowy stół rentgenowski, po czym obracano jak kurczaka na rożnie. Ubrany w białe fartuch technik szturchnął go znacząco, po czym rozległo się krótkie brzęczenie: zapewne dźwięk aparatury wykonującej zdjęcie. Coraz bardziej rozjaśniało mu się w głowie. „Dlaczego nie czuję bólu?” – zastanawiał się spostrzegając, że zegar na ścianie wskazuje południe.

– Jaki dziś dzień?

– Środa – odparł technik.

Przewieźli go do innego pomieszczenia i umieścili za parawanem. Tym razem nie podłączono żadnej aparatury, poczuł jedynie ukłucia na ramionach i pośladkach – pewnie dostawał zastrzyki. Pospał trochę i zbudziło go dopiero dotknięcie czyjejś chłodnej ręki. Mrużąc oczy ujrzał różową twarz mężczyzny w okularach.

– Szczęściarz z pana, panie Rose.

– To nie umrę? – wyszeptał Oliver.

– Mało prawdopodobne. Po prostu kolka, nic niezwykłego. Myśleliśmy, że to atak serca i podjęliśmy wszelkie niezbędne działania. Musiało pana bardzo boleć. Przy ataku serca objawy bywają bardzo podobne.

– A więc urodziłem się na nowo – powiedział.

Uniósł się nieco, czując przyływ życiowej energii.

Wstrzyknięte lekarstwa i tkwiące w żyłach wenflony nagle dały o sobie znać. Ból w klatce piersiowej znacznie zelżał, ale nie ustąpił.

– Wcale pan nie umarł.

– Tak. Wielu ludzi będzie tym faktem rozczarowanych. Stanę się pośmiewiskiem kolegów z firmy. – Spuścił nogi z łóżka. – Niech pan powie mojej żonie, żeby tu przyszła i mnie zabrała. – Spojrzał na lekarza. – Proszę się nie obrazić, ale jeśli badania nie wykazały nic więcej tylko kolkę, to powinniście zwinąć ten interes.

Lekarz roześmiał się.

– Właśnie powiedziałem pańskiej żonie, że nic Panu nie grozi.

– Nie ma jej tutaj?

– To nie miałoby sensu.

– Pewnie... – zaczął Oliver zbierając myśli. Wiadomość zaskoczyła go, wytrąciła z równowagi.

Przyniesiono mu ubranie, portfel, klucze, pieniądze i neseser. Ubrał się nie mogąc pohamować drżenia. W szpitalnym hallu wszedł do kabiny telefonicznej i zadzwonił do domu.

– Oliver! Jakże jesteśmy szczęśliwi – w słuchawce zabrzmiał głos Anny. Oczami wyobraźni ujrzał jej pszenne włosy, okrągłą buzię upstrzoną jasnymi piegami, uśmiech, od którego na policzkach robiły się urocze dołeczki. Nagle zdał sobie sprawę, że zawsze skrycie go obserwowała. Dlaczego właśnie ona odebrała telefon? Gdzie podziewa się Barbara?

– Nie życzyłbym tego nikomu.

– Barbara właśnie wyszła, ale niedługo powinna wrócić. Była ogromnie zajęta, bo realizowała zamówienie dla pakistańskiej ambasady. – Urwała, jakby zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć. Ale w słuchawce była cisza. Poczuł rozczarowanie.

– Muszę się jeszcze zobaczyć z klientem w Nowym Jorku, ale dziś wieczorem będę już na pewno w domu. Jak tam dzieci?

– Bardzo się o ciebie martwią. Zadzwoiłam do nich do szkoły zaraz po tym, jak zadzwonił do mnie lekarz.

– Świetnie. – Miał już kończyć tę rozmowę, lecz spytał jeszcze: – Anno, kiedy Barbara dowiedziała się o tym... to znaczy, kiedy zadzwonili do niej po raz pierwszy?

Dopiero po dłuższej chwili usłyszał odpowiedź:

– W poniedziałek rano. Przypominam sobie, że ja odebrałam telefon. Barbarę wytrąciło to z równowagi. – Znowu poczuł bolesne ukłucie, które jednak szybko ustąpiło. Nie myślał już o bólu.

– No dobrze... – powiedział trochę zbity z tropu. Szukał usilnie jakiegoś wytłumaczenia, ale nie mógł go znaleźć, chociaż wiedział, że istnieje, że musi istnieć. – Wobec tego powiedz jej tylko, że będę w domu na kolacji.

Odwiesił słuchawkę i przyglądał się automatowi próbując zrozumieć, co to wszystko oznacza. Nie mógł się uwolnić od wrażenia, że stracił coś bardzo ważnego. Aby pozbyć się tych myśli, zadzwonił z kolei do Larabee.

– Napędził nam pan porządnego stracha – odezwał się prezes. Oliver przypomniał sobie jego lekceważenie, uwagi w stylu: „Wszystko będzie dobrze”. Złościło go, że staruch wcale się nie omylił.

– Dobrze pan to ujął – powiedział Oliver, niezadowolony z żalostnego litowania się nad samym sobą. Nie potrafił pozbyć się natrętnej myśli, że jego przypadłość, chociaż przezeń niezawiniona, popsuka mu reputację, co dla prawnika

może okazać się fatalne w skutkach. Chciał zatrzeć jakoś złe wrażenie, lecz jak na złość odbiło mu się dość głośno, prosto w słuchawkę.

– Halo... – zawołał Larabee.

– To coś na linii – odpowiedział Oliver. Powoli odzyskiwał pewność siebie.

Kiedy potem opuszczał biuro prezesa czuł, że udało mu się częściowo odzyskać utracony kredyt zaufania. Aluzje dotyczące jego niedyspozycji uciał szybko, prawie niegrzecznie.

– Nawet lekarzom było głupio, że narobili takiego rabanu – skłamał, kończąc raz na zawsze dyskusję na ten temat.

W samolocie jego myśli nieustannie wracały do przeżyć ostatnich dni. W żółtym notatniku mimowolnie kreślił abstrakcyjne linie obserwując zachodzące słońce, którego kolor zmieniał się w oczach na tle niesamowicie błękitnego nieba. Od czasu wyjścia ze szpitala czuł się osamotniony, opuszczony i zapomniany. I bał się teraz bardziej niż wtedy, gdy przebywał w szpitalu. To było niezrozumiałe i bez sensu. Przecież wyrwano go, przynajmniej w przerośni, ze szponów śmierci. Skąd więc ta depresja? Skąd poczucie samotności? Co się z nim stało?

„Zadzwońcie do mojej żony”, mówił do kogoś. W jego pamięci te słowa wypłynęły jak błaganie, jak krzyk tonącego wołającego o pomoc. Wyobraził sobie odwrócenie ról: gdyby Barbarze przytrafiło się coś takiego, wpadłby w panikę, rzuciłby wszystko i bez względu na przeszkody znalazłby się przy niej. Bezladne, pozbawione logicznego związku obrazy przesuwwały się przed jego oczami. Płynął wpływ przez

wzburzone morze, z trudem pokonywał ruchome piaski pustyni, wspinał się na strome i ostre skały – robił wszystko, żeby być przy niej. Nagle fantazje urwały się i znowu poczuł się opuszczony, zdradzony. Jak ona mogła, nie przyjść do jego łóżka śmierci?

Rozdział 5

„Dlaczego nie pojechałam?” – zadała sobie pytanie Barbara, wymuszonym uśmiechem kwitując swe dwuznaczne zachowanie. Wykonywała mechaniczne ruchy nożem do okrawania, starannie oddzielając od kości mięso czwartego z rzędu kurczaka. Myślami była jednak daleko od wykonywanej czynności, błędziła jakby nie miała nad nimi żadnej kontroli. Nieczęsto myślała o seksie i zdziwiła się, że ten temat właśnie teraz przyszedł jej do głowy.

Kochał się z nią namiętnie, gorąco, ale nie wyzwalał w niej ekstazy. Nigdy mu nie odmawiała, traktując to raczej jako nudną rutynę i z trudnością mogła przypomnieć sobie momenty, kiedy ta gimnastyka dawała jej przyjemność. Zdawała sobie sprawę, że on doskonale wie o jej obojętności, mimo że grała przed nim jak najlepsza aktorka.

– Nawet gdy nie jest wspaniale, jest naprawdę dobrze – mówił do niej często, zwykle gdy ochłonął i odpoczywał przy niej po kolejnym, jakże oczywistym akcie zaspokojenia osobistej żądzy.

– Trzeba brać wszystko, co daje nam życie – odpowiadała, ukrywając rozczarowanie pod płaszczkiem humoru. W ten sposób udawało się ukryć prawdę. Nie rozumiała, skąd się wzięła jej oziębłość, zwłaszcza że niegdyś sama czerpała z seksu wiele radości i rozkoszy. Ale to było dawno temu, jeszcze przed ślubem, wystarczyło, że dotknęła jego ciała, a już ogarniało ją obezwładniające podniecenie.

Myślała o swoim małżeństwie. Miała już spory bagaż doświadczeń, miała własne zdanie o tym, co we wspólnym życiu jest dobre, a co złe. Seks był na czarnej liście, ale nie winała męża za swój dziwny brak chęci do współżycia. To musiało być niezależne od nich. W końcu do tanga potrzeba dwojga partnerów. W głębi duszy wiedziała, że radość płynąca z seksu, podniecenie i ekstaza, że to wszystko jeszcze w niej nie umarło, że czasami wyobraźnia podsuwała jej rozkoszne obrazy miłości i że przy odrobinie wysiłku mogła z siebie wykrzesać autentyczną chęć i radość. Nie lubiła jednak o tym myśleć.

Natomiast rzeczy dobrych było tyle, że z trudem mogłaby je wszystkie wymieniść. Mąż świetnie zarabiał: dwieście tysięcy dolarów rocznie. Nieźle jak na syna urzędnika-biurokraty. Z tego powodu była z niego dumna.

I dom. Mieli go tylko dzięki Oliverowi, który natychmiast zorientował się w jego zaletach. Kalorama, dzielnica przylegająca do słynnego Embassy Row, była pierwszorzędna. Wszędzie pełno wspaniałych, starych drzew, rosnących wokół domów wybudowanych w początkach stulecia dla ówczesnej elity Waszyngtonu. Największe z nich sprzedano na pniu obcym rządowi z przeznaczeniem na ambasadę i przedstawicielstwa.

Okrężna Kalorama Circle była jak cudowny diadem, zwłaszcza na odcinku Rock Creek – klifowego wzniesienia górującego ponad terenem, który wiosną i latem wyglądał jak zielona dolina. Stojąc przed domem widzieli piękny most Calvert Street, jego śliczne łuki, smukłe kolumny ze stojącymi na szczycie orłami. Most stanowił cieszący oko

widok, mimo że był ulubionym miejscem, z którego zdesperowani samobójcy wykonywali ostatni skok w życiu.

Kiedy ten dom kupowali, był w opłakanym stanie, ale miał zachowane klasyczne proporcje francuskiego *chateau*. Gładki tynk pokryli warstwą białej farby, dodali czarne okiennice i uzyskali wspaniały efekt. Dwuskrzydłowe frontowe drzwi zeszlifowali do gołej deski, pomalowali na czarno, dodali złote gałki i kołatki. Dwie zardzewiałe latarnie nad drzwiami wymienili na nowe w kształcie korony, z ozdobnym i fantazyjnym zwieńczeniem.

Wysokie okna na parterze, żelazne gzymsy pod parapetami na pierwszym piętrze, mansardowe okna pośród dachówek na drugim – szesnaście szybek w każdym oknie – tworzyły kompozycję wykraczającą daleko ponad ich wszelkie oczekiwania. Byli tak zachwyceni swoim domem, że zamówili miedzioryt z jego wizerunkiem i wysłali ten obrazek wszystkim jako kartkę na Boże Narodzenie. Przecież w końcu dom – to byli oni sami.

Oboje kochali antyki. W weekendy odwiedzali domy aukcyjne lub wyjeżdżali do Wirginii i Marylandu, gdzie w starych domach szukali okazji do wzbogacenia tanim kosztem swojej kolekcji. Większość spędzanych w Europie wakacji również poświęcali temu hobby i z tych wypraw przywozili starocie upamiętniające wycieczki za ocean, co dodawało pewnej mistyki ich wspólnej pasji. Zważywszy okoliczności, w jakich się poznali, kolekcjonowanie antyków było naturalnym elementem małżeńskiego życia, kontynuacją młodzięcych zainteresowań.

Barbara zawsze interesowała się gotowaniem. Jej mama

gotowała świetnie, a ona sama dużo się nauczyła od zawodowych kucharzy i piekarzy, gdy podejmowała wakacyjną pracę. Z czasem, gdy dzieci wymagały coraz mniej matczynej opieki, zaczęła nawet myśleć o założeniu własnej firmy produkującej kulinarne wspaniałości. Trochę się wahała, czuła pewien wewnętrzny opór. Nie chciała być tak zwaną „gospodynią domową” – była to dość okrutna etykietka, jaką przypinały kobietom ich bardziej przedsiębiorcze koleżanki.

Tak więc zaprojektowała kuchnię pod kątem ewentualnej przyszłej działalności na większą skalę. Oliver pomagał jej, jak tylko potrafił, ale nigdy nie była pewna, czy robi to z chęci nadzorowania jej poczynąń, czy też naprawdę wierzył w jej zdolności do realizacji tych ambitnych planów. Bez względu na motywy z dużym zapałem uczestniczył w projektowaniu i wyposażaniu kuchni poświęcając swoje weekendy. Jako zapalony majsterkowicz znał się na instalacjach elektrycznych, wiedział więc dokładnie, czego chce, i firma budowlana otrzymała od niego dokładny plan, co i jak ma być zrobione. Ona zaś, dla własnego dobra, poznawała po kolei tajniki funkcjonowania wszystkich urządzeń i wkrótce nauczyła się zmieniać uszczelki, dokręcać baterie, czyścić syfony i naprawiać automatyczny zsyp na odpadki. Raz na Boże Narodzenie dostała od Olivera komplet narzędzi. Latami uczył ją w swoim warsztacie jak się nimi posługiwać, a potem ona pomagała mu zbudować saunę z dodatkową kabiną z natryskiem – zrobili to zupełnie sami, bez udziału firmy budowlanej. Samodzielnie odnowili także niektóre zabytkowe meble.

Oliver, jako młody, stojący u progu kariery prawnik, musiał walczyć o przebicie się, o uzyskanie właściwej jego ambicjom pozycji. Oznaczało to częste wyjazdy, ale weekendy były dla niego świętością. Oboje wiedzieli, że prawdziwym światem jest dla nich dom i szukali sposobności, aby różne domowe prace wykonywać razem. Takie, na przykład, jak hodowla roślin, chociaż tutaj ich zainteresowania trochę się różniły: on zajmował się orchideami, a ona pielęgnowała bostońskie paprocie i afrykańskie fiołki.

Bilans po stronie pozytywów był rzeczywiście imponujący. Starali się zaszczepiać dzieciom swoje zainteresowania, lecz młode pokolenie Rose'ów miało w głowie całkiem inne rzeczy. Mimo wszystko rodzice byli pewni, że gdy Ewa i Josh dorosną, przyda im się to, czego mimowolnie nauczyli się w rodzinnym domu.

W oczach Barbary Oliver miał jeszcze wiele innych zalet. Był inteligentny, atrakcyjny, tryskał humorem, miał wiele różnorodnych zainteresowań. Radowało ją uznanie, jakim cieszyła się wśród jego kolegów i klientów, mimo że czasem ich zazdrosne żony zatruwały jej życie.

„No więc dlaczego tam nie pojechałam?” – zadała sobie pytanie. A może kierowała je do kurczaka, z którego właśnie zdejmowała skórę, tak jak ściąga się sweter.

Nożycami ucięła kość skrzydłową w odpowiednim miejscu, aby przesuwiała się wraz ze ściąganą skórą, po czym ostrożnie oderwała włókna i gdy doszła do połowy udka, ułamała kość i zdjęła skórę. Powtórzyła tę czynność z drugiej strony. Kuperek oderwał się z całością skóry, którą odcięła

nożycami.

Zadowolona z rezultatu rozłożyła skórę na desce i pozszywała niechęć rozerwane miejsca, po czym rozklepała je płasko bokiem tasaka.

– Bo miałam to gdzieś! – krzyknęła do odartego z powłoki mięsa. Narastała w niej złość, szukała właściwych słów dla wyrażenia myśli, ale nie potrafiła ich znaleźć. Powody. Jakie były powody tej decyzji?

– Muszę mieć jakieś wytłumaczenie – szepnęła i nagle ze złością wbiła ostry czubek tasaka w deskę, nieodwracalnie ją uszkadzając.

W rzeczywistości, gdy otrzymała pierwszy telefon ze szpitala, chciała, żeby umarł. To była prawda. Chciała, żeby odszedł z jej życia w sposób możliwie bezbolesny, wyrwany jak spróchniały ząb.

Oliver martwy? Przestraszyła się i wrzasnęła na samą myśl. Na pewno była to jedynie chwilowa utrata samokontroli. Przecież gdyby życzyła mu śmierci, ^usiaby go nienawidzieć. Nienawiść? To wydawało się nieludzkie. Ale jednak. Nie umiała pozbyć się natrętnej myśli: naprawdę miała nadzieję, że on umrze.

Rozdział 6

Oliver niewiele zapamiętał z podróży taksówką. Jechali przez most Memoriał, skręcili obok Mauzoleum Lincolna, minęli gmach Departamentu Stanu. Te wszystkie znane mu punkty miasta przesuwały się za szybą jak nieostre fotografie. Anna musiała wyglądać przez okno, bo otworzyła drzwi, zanim wyjął klucze. Mahoniowy zegar w hallu wskazywał za dwie minuty godzinę szóstą, co zauważył rzucając neseser na marmurową podłogę. Przypomniał sobie, że nawet w szpitalu, leżąc półprzytomny, słyszał dalekie echo znajomych uderzeń zegara.

– Josh jest na treningu koszykówki. Ewa ma ćwiczenia z baletu, a Barbara pojechała dostarczyć zamówiony *pate*. – Mówiła to wszystko jakby przepraszająco i patrzyła na niego z nieukrywaną ciekawością.

– Już mi lepiej – powiedział. – Może jestem trochę błądy.
– Trochę.

Poszedł do cieplarni, żeby obejrzeć swoje orchidee, które podobnie jak on cudownie ocalały. Dotknął ziemi w okolicy korzeni. Była wilgotna.

– Nie bójcie się – wyszeptał do kwiatów. – Wasz tatuś jest znowu w domu.

Wszedł na górę do sypialni, rozebrał się i po krótkim namyśle zrezygnował z pójścia do sauny poprzestając na gorącym prysznicu. Czuł potrzebę fizycznego szoku, który pozwoliłby mu otrząsnąć się z depresji. Zakręcił ciepłą wodę i puścił zimną. Zadrżał i przez moment z trudnością łapał

powietrze, ale ból w piersi nie wrócił. Nieledwie tęsknił za nim, jak za starym przyjacielem.

Barbara wpadła do łazienki, kiedy wycierał się ręcznikiem, i pocałowała go w usta. Przyciągnął ją do siebie, objął i przytulił do wilgotnego ciała.

– Tak strasznie się bałem – szepnął wtulając twarz w kasztanowe włosy żony. Z trudem powstrzymywał się od łkania. Jej rozgrzane ciało było cudownym ukojeniem.

– To musiało być okropne – odrzekła wywijając się z jego objęć. Mokra skóra zostawiła ślady wilgoci na jej bluzce. Rozpięła ją przeglądając się w lustrze. Zauważył, jak ruchem głowy odrzuciła z twarzy niesforny kosmyk włosów.

– Już nic mi nie grozi – powiedział zerkając na jej odbicie w lustrze. Odkręciła pozłacane krany i obmyła twarz w przyjemnie ciepłej wodzie. Przyglądał się linii jej ciała, chciał przesunąć dłonią po widocznych wklęsłościach i wypukłościach. Włożył płaszcz kąpielowy, wrócił do sypialni i położył się na stylowej kanapie. Bosą stopą dotknął drewnianych poręczy mebla. Z miejsca, gdzie leżał, nie widział Barbary, ale słyszał, jak się poruszała, słyszał plusk puszczanej wody. W końcu wyszła owinięta w gruby ręcznik.

Zdawał sobie sprawę, że nie patrzy na nią w dotychczasowy sposób, lecz uważnie ją obserwuje. Mijające lata były dla niej łaskawe: łydki i uda miała szczupłe jak nastolatka, duże piersi były wciąż jędrne, chociaż od czasu gdy widział je po raz pierwszy, obniżyły się pod własnym ciężarem. Chciał jej dotknąć, odczuł krótkotrwałe twardnienie w kroczu, lecz ona, jak mu się zdawało, była zajęta wyłącznie sobą, swoimi myślami.

– Powinieneś być ze mnie dumny. Mam zamówienie od Ekwadorczyków na cały tydzień. Najpierw *galantine* z drobiu, potem *cassoulet* i oczywiście mój *pate de campagne*.

Zawsze cieszył się razem z nią, lecz ze zdziwieniem stwierdził, że nie potrafi skoncentrować się na jej słowach.

Przeszła do toaletki w stylu królowej Anny i zaczęła szczotkować włosy. W jej zachowaniu było coś nieuchwytnego.

Jakby stała się nagle kimś obcym.

– Myślałem, że będzie już po mnie – rzekł spoglądając na wyszywaną koronkami narzutę i stos poduszek u rzeźbionego wezłowia łóżka. Przy jednej ze ścian stała wysoka komoda z pięknymi rokokowymi zdobieniami. Sami ją odnowili: zdrapali stary lakier i pokryli nowym. Zasłony nie były zaciągnięte i przez okno, sięgające od podłogi do sufitu, widział światła samochodów jadących mostem Calvert Street. Godzina szczytu. Między oknami stał otwarty sekretarzyk, którego Barbara używała do pracy, a nim – fotografia ich całej czwórki, gdy stoją na jaskrawym tle pomarańczowych zboczy Wielkiego Kanionu. Na ścianach wisiały grafiki w stylu Art Deco, przedstawiające smukłe dziewczyny, delikatne i zmysłowe. Popatrzył na nie, ale bez przyjemności: znowu narastało w nim uczucie pustki.

– Nie mogę pojąć, dlaczego nie przyjechałaś – odezwał się wciąż patrząc na rysunki. Przełknął ślinę. Niespodziewanie zrozumiał, że właśnie tutaj należy szukać wyjaśnienia, że to rozładuje całe nagromadzone napięcie. Uderzył w sedno sprawy. Chociaż na nią nie patrzył, czuł, że odwróciła się w jego stronę.

– Cały czas byłam w kontakcie – odparła hardo.

– Dopiero dziś rano postawiono ostateczną diagnozę – rzucił gorzko. Ciągłe patrzył w inną stronę.

– Powiedzieli mi, że twój stan nie pogarsza się.

– Cierpiałem, myślałem, że umieram.

– Ale nie umarłeś.

– Wtedy nie mogłaś być tego pewna.

– Cóż to? Stałeś się prokuratorem?

Przez chwilę nie odpowiadał, zdziwiony, że serce nie reaguje bólem. Tylko ten ucisk w żołądku. Odbiło mu się, w ustach poczuł kwas. Przeniósł na nią wzrok, ale tym razem ona się odwróciła.

– Gdybyś ty leżała w szpitalu, przyjechałbym natychmiast – powiedział zdenerwowany, że okazuje własną słabość.

– Ale nie leżałam w szpitalu. – Wstała i przeszła do garderoby. Kiedy ukazała się ponownie, miała na sobie długi szlafrok. – Muszę zająć się kuchnią. Dzieci niedługo będą w domu.

– Nie potrafię tego zrozumieć. Twojej obojętności. – Podszedł bliżej, aby widzieć jej twarz. Była bez wyrazu. Piwne oczy patrzyły na niego uważnie. Nie zauważył widocznych znaków przestrawienia czy choćby zmieszania. Żadnego napięcia, podenerwowania. Wydała mu się kimś zupełnie innym.

– Może zwyczajnie przeżywam to, że otarłem się o śmierć – westchnął z rezygnacją. Wiedział, że kłamie. – Jednak... – szukał właściwych słów, lecz bezskutecznie. – Kiedy stoisz nad brzegiem przepaści, wydaje ci się, że wszyscy pogodzili się już z twoim odejściem. To przykre uczucie.

– Chyba trochę przesadzasz. – Chciała już wyjść, ale ją zatrzymał.

– Po prostu chciałem odzyskać równowagę ducha. – Westchnął i nachylił się do niej. Potrzebował pieśczoży i pociechy, jak małe dziecko u piersi matki. Zdał sobie z tego sprawę dość niespodziewanie. „Potrzebuję cię, Barbaro! – wołał w duszy. – Do diabła, kochajże mnie!”

– Posłuchaj – zaczęła. – Gdybym wiedziała, że to coś poważnego, przyjechałabym. Wiesz przecież.

Zaniepokoiło go teraz coś innego: odniósł wrażenie, że próbowała przekonać samą siebie. Zmusił się jednak do milczenia. Wstał przyciągając ją. Po krótkim wahaniu podeszła bliżej.

– Nic ci nie jest – szepnęła obejmując go mechanicznie. – Nie ma o czym mówić.

Usłyszała gdzieś to wyrażenie, może nawet on kiedyś go użył. Ale był to sygnał, który stanowił ostrzeżenie. Coś tu nie grało, coś nie było w porządku. Tylko co?

– Wybacz, Barbaro, ale nie rozumiem.

Patrząc na niego wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Nic nie znaczący, pusty gest. Pomyślał, że jego nadmierna wrażliwość mogła być rezultatem zastosowanych w szpitalu medykamentów. Ale przecież wyczuwał obojętność. Obojętność. Niewidzialna antena na jego głowie potwierdzała odbiór tego sygnału.

– Jestem pewna, że po kolacji poczujesz się znacznie lepiej.

– Skąd ta pewność? I dlaczego ja jej nie mam?

Pokręciła głową. Odwróciwszy się wyszła i słyszał jej

kroki na schodach, słyszał, jak się od niego oddala. „Czy na długo?” – pomyślał.

Rozdział 7

Była w kuchni sama. Dzieci uczyły się z Anną w swoich pokojach, gdzieś z oddali dobiegało natarczywe szczekanie Benny'ego. Sąsiedzi znowu przyjdą ze skargą, że pies hałasuje. Mercedes spała na jednej z górnych półek w kuchni. Zmusiwszy się do koncentracji, Barbara włożyła kurczaka, podroby i kości do dużego emaliowanego garnka, który stał na kuchence. Nalała wody, uzupełniła szczyptą soli i przekreśliła włącznik. Usłyszała charakterystyczny odgłos, gdy płomyk pilota zapalił wydobywający się z palnika gaz.

Wycierając ręce w fartuch przeszła do jadalni, dotknęła chłodnego marmuru podręcznego blatu. W srebrnej wazie na poncz ujrzała swoje zniekształcone odbicie i przez moment zastanawiała się, czy to naprawdę ona. Może była jedynie elementem dekoracyjnym, równie pozbawionym życia jak stojący obok kandelabr, martwy przedmiot, który poza formą i historycznym rodowodem nie miał zupełnie nic. Nagle przypomniała sobie słowa matki, pełne wyrzutu i rozczarowania, gdy oznajmiła, że rzuca szkołę, aby poświęcić swoje życie Oliverowi. „Stare dzieje” – pomyślała z goryczą.

– Miłość nie oznacza, że musisz porzucić wszystko, co było do tej pory – ostrzegała ją matka.

– To tylko do czasu, kiedy Oliver ukończy studia – zapewniła ją.

– Ale ty też potrzebujesz czegoś dla siebie.

To było dla niej niespodzianką, bo myślała, że matka pracowała wyłącznie ze względów finansowych.

– Musicie zrozumieć, co to znaczy naprawdę kochać kogoś tak bardzo, jak ja kocham Olivera – odparła. Miało to wystarczyć za całą odpowiedź. Dlaczego nie ostrzegli jej, że uczucia mogą być tak zmienne? Tylko rzeczy materialne przetrwają próbę czasu. Wodziła palcami po wygiętych kształtach świecznika.

Jednak bardziej niż na matkę, zła była na siebie za młodzieńczą głupotę dziewiętnastolatki.

Miłość. Miłość kłamie. Dla Barbary była już tylko symbolem oszustwa.

Wcześniejsze emocje wróciły teraz z jeszcze większą mocą. Wcale nie chodziło jej o to, żeby będący w pełni sił Oliver nagle zakończył życie. To byłoby okrutne, niemoralne, w ogóle nie do pomyślenia. Lecz skoro tak ciężko zaniemógł – przecież taką informację otrzymała początkowo ze szpitala – to, co było nie do pomyślenia, stało się... no cóż, do pomyślenia.

Zadała sobie pytanie: Czy można żyć z taką świadomością? I czy można żyć dalej z Oliverem?

Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jak też wyglądałoby życie bez męża. Ta myśl już od dawna błąkała się w zakamarkach jej umysłu. Może nawet od samego początku. Oczywiście nie umiała określić, kiedy dokładnie przyszło jej to do głowy, bo zawsze mieli dużo zajęć: robili wielkie plany na przyszłość, budowali, wychowywali dzieci, pielęgowali rośliny i zbierali antyki. Ich wspólne życie było podzielone na okresy realizacji różnych projektów. Pomagała mu ukończyć studia. Odgrywała rolę uroczej żony rozpoczynającego karierę urzędnika, zwłaszcza wobec jego

przełożonych. Kwintesencja wizerunku idealnej towarzyszkii życia. Wiele razy zmuszała się, aby być ujmująco grzeczną. W domu stworzyła mu przytulną oazę, miejsce gdzie zapominał o kłopotach i odzyskiwał radość życia. Przeprowadzili się z małego mieszkania do dwupoziomowego apartamentu na przedmieściu. Potem były samochody, lekcje tańca, kolejne samochody i ortodonci. A uwieńczeniem wszystkiego był ten... ten gigantyczny dom, któremu poświęcili wszystkie siły i środki, w który włożyli całą swoją energię i wyobraźnię. Teraz dom jest już skończony. I co dalej? Weszła do biblioteki, gdzie Oliver czytał gazetę. To pytanie domagało się odpowiedzi. Miała ją przygotowaną.

– Nie przyjechałam do ciebie do szpitala w Nowym Jorku, bo nie obchodziło mnie, co się z tobą stanie. – Nie była to odpowiedź na postawione sobie pytanie, ale udało się jej wyrazić wszystko w jednym zdaniu. Oderwał wzrok od „The Washington Star” i zmrużył oczy, patrząc na nią znad wąskich szkieł.

– Nie obchodziło cię? – Zdjął okulary i ułożył je ostrożnie na poręczu fotela.

– Właśnie tak. Nie obchodziło mnie – powiedziała wyraźnie.

– To znaczy, że było ci wszystko jedno, czy będę żył, czy umrę? – Uderzał lekko palcami o udo. Zmrużył oczy.

– Tak, Oliverze.

– Mówisz poważnie? – Wydawał się całkiem zaskoczony.

Pomyślała o milionach innych kobiet, które niespodziewanie obwieszczały mężom tę samą prawdę.

– Zupełnie poważnie. Nie mam wątpliwości, że nic mnie już nie obchodzisz. I to od dawna. – Starła się zapanować nad nerwami. Powiedziała sobie przedtem, że musi zachować spokój i rozsądek.

– Tak po prostu. – Strzelił palcami. – Niszczysz całe życie, nasz związek, rodzinę. – Znowu strzelił placami. – Tak po prostu.

– Tak po prostu. – Odparła i powtórzyła jego gest. „Nie – pomyślała. – To wcale nie było tak po prostu”.

Patrzyła jak stara się opanować. Wstał i nalał sobie dużą szklankę whisky. Wypił jednym haustem. Po długim milczeniu odezwał się:

– Nie wierzę.

– Lepiej uwierz.

Siedziała na bliźniaczym fotelu. Wyprostowała plecy, a dłonie schowała pod kolanami. Figurki ze Staffordshire obserwowały scenę jak publiczność. Potarł podbródek.

– Masz kogoś? – z jego gardła wydobył się skrzeczący głos. Odchrząknął, aby nie zdradzić, że jest bliski płaczu.

– Nie.

– A chcesz mieć kogoś innego? – spytał szybko, okazując refleks doświadczonego prawnika.

– Może. – Powiedział jej kiedyś, że w czasie przesłuchania najlepiej udzielać niejasnych odpowiedzi.

– Czy zrobiłem coś niewłaściwego? – Łagodnością głosu chciał zyskać choćby isierkę nadziei.

– Nie.

– Wobec tego musi ci chodzić o coś, czego nie zrobiłem.

Ostrożnie dobierała słowa. Powiedziała łagodnie:

– To nie ma nic wspólnego z tobą jako człowiekiem. – Patrzyła na jego twarz, która teraz wyrażała narastającą złość.

– Co to ma znaczyć, do cholery? – wybuchnął. Rozumiała, że jego gniew był nieunikniony, miała tylko nadzieję, że nie uderzy w płacz. Bo wtedy też musiałyby okazać swoją obojętność.

– To znaczy – odpowiedziała spokojnie – że w niczym nie zawiniłeś i nie masz wpływu na sytuację. To wszystko moja wina. – Przerwała na chwilę i wzruszywszy ramionami mocniej zacisnęła ukryte pod kolanami palce. – Nie mogę znieść myśli o życiu z tobą choćby przez chwilę dłużej. Mówiłam ci: to nie twoja wina... Chciał jej przerwać, ale powstrzymała go ruchem dłoni. – I nie byłeś świadomy krzywd, jakie mi wyrządziłeś.

– Krzywd? – spytał drżącym głosem. – O czym ty mówisz?

– Wiem. Nie potrafię wyrazić swoich myśli, ale widzisz, nie jestem taka wykształcona...

– A więc o to chodzi – rzekł z wyszukany sarkazmem. – Poświęciłaś dla mnie swoje życie.

– Część życia.

– Przeze mnie rzuciłaś naukę. Zrobiłem z ciebie niewolnicę.

– W pewien sposób, tak.

– I, jak to się mówi, nie zrealizowałaś się życiowo?

– To też.

Wyczuła narastającą w nim pogardę. Czekala teraz na to, co musiało przyjść. Była gotowa.

– A dzieci? Czy one nie mają nic do powiedzenia?

– Dzieciom nic się nie stanie. Nie zamierzam zdjąć z siebie odpowiedzialności za ich los. A odpowiadając na twoje pytanie, to nie, nie mają nic do powiedzenia.

– Jezu – zajął jej w oczy. – To naprawdę ty?

– Tak. To ja.

– Nie jesteś Barbarą, którą pojąłem za żonę.

– Zgadza się, nie jestem. Przykro mi, Oliverze, naprawdę. Nie chcę sprawiać ci bólu.

W milczeniu przemierzał bibliotekę, tam i z powrotem. Po chwili stanął, pustym wzrokiem spojrzał na tytuły oprawionych w skórę książek i obszedłszy stolik nalał sobie kolejną porcję szkockiej. Gestem zaproponował jej drinka. Wyraźnie nie wiedział, co będzie dalej.

– Nie, dziękuję – powiedziała grzecznie.

Wzruszył ramionami i wychylił zawartość szklanki.

Nagle dźgnął się palcem w okolice mostka.

– Moje serce może tego nie wytrzymać.

– Weź „Maalox”.

Skrzywił się i ciężko westchnął. Nie spuszczał z niej wzroku.

– Robisz to z zimną krwią, ty suko.

– Przykro mi, że tak to oceniasz. – Mimo wszystko jego słowa ubodły ją. Nie była pozbawiona ludzkich uczuć, nie chciała też być okrutna. – Przepraszam cię, ale tego nie da się przekazać bezboleśnie.

– Przepraszasz? – Usta mu drżały, poznała, że miał w zanadrzu dalsze oskarżenia, lecz zmuszał się do spokoju. – To chyba epidemia. Wszystkie dziewczyny z naszego pokolenia mają niezaspokojone ambicje i żądze, całe listy

niezrealizowanych marzeń i fantazji. My harujemy jak woły, żeby was zadowolić, a teraz wy wypinacie się na nas. Za dobrze wam z nami było... – urwał. Tego również się spodziewała. Wyciągnął wszelkie możliwe argumenty. – Pewnie chcesz rozwodu? – spytał w końcu.

– Tak. – Kiwnęła głową.

– A próbna separacja nie wchodzi w grę? To ma być koniec?

– Powiedziała ci, co czuję. Po co się więc niepotrzebnie męczyć?

Wzruszył ramionami. Nie potrafił już opanować drżenia szczęki.

– Myślałem, że jestem dobrym mężem. Ze nasze małżeństwo jest naprawdę udane.

– Ale nie jest.

– To oznacza kłopoty i przykrości.

– I tak z nich składa się całe życie.

– Nie bądź, do cholery, taka filozoficzna.

Wstała. Co więcej było do powiedzenia? Mimo tej nieprzyjemnej rozmowy, poczuła się nagle wolna. Coś mówiło jej: „Walcz o swoje prawa”. Przypuszczała, że rano Oliver wyprowadzi się z domu.

Rozdział 8

Nie wyprowadził się rano. Był całkowicie zdezorientowany. Aby uniknąć kolejnej konfrontacji, wyszedł z domu o szóstej, gdy wszyscy jeszcze spali i ze zdziwieniem stwierdził, że na dworze jest bardzo zimno. Do pracy chodził piechotą.

Nigdy nie jeździł do biura swoim ferrari. Oprócz furgonetki Barbary nie posiadali innego samochodu, jeśli nie liczyć hondy Ewy. A komuż mógł zaufać i powierzyć tak cudowny wytwór przemysłu samochodowego? Ferrari stał w garażu okryty pokrowcem, jak rzadki klejnot w etui. Nawet w czasie niepogody, gdy szedł do pracy, z lubością myślał o swoim aucie: że stoi w garażu cudownie wyregulowany i w każdej chwili gotowy do jazdy. Jednak dzisiaj ta świadomość nie dawała mu przyjemności.

W nocy nie mógł spać. Nie był przyzwyczajony do wysokiego łóżka Chippendale z baldachimem, które stało w wolnym pokoju naprzeciwko ich sypialni. Kiedy je kupowali, wyglądało bardzo zachęcająco. Było za wysokie i zbyt twarde. Wolny pokój umeblowali z myślą o gościach: stał tam piękny intarsjowany sekretarzyk Hepplewhite rzeźbiony w drzewie atlasowym, mahoniowa toaletka i powleczone czarnym japońskim lakierem komoda. Na podłodze leżał okrągły dywan w stylu Art Deco, w oknach wisały ciężkie zasłony dopasowane odcieniem beżu do dywanu. Pomyślał, że komfort nie zawsze idzie w parze z efektownym wyglądem.

Ponieważ kręcił się i wiercił, prześcieradło wysunęło się spod materaca i stłamszone poniewierało się po i tak niewygodnym łóżku. Nie zdobył się jednak na to, żeby wstać i wyprostować je, masochistycznie karząc się w ten sposób za małżeńskie niepowodzenia.

To zjawisko – inaczej nie dałoby się tego określić – nie było nie znane wśród jego znajomych. „Podeszła do mnie i powiedziała: , Nasze małżeństwo jest skończone'. Może gdy kobiety zbliżają się do czterdziestki, coś w nich przeskakuje". Słyszał już setki takich opowieści.

– Nic, tylko epidemia – zdecydował idąc szybko, niemal biegnąc Connecticut Avenue. W końcu przystanął bez tchu i oparł się o brzeg fontanny przy rondzie DuPont. I dopiero wtedy dotarło do niego, że oto teraz będzie musiał zacząć żyć całkowicie od nowa, do czego był zupełnie nieprzygotowany. A jeszcze do tego nie był w formie. Może lepiej by było, gdyby dostał jednak ataku serca.

Gdy zbliżał się świt, zdał sobie sprawę, że wyczerpał już wszystkie możliwości, lecz nie znalazł wyjaśnienia. Przypomniawszy sobie całe ich wspólne życie, od momentu gdy po raz pierwszy spojrzeli na Barbarę w domu Barkerów w Chatham. Cribb i Molineaux. W noc poślubną ustawili ich figurki, tak że wreszcie tworzyły parę.

– Nie kłóćmy się. Niech oni przejmą na siebie nasze nieporozumienia i niech walczą – powiedziała wtedy.

Przez lata często to sobie powtarzali, ale teraz, w nowej sytuacji, to wspomnienie wcale nie poprawiło mu humoru. Kiedyś pomyłka licytatora wydawała się dziełem opatrności. Obecnie była już tylko niekompetencją i głupotą. Gdyby nie

rozdzielił tej pary figurek, oszczędzone by mu było to, co czuł w tej chwili.

Oliver uważał, że był dobrym i kochającym mężem. Chciał jeszcze dodać „wiernym”, ale to byłoby sprzeczne z prawdą. Kiedy dzieci były jeszcze małe, dwa razy zdradził Barbarę z prostytutkami podczas konferencji w San Francisco i Las Vegas. „Boże, przecież miała wszystko, czego pragnęła”. Niepewność i zupełna pustka w głowie wyczerpywały jego energię.

Najbardziej doskwierała mu świadomość, że niczego się nie domyślał. Nie dała po sobie nic poznać. Żadnego ostrzeżenia. Nie lubił być zaskakiwany w ten sposób.

– Nieszczególnie dziś wyglądasz – powitał go z uśmiechem jeden z kolegów, gdy Oliver szedł korytarzem do swojego biura. Biegacz. Zawsze pojawiał się w pracy jako pierwszy. Oliver nie chciał pokazywać się ludziom, bo sam jego wygląd mówił wszystko. Widział to już wiele razy: nieogoleni, przygarbieni, w pogniecionych garniturach, koszulach z wymiętym kołnierzykiem, przemykali się do swoich pokoi przed siódmą rano. Kolejne ofiary wściekłości płci nadobnej.

– Ani słowa więcej – odprawił Bogu ducha winnego kolegę, popędził do gabinetu i zanurzył się w obrotowym fotelu za biurkiem. Z fotografii w srebrnej ramce patrzyła na niego Barbara, uśmiechnięta tajemniczo jak Mona Lisa. Wyrzucił zdjęcie do kosza. Stracił rachubę czasu: siedział ogarnięty uczuciem bezsily, pustki. Chciało mu się płakać.

Do pokoju weszła jego sekretarka – panna Harlow, tryskająca humorem kobieta w średnim wieku – i od razu

zauważyła fotografię wśród śmieci.

– Dzisiaj musisz być dla mnie miła i wyrozumiała – powiedział.

– Zauważyłam.

– I od tej pory poproszę pączka do porannej kawy.

– Z dżemem czy bez?

– Nie wiem – wyznał. Uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– I nie próbuj mnie rozweselać.

Zaraz po jej wyjściu zadzwonił Harry Thurmont. Oliver skrycie żywił nadzieję, że to Barbara zatelefonuje do niego, przeprosi, poprosi o wybaczenie. Harry'ego znał dość powierzchownie. Był adwokatem od spraw rozwodowych. Ludzie mówili o nim: „Bombowiec”. Poczł wzmożone bicie serca.

– Rose, pańska żona powierzyła mi wiadomą sprawę – powiedział Thurmont z nutką ironii w głosie.

– Spodziewam się, że jest pan równie dobry jak inni – odparł ponuro Oliver.

Rozzłościła go energia, z jaką Barbara zabrała się do rzeczy i od razu zwróciła się do prawnika. Pomyślał, że będzie musiał zrobić to samo.

– Jeśli będzie pan rozsądny, wszystko pójdzie gładko – rzekł Thurmont.

– Nie jestem jeszcze przygotowany, żeby o tym rozmawiać.

– Wiem. Naprawdę bardzo mi przykro. Próbowałem odwieść ją od tego. Na początku zawsze tak się robi. Uczyli nas tego w szkole. Obawiam się, że pańska żona nie zmieni decyzji.

– Żadnej szansy? – wymamrotał do słuchawki. W tej samej chwili zorientował się, że nie powinien okazywać ciekawości.

– Najmniejszej.

„Nic mnie już nie obchodzisz. I to od dawna” – powiedziała mu. Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

– Może jednak...

– Ona się już zdecydowała.

– A skąd pan o tym wie? – spytał napastliwie.

– Czeka pana ciężka przeprawa – rzucił ostro Thurmont. – Niech pan się do tego przygotowuje.

– Aż tak źle?

– Jeszcze gorzej.

– Nie rozumiem.

– Już niedługo pan zrozumie.

– Kiedy?

Thurmont zignorował pytanie.

– Radzę, żeby jak najszybciej znalazł pan sobie adwokata – powiedział złowieszczo.

Oliver pokiwał głową. Znał tę kardynalną zasadę prawniczego świata: tylko głupiec broni się sam, zwłaszcza w sprawach cywilnych.

– Może kiedy trochę ochłonie... – zaczął z nadzieją. Thurmont zdusił śmiech. Był to głos drapieżnika, który chwycił w szpony ofiarę. Oliver odłożył słuchawkę. Długo patrzył na telefon zastanawiając się, czy Barbara powiadomiła dzieci. Otarł spocone palce i drżącą ręką nakręcił numer do domu. Usłyszał Annę.

– Pojechała na targowisko z nową porcją *pate*.

– Wobec tego... – zaczął. Chciał ją zapewnić, że nie będzie musiała wchodzić w całe to bagno.

– Czy mam jej coś przekazać, Oliverze?

– Owszem. I to dość niemiłe rzeczy.

– Bardzo mi przykro.

Był pewien, że niedługo Barbara przeciągnie ją na swoją stronę i nastawi przeciwko niemu. Tak samo będzie z dziećmi. Ale dlaczego? Gdyby miał choćby najmniejszą wskazówkę, gdyby wiedział, jakiegoż to przestępstwa się dopuścił. Może wtedy byłby w stanie pogodzić się z karą.

Poprosił rozwiedzionego niedawno kolegę o nazwisko jakiegoś dobrego adwokata. Kolega – Jim Richards – bez zastanowienia powiedział:

– Harry Thurmont.

– To już adwokat mojej żony.

– Biedaku. – Popatrzył smutno na Olivera. – Bierz nogi za pas. On wydrze ci ostatnią parę gaci.

– Wątpię. Mam nadzieję, że oboje zachowamy się jak ludzie cywilizowani.

– Cywilizowani? Harry Thurmont to dzika bestia. Wkracza na tereny, gdzie obowiązuje prawo dżungli.

– Przewracał kartki notesu z numerami telefonów.

– Spróbuj zwrócić się do Murraya Goldsteina. Pracuje w tym budynku. Były rabin. Da ci porządny wykład i okaże współczucie. Będziesz go potrzebował.

– Jej zależy tylko na tym, żebym się wyniósł – mruknął.

– Wszystkie tak mówią.

Umówił się z Goldsteinem na ten sam dzień – mógł na to liczyć, w końcu obaj byli prawnikami. Zanim wyszedł na

spotkanie, jeszcze raz zadzwonił do domu. Może Barbara już wróciła, może to wszystko było tylko złym snem. Miał szczęście. W słuchawce usłyszał jej głos.

– Ciągłe w złym humorze? – zapytał łagodnie. „Z jakiego powodu? – pomyślał. – Do licha, nie można przekreślić w ten sposób całego życia”. Był skłonny jej wybaczyć.

– Nie jestem w złym humorze.

– I wciąż myślisz o rozwodzie? – Wymogła na nim pytanie.

– Czy Thurmont dzwonił już do ciebie?

– Dzwonił.

– To nie są moje humory. Musimy ustalić mnóstwo szczegółów. Koszty sądowe są niższe, gdy rozwód jest za obopólną zgodą.

Jej pragmatyzm rozbudził w nim złość. Proszę, proszę, jak to się przeszkoliła.

– Barbaro! Do diabła ciężkiego... – Oddychał gwałtownie. Przypomniawszy sobie pobyt w szpitalu i nie potrafił się od tego wyzwolić. – Nie możesz tego zrobić.

– Przecież już wczoraj odbyliśmy tę rozmowę – westchnęła.

– Powiedziałaś dzieciom?

– Tak. Mają prawo wiedzieć.

– Przynajmniej mogłaś zaczekać na mnie. To było nie fair.

– Uważałam, że najlepiej będzie, jeśli usłyszą to bezpośrednio ode mnie. I poznają moje powody.

– A co z moimi powodami?

– Z pewnością wyjaśnisz im swój punkt widzenia. Aha,

nie będziemy chyba wzniecać niepotrzebnych sporów co do opieki nad dziećmi? – Zirytowała go jej spokojna rzeczowość. Ponownie uczuł w sercu bolesny skurcz. Wydobył z pojemnika dwie tabletki „Maaloxu” i szybko je rozgryzł.

– Chyba nie – odparł niepewnie.

– Po co komplikować im życie? Powiedziałam im, że będziemy mieszkać oddzielnie, ale będą mogli często cię widywać. Takie przyjąłem założenie. Jesteś ich ojcem. Chyba nie obiecałam im zbyt wiele?

– Nie chcę, żeby cierpiały – odparł łamiącym się głosem.

Serce nie biło już tak gwałtownie. Przełykał co chwilę, żeby pozbyć się nieprzyjemnego smaku lekarstwa. „Niszczy moje życie i jeszcze zmusza mnie, żebym w tym uczestniczył”, pomyślał gorzko. Czuł się bezsilny. Pokonany i bezbronny.

– A więc to już koniec? – spytał. Czekał na odpowiedź, na jakikolwiek sygnał niosący jeszcze cień nadziei, ale czekał daremnie. Odpowiedzią było milczenie. – Gdybym wiedział o tym wcześniej, gdybym był na to przygotowany, otrzymał jakiś znak, cokolwiek. Czuję się, jakbym dostał kulę między oczy.

– Nie rób z tego melodramatu. Nasz związek rozkładał się od wielu lat.

– Więc dlaczego nigdy niczego nie zauważyłem?

– Ale zarejestrowała to pewnie twoja podświadomość.

– Widzę, że teraz bawisz się w psychologa – powiedział złośliwie. Nie widział powodu, żeby jej tego oszczędzić. Nie miał wątpliwości, że gdyby w tej chwili była obok niego,

byłby ją uderzył. Chciał rozbić jej twarz, zetrzeć jej słowiańskie rysy, wydrapać piwne, patrzące z pogardą oczy.

– Dziwka – wymamrotał.

– Oczekuję, że przyjedziesz zabrać swoje rzeczy – odezwała się spokojnie.

– Chyba... – Co jeszcze zostało do powiedzenia? Rzucił słuchawkę na widelki. – *Fini* – szepnął. Nałożył wymiętą marynarkę i poszedł na umówione spotkanie z Goldsteinem.

* * *

Goldstein miał łagodną twarz o semickich rysach. Mówił jak rabin, takie przynajmniej odnosiło się wrażenie, bo na ścianach wisały dyplomy wypisane po hebrajsku, sąsiadujące z amerykańską licencją adwokata. Miał kręcone czarne włosy okalające szeroką łysinę. Grube okulary w rogowej oprawce osłaniały ciężkie powieki, spod których patrzyły badawczo jego oczy. Był w białej koszuli, miał mankiety spięte fantazyjnymi spinkami, a na szyi krawat w pasy. Zapalił wielkie cygaro, gdy Oliver zasiadł w miękkim fotelu obok biurka.

Goldstein był otyły, zwisały mu trzy podbródki, miał krótkie grube palce, w których teraz delikatnie trzymał cygaro. Na nisko zawieszanej półce widniała oprawiona w ramki fotografia przedstawiająca znacznie młodszego i przystojniejszego Goldsteina z trójką spasionych dzieci i również korpulentną żoną.

– Nie cierpię rozwodów – powiedział spoglądając na swój rodzinny portret. – Rozbite rodziny. *Shanada*. Przepraszam,

w jidysz to znaczy „szkoda”.

– Mnie też to się nie podoba.

– Z czyjej inicjatywy? – spytał Goldstein.

– Mojej żony.

Goldstein pokręcił głową, wypuszczając w powietrze chmurę dymu. Sprawiał wrażenie człowieka mądrego, rozważnego i współczującego zarazem. Oliver wyobraził go sobie z długą brodą, w mycce na głowie, jak udziela pociechy i rady strapionym. Wiedział, że rozmowa z duchownym wydobyłaby z niego ukryte dotąd poczucie winy. Najbardziej potrzebował możliwości wyspowiadania się, tylko z czego? Znowu miał niespokojne myśli, przez jego głowę przelatywały, jak strumień świadomości, osady, oskarżenia, fakty i odkrycia, a wszystko to miało dać Goldsteinowi subiektywny i pełen żalu obraz jego osiemnastu lat małżeństwa.

Goldstein słuchał go cierpliwie, coraz kiwając głową i zaciągając się cygarem, które tkwiło nieruchomo w jego ustach. Dłonie splótł czubkami grubych palców.

Oliver skończył i włożył do ust tabletkę „Maaloxu”. Były rabin sięgnął po przygasłe cygaro i położył je w popielniczce. Kiwając głową wstał, sięgnął po żółty notatnik i zaczął pytać:

– Czy jest inny mężczyzna?

– Nie przypuszczam.

– A któż z nas przypuszcza? A kobieta?

– Nie.

– Wspólna własność?

– Dom i zebrane w nim antyki oraz inne rzeczy. Na to wydawaliśmy wszystkie nasze pieniądze. Według mnie dom

jest wart co najmniej pół miliona, antyki drugie pół, jeśli nie więcej. Boże, tak kochaliśmy to miejsce. – Jego oczy pokryła mgiełka.

Goldstein kiwał głową jak psychoanalityk słuchający historii życia swego pacjenta.

– Na jaką ugodę gotów jest pan pójść? – spytał brutalnie Goldstein.

– Nie jestem pewien, nie miałem czasu się zastanowić. Z dziećmi nie będzie chyba problemu. Dobrze zarabiam i chcę, aby żyły w dostatku. Gotów jestem zaoferować sporą sumę.

– A dom?

– Nie wiem. Powiedzmy połowę wartości. W końcu to nasze wspólne dzieło. Tak, zgodzę się na połowę całej wartości.

– Czy woli pan dobry kontrakt, czy też chce pan być sentymentalny? Jeśli to drugie, to nie powinien się pan rozwodzić. Szczerze mówiąc ja też czułbym się lepiej. Nie lubię tej przepychanki z dziećmi, które traktuje się jak worek treningowy. Dzieci powinny być *brucha*. – Spojrzał na Olivera. – Błogosławieństwem niebios.

– Niech pan posłucha, Goldstein. Rozwód nie był moim pomysłem. – Poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

– Rozumiem – Goldstein wykonał uspokajający ruch grubą ręką.

– Musi pan zachować spokój. Proszę się powstrzymać od działania pod wpływem chwilowych emocji.

– Oliver poczuł, że Goldstein przejmował inicjatywę.

– Wiem, co pan ma na myśli – powiedział ostro.

– Najlepiej, żeby wszystko odbyło się szybko i

bezboleśnie. Żadnych komplikacji, żadnego zawracania głowy, za to na zakończenie rachunczek na okrągłą sumkę.

– Święte słowa.

– Mam nadzieję, że i ona myśli podobnie.

– Niczego nie można być pewnym. To podstawowa zasada prawa cywilnego. Niczego nie można być pewnym. Rozwód doprowadza ludzi do ostateczności.

– Ale mnie nie doprowadzi – mruknął Oliver.

– Skoro rozwód jest postanowiony, niech pan nada sprawie możliwie najszybszy bieg.

– W dystrykcie Kolumbia obowiązuje sześciomiesięczny okres oczekiwania, jeśli rozwód ma być za zgodą obojga małżonków, bez niczyjej winy. To najszybszy sposób. Jeśli będą kwestie sporne, okres wydłuża się do roku. Każda z tych dróg prowadzi do rozwodu, ale podział majątku to zupełnie inna sprawa. Może się ciągnąć bez końca, a jeśli sprawa trafi do sądu, czekanie jeszcze bardziej się wydłuża. Wszystko zależy od sędziego. – Goldstein pochylił się wypuszczając dym.

Oliver przytaknął ruchem głowy. Nie bardzo nadażał za szybkim rozwojem sytuacji.

– Do tego nie dojdzie.

– To jedynie pańskie nadzieje.

– Przecież jesteśmy z żoną rozsądnymi ludźmi.

– Byliście.

– Znam prawników. Potrafią nieźle nabruździć. Thurmonta nazywają „Bombowcem”.

– Osobiście mam mieszane uczucia. Rozprawa w sądzie może mnie uczynić jeszcze bogatszym. Mam kochającą, w

pełni oddaną mi rodzinę, panie Rose. – Popatrzył z lubością na fotografię. – Wszystkie dzieci są już na studiach. Mam bardzo duży dom w Potomac, gosposię na stałe, dwa mercedesy i jeżdżę do Izraela dwa razy każdego roku. Harry Thurmont ma to samo co ja, a dodatkowo samolot i dom w Saint Thomas. Jest zawsze pięknie opalony, co znaczy, że często wyjeżdża na wakacje.

– Niech pan sobie daruje te wykłady. Ja też jestem prawnikiem.

– To niedobrze, bo potrzebuje pan wykładu bardziej niż hydraulik. Możemy oczyścić pana do gołych kości. – Cygaro Goldsteina zgasło i Oliver poczuł nieprzyjemny zapach jego oddechu.

– No dobrze, udało się panu. Jestem naprawdę przerażony. Ale mówiłem już, że chcę załatwić to polubownie. Żadnych tarć. Nie mogę znieść myśli, że ktoś wzbogaci się kosztem mojego nieszczęścia.

Goldstein powtórnie zapalił cygaro, zaciągnął się głęboko i dmuchnął chmurą gęstego dymu.

– Porozmawiam z Thurmontem i skontaktuję się z panem – powiedział wstając. – Od tej pory będziemy rozmawiali z pańską żoną wyłącznie za pośrednictwem Thurmonta.

– A ja mam płacić za was obu?

– Chodzi o zasadę.

– A może o pieniądze?

– Nie namawiam ludzi do rozwodów.

– Ale przecież to nie z mojej winy – **zaprotestował** Oliver.

– A czy z mojej?

Oliver pożałował teraz, że wynajął Goldsteina. Miał w głowie jeszcze większy mętlik niż przedtem. Wstawał z fotela, gdy usłyszał pytanie:

– Czy wyprowadził się pan już z domu?

– Nie. Może zrobię to dziś wieczorem. Jakoś nie mogę się na to zdobyć.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł zdziwiony swoją szczerością.

– To moje gniazdo. Nie potrafię go opuścić. To moje życie, moje orchidee, wino, warsztat, figurki ze Staffordshire.

– Co takiego?

– Ślicznie pomalowane figurki. Jest wśród nich błękitna...

– Nic z tego nie rozumiem, panie Rose – przerwał mu Goldstein.

– Ja też. Zupełnie nic nie rozumiem. – Nigdy jeszcze nie odczuwał takiego zagubienia, beziły, braku zdolności do podejmowania decyzji. Spojrzał w oczy Goldsteina, ale znalazł w nich jedynie żalobną powagę. Poczul się jeszcze bardziej przygnębiony.

– Potrzebuję czasu – odezwał się po długiej przerwie.

– Czasu mamy dosyć.

– Naprawdę? – Wydało mu się, że to pierwsza racjonalna myśl tego dnia. – Właśnie przekreśliłem prawie dwadzieścia lat swojego życia. – Był zbyt podenerwowany, żeby kontynuować tę rozmowę. – Kiedy porozmawia pan z Thurmontem, proszę do mnie zadzwonić – rzucił wychodząc z gabinetu. Nie bardzo wiedział, dokąd ma teraz iść.

Rozdział 9

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Ewa. Wpakowała się do pokoju Anny, która właśnie pracowała nad bibliografią do swojej pracy magisterskiej na temat: „Jefferson jako sekretarz stanu”. Ilość książek do przeczytania i źródeł, które musiała sprawdzić, przerażała ją. Anna nie była w nastroju, żeby wysłuchiwać kolejnych zwierzeń nastolatki, poza tym nauczyła się już traktować jej wynurzenia z dużą rezerwą.

Kiedy jednak podniosła wzrok i ujrzała zaaferowaną twarz i załzawione oczy dziewczyny, zmieniła zdanie. Ewa pochyliła się nad nią i przytuliła mocno, zbliżając twarz do policzka Anny, która dotykała lekko jej głowy, czekając aż Ewa zacznie mówić.

– Oni się rozchodzą – wykrztusiła w końcu zanosząc się płaczem.

– Chwileczkę, co to ma znaczyć? – spytała Anna, obejmując ją i odwracając do siebie. Tuliła ją uspokajająco.

– Mama i tata. Zdecydowali się żyć osobno – wyrzuciła z siebie Ewa, kiedy już mogła normalnie mówić.

Oczywiście Anna wiedziała już, co się stało, ale nie dotarło to jeszcze do jej świadomości. A więc niemożliwe stało się. Ciągle broniła się przed tą myślą – przecież żaden człowiek nie jest przygotowany na niespodziewane ziszczenie się nieprawdopodobnej fantazji. Poczuli się winna.

– Na pewno niedługo się pogodzą – rzekła cicho.

Pomyślała, że to jakieś krótkotrwałe spięcie, chociaż w rzeczywistości nie wiedziała, o co im poszło.

– Małżonkowie zawsze się kłócą. – Faktem było, że nigdy nie słyszała, aby mówili do siebie podniesionym głosem.

– To nie jest zwykła kłótnia, Anno – odparła Ewa. Była już trochę spokojniejsza. Nagle stanęła wobec problemów dorosłego życia. Anna wiedziała, że takie zdarzenia mogą przyspieszyć zakończenie okresu dzieciństwa, mogą wymusić na dziecku przedwczesne dojrzewanie. Ewa przysiadła na brzegu łóżka i zapaliła papierosa. Na języku poczuła okruch tytoniu. Zdjęła go i wyrzuciła.

– To była deklaracja niepodległości, Anno – stwierdziła Ewa wydechając dym. – Nie poznawałam jej, chociaż rozumiałam, co mówi. Powiedziałam, że to nie zmieni mojego związku z tatą, że wszystko odbędzie się zgodnie i kulturalnie. Była tego pewna.

– Pokręciła głową i westchnęła.

Anna czekała, chciała spytać, co było faktyczną przyczyną rozpadu rodziny. Ewa jakby czytała w jej myślach.

– Mama powiedziała, że to ona podjęła tę decyzję.

Powiedziała, że jestem już kobietą i na pewno ją zrozumie. Chodzi jej o to, żeby być wolną i móc realizować swoje ambicje oraz żeby nie być dłużej traktowaną jako dodatek do męża. Powiedziała, że tata jest silny i czas zaleczy jego rany. – Spojrzała na Annę dzikim wzrokiem. – Nie wiedziałam, co przez to rozumie, więc poprosiłam o wyjaśnienie i otrzymałam je – dodała z ogłupiałym wyrazem twarzy. – Nie wiedziałam, że jest „dodatkiem”. Najgorsze jest to, że nie była z tatą szczęśliwa.

– Może on też nie był szczęśliwy – wypaliła Anna. W tej samej chwili tego pożałowała. Szukała w sercu innego wytłumaczenia.

– Nic o tym nie mówiła.

– Jestem pewna, że oboje mają swoje powody.

– Po tym jak mi to powiedziała, czułam się, jakby przejechał mnie samochód. Wciąż jestem zszokowana. Przecież wszyscy, moi znajomi i ja sama też, wierzyliśmy, że są najszczęśliwszym małżeństwem na świecie. Tyle ich łączyło, tyle rzeczy robili wspólnie, razem zbudowali ten dom – uniosła głos i rzuciła papierosa do pudełeczka ze spinaczami. – Poprosiła mnie, bym postarała się zrozumieć, a ja obiecałam, że spróbuję. Ale to było kłamstwo. Nie jestem w stanie tego pojąć. Od czego ona chce się uwolnić?

Anna odetchnęła głęboko.

– No cóż... – szukała przez chwilę właściwych słów. – Może to dla nas zbyt skomplikowane i dlatego nie umiemy tego zrozumieć.

– Ma wszystko, absolutnie wszystko. Jej firma właśnie znakomicie wystartowała. A my z pewnością nie przysparzamy jej zmartwień.

– Powiedziała Joshowi?

– Dowiedział się o tym jeszcze przede mną. A znasz go przecież. Gdy coś mu doskwiera, chowa się w kącie jak zбитy pies. Tak jak Benny, kiedy tata na niego nakrzyczy. Widziałam, jak oparł się o drzewo przed domem i odbijał piłkę. Już wtedy domyśliłam się, że coś jest nie w porządku. Ale żeby aż tak?

– Rozmawiałaś o tym z ojcem?

– Nie było go. Wczorajszej nocy spał w pokoju gościnnym. Nie rozmawiałam z nim i trochę boję się tej rozmowy. Dużo ostatnio przeszedł. Przyszło mi do głowy, że może umierał, a żadne z nas nie przyjechało, aby być u jego boku.

Anna także nie potrafiła tego zrozumieć. Obserwowała początkowe zdenerwowanie Barbary, gdy tylko otrzymała wiadomość ze szpitala. Lecz niespodziewanie szybko jej objawy i emocje ustąpiły. Co prawda Ewa nie słyszała tego, co powiedziano Barbarze, ale sposób w jaki przeszła nad tym do porządku dziennego i zaczęła przygotowywać tace z *cassoulet* dla Pakistańczyków, pozwalał się domyślać, że niedyspozycja Olivera była niegroźna. „Nic mu nie będzie – powiedziała Barbara i miała rację. – To nie może być atak serca. On jest na to jeszcze za młody. A Rose'owie to długowieczna rodzina”.

– Nie mogę mieć do niego pretensji, jeśli będzie zdenerwowany – odezwała się Ewa. – Ale nie spodziewałam się, że to właśnie ona... – Wyraźnie nie potrafiła dojść do siebie po rozmowie z matką.

– Może wszystko jakoś się ułoży – odrzekła Anna. Nie wiedziała, co o tym myśleć, miały ją sprzeczne emocje. Zastanawiała się w jaki sposób nowa sytuacja wpłynie na jej status w ich domu. Czyjej nie zwolnią? Z pewnością Barbara będzie jej teraz potrzebowała jeszcze bardziej niż przedtem. Nie mogła jednak znieść natrętnej myśli, że już nie będzie widywała się z Oliverem i nagle, wbrew wszelkiej logice, poczuła się oszukana i zdradzona. „On mnie opuści”, pomyślała przestraszona. Nie spodziewała się, że tak mocno

to odczuje.

– Mama była już u adwokata. To, niestety, koniec szczęśliwej rodziny Rose'ów – powiedziała sarkastycznie Ewa.

– Ojciec jeszcze się nie wyprowadził? – spytała Anna. Nie była pewna, czy wszystko dobrze zrozumiała.

– Jeszcze nie.

– Poradzi sobie w każdej sytuacji. Na pewno wszystko mu się ułoży.

– Naprawdę? – Z oczu Ewy popłynęły łzy. – Biedny tatuś.

– Wyciągnęła ręce i Anna przytuliła ją serdecznie.

„A kto mnie pocieszy?” – pomyślała obejmując mocniej Ewę.

* * *

Siedząc za biurkiem nasłuchiwała znajomych kroków. Była już bardzo śpiąca, lecz mimo to zgrzyt klucza w zamku frontowych drzwi rozbudził ją w jednej chwili. Krew w jej żyłach poczęła krążyć szybciej: to adrenalina dodała jej energii. Usłyszała szczekanie Benny'ego i stukot jego pazurów na marmurowej podłodze. A więc już wrócili. Barbara nie wpuszczała Benny'ego do domu, chyba że razem z Oliverem. „Czyżby nienawidziła również tego zwierzęcia?”, zastanawiała się Anna. Czekwała, aż na schodach rozlegną się kroki Olivera, jednak nic takiego nie nastąpiło. Wyszła z pokoju i stanęła u szczytu schodów, wpatrując się w ciemność, nasłuchując dźwięków dochodzących z pograżonego we śnie domu. Czy inni także słuchają przed

drzwiami, z niepokojem oczekując rozwoju wydarzeń?

Kiedy upewniła się, że w domu panuje idealna cisza, zeszła piętro niżej i po kolei przystawiała ucho do drzwi Ewy i Josha, lecz nie ośmieliła się podejść do pokoju Barbary. Wymyśliła sprytne alibi: szła do kuchni, żeby zrobić sobie kubek herbaty, tak jak zawsze, gdy do późna ślęczała nad książkami. Całkiem wiarygodna historyjka. Wrzucała tylko torebkę ekspresowej herbaty do filiżanki i wlewała wrzątek z kranu przeznaczonego specjalnie do tego celu.

W kuchni zdecydowanym ruchem postawiła filiżankę na spodku. Zrobiła to umyślnie głośno, tak aby dźwięk był dobrze słyszalny. Nie chciała być podejrzana o skradanie się po domu. Musiała się z nim zobaczyć. Dlaczego musiało się to przytrafić akurat jemu? Jak Barbara mogła porzucić takiego człowieka, jak Oliver?

Zdjęła z półki drugą filiżankę, wrzuciła do niej torebkę z herbatą, zalała wrzątkiem i postawiła obydwie filiżanki na tacy. Czegoś jej brakowało, więc rozejrzała się dokoła i dostrzegła fajansową miseczkę, w której Barbara trzymała kruche ciasteczka w czekoladzie. Położyła kilka z nich na tacy i ruszyła do biblioteki.

Leżał na skórzanej kanapie, blady i nieogolony, przesłaniając ręką oczy od światła. Usłyszawszy kroki podniósł szybko głowę, ale się rozczarował. Na pewno przypuszczał, że to Barbara.

– Właśnie robiłam sobie herbatę i pomyślałam, że może i ty... – Ręce jej drżały, a filiżanki na tacy zachwiały się niepewnie.

W powietrzu unosił się odór alkoholu i nagle zdała sobie

sprawę, że on może być pijany. Pod grubym szlafrokiem i piżamą poczuła swoją nagość i twardnienie sutków.

– Niepotrzebnie się trudziłaś, Anno – powiedział chrapliwie.

Uniósł się jednak na łokciu i zmrzywszy oczy patrzył na nią. Nie był pijany, lecz na pewno trochę wypił. Odwracała się już, gdy dodał:

– Chociaż, niech tam. – Usiadł i przyglądał dłońmi włosy. Podsunęła mu tacę, z której wziął filiżankę. Ciastek jednak nie ruszył. – Dobra – odezwał się po chwili. – Bardzo dobra i gorąca.

– Czasami, gdy się uczę, lubię napić się herbaty. Dodaje mi energii.

Pomyślała, że on zmusza się, aby okazać jej grzeczność. Tak naprawdę nigdy jej nie zauważał. A na pewno nie patrzył na nią jak na kobietę. Położyła tacę na kanapie obok niego i stojąc piła herbatę.

– Pewnie już wiesz, co się stało? – spytał.

Kiwnęła głową, lecz on nie uniósł głowy wpatrzony w swoją filiżankę.

– Chciałem wrócić do domu na kolację, ale pomyślałem, że przecież nie mogę. Poszedłem do baru w „Hiltonie”, potem zjadłem kolację w bistrze. Czy wyobrażasz sobie, jak anonimowe jest życie w hotelu? – Spojrzał na nią przelotnie, potem błędził wzrokiem po bibliotece.

Była mu wdzięczna, że nie czekał na jej odpowiedź.

– Nie mogę tego pojąć, Anno. Człowiek buduje sobie fortecę, aby chronić go przed okropnościami, jakie niesie życie. – Popatrzył na swoje dłonie. – Dużo zrobiłem tymi

rękami, znam najdrobniejsze szczegóły konstrukcji tego domu. Boże, pracowałem jak szaleniec, żeby ustawić te półki, odnowić tamten „czynszowy” stolik. Znaleźliśmy to głównie w małym sklepiku z antykami na peryferiach Frederick. Niesamowity mebel. Lokator wkładał czynsz do jednej z tych skrytek, a właściciel domu przekręcał blat, zabierał pieniądze i wrzucał je do szuflady. Szybko i bez problemów. To jakby symbol. Wiedziałaś o tym?

– Josh kiedyś mi to opowiadał.

– Josh. O, cholera.

– Czują się dobrze. Odbyłam z Ewą długą rozmowę.

Postawił filiżankę na tacy i niespodziewanie wyciągnął do niej rękę. Nie mogła się ruszyć, bo trzymała w dłoniach herbatę, ale poczuła drżenie kolan.

– Kochana Anna. Zawsze byłaś wspaniała.

Nie mogła wytrzymać. Jej ciałem wstrząsały dreszcze wywołane gwałtowną emocją, w uszach czuła przyspieszone uderzenia serca. Odłożyła filiżankę i chwyciła jego rękę, ale nie ruszyła się z miejsca. Boże, tak bardzo chciała objąć go i przytulić. Czuła ciepło jego dłoni.

– Nie wiem, co im mam powiedzieć, jak to wyjaśnić. – Wciągnął przez zęby powietrze. – Zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Jak to nie wiesz? Ty nie wiesz?

Zabrał rękę. Nie próbowała go powstrzymać. „Pozwól mi kochać cię!”, krzychała w głębi duszy, aż się przestraszyła własnych myśli. Patrzyła, jak ukrył twarz w dłoniach.

– Jeszcze nigdy tak się nie czułem. Nie wiem, co robić. Nie potrafię spojrzeć ludziom w twarz. Po prostu wegetuję.

Nie chce mi się nawet wyprowadzić. Jestem dosłownie sparaliżowany. Niezdolny do niczego. Stałem przed „Hiltonem” i poczułem się tak strasznie samotny, że wpadłem w panikę. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Może nawet straciłem poczucie czasu. Nawet nie pamiętam, jak wróciłem do domu.

Podniósł głowę, jakby chciał, aby ujrzała jego cierpienie. „Zaufaj mi”, błagała go w duszy.

– Czuję się zupełnie bezbronny, nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Może to minie – powiedziała. Niemal wstrzymała oddech.

– Nigdy. To koniec, Anno.

Z trudem ukrywała podniecenie.

– Chciałabym tylko, żebyś wiedział... – poczuła na twarzy rumieniec – że zostanę przy dzieciach. Jakoś to zniosę. – Zastanowiła się nad treścią tych słów. Ewa paliła jednego papierosa po drugim. Josh zrobił się osowiały, unikał towarzystwa. Tylko Barbara wydawała się w szampańskim humorze.

– I jeśli kiedykolwiek byś mnie potrzebował... – Przestraszyła się własnej odwagi, czuła, że jej słowa brzmią zbyt jednoznacznie. Przed oczami stanęła jej fantastyczna wizja: oto szedł do niej, całował jej piersi, rękami gładził jej uda. – Naprawdę, kiedykolwiek... – powtórzyła nabrzmiałymi wargami. Zamknął oczy i skinął głową. Znowu wyciągnął ku niej rękę, którą szybko ujęła. – Tak mi przykro.

– Kochana Anna – wyszeptał. Dotknęło ją, że powiedział to tak, jakby mówił do siostry. Puścił jej dłoń i ułożył się na

kanapie. Gdy zamknął oczy, Anna nie od razu wyszła. Długo jeszcze stała i patrzyła na niego.

Rozdział 10

Harry Thurmont miał na sobie garnitur w cieniutkie prążki i koszulę z wysokim kołnierzykiem. Wyglądał bardzo elegancko. Siedział za nowoczesnym biurkiem z pleksiglasu i spoglądał na Barbarę. Za nim było okno, w którego ramach, jak na obrazie, widniał Biały Dom i stojący dalej pomnik Waszyngtona. Barbara przypomniała sobie, że jeden z szefów w firmie Olivera miał gabinet z takim samym widokiem. Wspominała też słowa męża, że taka lokalizacja oznaczała dwa razy wyższe honoraria.

– On wcale się nie wyprowadził. Nie rozumiem dlaczego – odezwała się Barbara. Siedziała w głębokim fotelu, obserwując różową twarz Thurmonta. Miał czerwony kartoflowaty nos i szkliste szare oczy. „To pijak”, pomyślała, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, a on sam przyznał się, że należy do grupy anonimowych alkoholików i ściśle przestrzega zasad, które stały się jego nowym życiowym credo.

– Wciąż czuję głód alkoholu – powiedział jej.

– A ponieważ nie mogę pić, robię się wredny jak wszyscy diabli.

– Mam nadzieję, że nie poznam pana z tej strony – odparła wówczas. To było przedwczoraj. Ale dzisiaj nie była już o tym przekonana.

– On zachowuje się jak jakieś dziwne zwierzę. Prawie go nie widać. Wychodzi z domu wcześniej, zanim wstaniemy, a wraca późno, gdy wszyscy już śpią. Nie jada w domu. Wiem,

że Ewa zadzwoniła do niego do pracy i długo rozmawiali. Widział się również z Joshem. Spotkali się chyba wczoraj, kiedy mały wyszedł ze szkoły. Niech mi pan wierzy, to naprawdę dobry człowiek i gdyby istniał sposób... – urwała.

– To mniej więcej typowe – odrzekł Thurmont.

– Jestem w kontakcie z Goldsteinem i to będzie nasz punkt wyjścia.

Najrozsądniej będzie dać mu wolną rękę. Niech się wyprowadzi, kiedy uzna, że nadszedł na to czas.

– A jeżeli się nie wyprowadzi?

– No cóż, może pani jest gotowa wynieść się z domu?

Poczuła się nieswojo. Nie dlatego, że wszystko już sobie przemyślała. Działała instynktownie, musiała zrobić to, co zrobiła. Czowała się naprawdę wolna.

– Oczywiście, że nie zamierzam się wyprowadzić z mojego własnego domu – rzuciła sucho.

– To również jego dom – powiedział cicho Thurmont wbijając w nią wzrok.

– Niepojęte. Oboje o tym wiemy. I on też. – Wstała, podeszła do okna za jego biurkiem, skąd ujrzała refleksy słońca odbijające się od marmurowego konia, na którym siedział Jackson, w samym środku Parku Lafayette'a. Thurmont wziął jakąś zapisaną na maszynie kartkę i nałożywszy okulary uważnie czytał.

– Zgodził się dawać dwa tysiące miesięcznie na świadczenia i utrzymanie dzieci. Zapłaci chesne za naukę w Sidwell Friends. To na początek, abyśmy mieli od czego zacząć na drodze do ostatecznego porozumienia. Jest cała procedura, przez którą trzeba przejść. Fizyczna separacja

przez sześć miesięcy i tak dalej. – Odwrócił się do niej i patrzył z lekkim uśmiechem. Wąskie szkła okularów nadawały mu wygląd pewnego siebie spryciarza. – Jeśli nie będzie kwestii spornych, ułożymy jakiś plan. Goldstein to stary nudziarz. Talmudyczny Żyd. Wysuwa argumenty opierając się na zasadach moralnych. I działa dość szybko. Do tej pory pani mąż nie stawiał żadnych przeszkód.

– Jest bardzo rodzinny.

Thurmont odłożył kartkę i zdjął okulary.

– Nie może się pani czuć właścicielką domu. – Sięgnął do rzeźbionego w drewnie pudełka, skąd wyjął krótkie cygaro. Z przyjemnością celebrował zdejmowanie cienkiej folii i zapalanie. – W podobnych sytuacjach główny problem sprowadza się do podziału majątku. To istne przekleństwo naszych czasów. Kwestia dzieci, o, to bardzo przykra sprawa. Ale podział majątku tylko pozornie wydaje się prosty. To jest moje, a tamto twoje: dwa walczące przed wiekami królestwa, które zawierają pokój. Ekspert ze strony pani męża prowadzi teraz inwentaryzację i kiedy skończy, zagłębimy się w to bagno.

Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewała. Nie istnieje szkoła dla rozwodzących się, zapewniły ją rozwiedzione przyjaciółki. Nie zagłębiały się w szczegóły rozdziału własności, tylko mówiły abstrakcyjnie o życiu w samotności, o radościach i smutkach takiej egzystencji oraz, oczywiście, o różnych mężczyznach. Barbara słuchała ich jak zahipnotyzowana. „Większość z nich to duże dzieci”, stwierdziła Peggy Laughton. Kiedyś była panią domu, zawodową ochotniczką i, jak to określiła, „sobotnią

dupodajką". Była frywolna, potrafiła rozśmieszyć do łez, rzucała ciętym i nieprzyzwoitym dowcipem. „Jak biorę w usta, to jestem na ustach wszystkich". Na to wspomnienie Barbara uśmiechnęła się. Miała ochotę wykorzystać ten aspekt wolności.

– Zgodził się oddać pani połowę wartości domu. Ale to dopiero początek długiej gry. Puste słowa. Będzie pani musiała powalczyć, chyba że, jak powiedziałem już wcześniej, sama wyprowadzi się pani z domu. Utrzymanie go będzie drogo kosztować.

– Moja firma pręźnie się rozwija – odparła. – Jego comiesięczne płatności i moje dochody powinny wystarczyć.

Z uśmiechem pokręcił głową.

– Nie rozumiem pani implikacji. – Nagle zastanowiła się, dlaczego nie wybrała na swojego adwokata kobiety, która z pewnością lepiej by ją rozumiała, okazała więcej taktu. „Wszyscy mężczyźni są tacy sami", pomyślała i stała się bardziej ostrożna. Przypomniała sobie słowa Peggy: „Oni mają cały rozum w swoich przeklętych kutasach. Co tam wrózenie z ręki: trzeba obejrzeć linie na ich członkach. Naprawdę można z nich wyczytać charakter faceta".

Poczuła się nad głęboką fosą, gdzie właśnie podniesiono zwodzony most. Mierzyła ją postawa i władczość, którą demonstrował Thurmont, jakby upoważniał go do tego jakiś wyższy stopień wtajemniczenia i duża wiedza.

– Zaproponował pani połowę wartości i jego zawartości. A to nie znaczy, że oddaje pani dom i to, co w nim jest, na własność. Połowa wartości. Co oznacza, że neutralny rzeczoznawca dokona wyceny i określi aktualną wartość

rynkową całego majątku. Oliver pewnie zapożyczy się w banku i zapłaci pani wszystko za jednym zamachem. Bez oficjalnej wyceny sędzę, że po uiszczeniu należnych opłat może pani dostać między czterysta a pięćset tysięcy dolarów. Niezła sumka. Powinno wystarczyć na bardzo długą i mroźną zimę.

Wstał i podszedł do niej, zostawiając cygaro w popielniczce. Dostrzegła jego zbliżający się cień, poczuła silny aromat jego wody kolońskiej i przez chwilę poczuła wewnętrzne spięcie, jakby oczekiwała, że on zamierza ją zaatakować, ale z jakiegoś powodu się powstrzymał. Nic jednak się nie wydarzyło. Po prostu stanął nad nią i patrzył, przyglądał się jej bezsilności.

– To nie jest fair – odezwała się.

– Nie fair? – rzucił brutalnie. Przyszło jej do głowy, że za szybko zareagowała. Nie oszczędził jej niczego. Może nawet chciała, aby wszystko odbyło się uczciwie, to byłaby prawdziwa deklaracja niepodległości. Tak naprawdę to poza Oliverem i Joshem nie знаła innych mężczyzn, nie wiedziała, jak wyglądają, co czują. To również było nie fair.

– Zamierza pani dać mi wykład o uczciwości? – spytał.

– Nie mogę opowiedzieć panu o czymś, co nie istnieje – odparła ironicznie. Uśmiechnął się krzywo, arogancko. Nie zniechęciła się jednak. – Więc uważa pan, że to w porządku, że poświęciłam prawie dwadzieścia lat życia jego karierze, jego potrzebom, zachciankom, jego bezpieczeństwu. Urodziłam mu dzieci. Poświęciłam naszemu domowi o wiele więcej czasu niż on. I mam do pokazania tylko dom, w który włożyłam tyle pracy. Nie jestem w stanie zarobić tyle co on.

Do diabła, przecież za parę lat on zaoszczędzi tyle, że spłaci pożyczkę i dom będzie już tylko jego, a mnie pozostaną tylko pieniądze. To mi nie wystarczy. Chcę mieć ten dom dla siebie. Cały. Jest symbolem pewnego stylu życia i nie zamierzam z tego rezygnować. Oto, co według mnie jest uczciwe.

Gdy mówiła, ani przez chwilę nie spuszczał oczu z jej twarzy. Teraz uśmiechnął się z nieukrywaną aprobatą.

– No, no. Całkiem nieźle. – Nachylił się i wyszeptał jej w ucho: – Czy pani naprawdę tak myśli, czy też mówiła to pani powodowana chęcią wyładowania wezbranej złości? W świecie, w którym żyjemy, musimy chodzić mocno po ziemi.

– Naprawdę tak myślę, do ciężkiej cholery – syknęła zaskoczona własną stanowczością. Czy rzeczywiście była aż tak zdeterminowana? W nocy, zwłaszcza tej pierwszej nocy, gryzło ją sumienie. Poczucie winy było bardzo silne. Barbara uzmysłowiła sobie całą perfidię swojego planu. Zadzwoiła do swojej matki, która mieszkała w Bostonie, ale ta rozmowa niewiele jej pomogła.

– Nic nie rozumiem z tego, co mówisz – wykrzyknęła w słuchawkę matka po tym, jak Barbara skończyła swoją długą i chaotyczną opowieść. „Wcale nie potrzebuję jej aprobaty”, powiedziała sobie. Na pewno oboje rodzice uważali, że postradała zmysły. Wszyscy, nawet jej dzieci, mogli tak myśleć. Ogarnęła ją niepewność. Samotna noc w ciemnym pokoju spowodowała, że wszystkie jej pretensje nagle się ulotniły i zaczęła dostrzegać to, co było w życiu dobre. Oliver to przecież wspaniały mąż: dopingował ją, chciał, aby zaczęła coś robić. Co tylko chciała. Tylko dzięki jego wsparciu

zaczęła poważnie myśleć o wykorzystaniu swoich zdolności kulinarnych i założeniu własnej firmy. Pewnie teraz myśli, że stworzył potwora. Zawsze mogła na niego liczyć, był stateczny, zaradny, kulturalny i kochający. Dobry opiekun. Dobry ojciec i dobry syn. No więc dlaczego mu to robiła? Tamtej nocy nie udało się jej wymyślić zadowalającej odpowiedzi. Następnego dnia wzięła przed snem „Valium” i było już trochę lepiej. A ostatniej nocy prawie wróciła do równowagi i pozbyła się wątpliwości. Znowu wiedziała, czego chce. Thurmont przerwał bieg jej myśli.

– Do tej pory sądziłem, że, jak większość kobiet, uważa się pani za drogocenny klejnot, cierpi na poczucie braku wolności, że jest pani jedną z wielu, które płaczą, bo nie zrealizowały swoich ambicji. Na plażach aż gęsto od ich tłustych ciał. Opuściły dom bez pieniędzy, za to miały wybujałe nadzieje i dużo ochoty na pełne przygód życie. Głupie. Wszystkie bez wyjątku. Nie musiały porzucać domu bez grosza przy duszy. W ogóle nie musiały wynosić się z domu.

– Nie rozumiem pana.

– Możemy to osiągnąć, możemy wygrać, ale dużo zależy tu od pani. On z pewnością nie ustąpi tak łatwo. Znosi się na bezpardonową walkę.

– Ja na pewno nie ustąpię. Chcę mieć wszystko.

– To potrwa. Zabierze dużo czasu i pani, i mnie. Będą przykrości, kłótnie, nieprzyjemności i wyrzeczenia. Czy aby na pewno skórka warta jest wyprawy?

– Nie mam się nad czym zastanawiać.

Thurmont popatrzył na nią z satysfakcją.

– Nie brak pani odwagi – rzekł zadowolony, zapalając cygaro.

Domyśliła się, że uwielbia takie pogmatwane rozwody.

– To jest mój dom. Harowałam w nim jak niewolnik.

Rozdział 11

Tego ranka Oliver zaczął się pakować, nerwowo upychając rzeczy w walizce. Zszedł do biblioteki i z lubością dotykał porcelanowych figurek: podniósł Czerwonego Kapturka, Garibaldiego, Napoleona. Pieścił je i gładził, po czym odkładał z powrotem na kominek. Palcami przebiegł po misternie rzeźbionych zdobieniach palety. Przypomniawszy sobie, jaki był szczęśliwy, kiedy przywieziono ją do domu.

W hallu otworzył szafkę wysokiego zegara, jak to robił każdego ranka od dziesięciu lat, nakręcił go kluczykiem i sprawdzwszy dokładny czas na swoim ręcznym zegarku firmy „Piaget”, przesunął wielką wskazówkę o dwie minuty do przodu. Uwielbiał ten znajomy chrobot kołyszącego się wahadła, odbywającego nieskończoną podróż w czasie. Delikatnie położył dłoń na mahoniowej obudowie.

Potem jego wzrok padł na figurki Cribba i Molineaux. Poczuli, jak oczy zachodzą mu łzami.

„Jeszcze nie dzisiaj”, pomyślał. To byłoby zbyt bolesne. Zostawiwszy spakowaną walizkę w pokoju gościnnym, szybko poszedł do pracy. Panna Harlow czekała już na niego z gorącą kawą i słodkim pączkiem. Pierwszy kęs uwiązał mu w gardle.

„Jakże to? Mam się wynieść z mojego własnego domu?” – pomyślał. Po raz pierwszy poczuł, że wszystkie racje przemawiają na jego korzyść: z punktu widzenia moralności, uczciwości i zwykłej przyzwoitości był w porządku. Nie on dążył do rozpadu małżeństwa.

Godzinę później Goldstein przekazał mu świeże wiadomości.

Oliver patrzył z niedowierzaniem, ale w smutnych oczach adwokata nie znalazł współczucia. Ciężkie powieki uginały się pod ciężarem grzechów tego świata.

– Pan kłamie – powiedział Oliver podniesionym głosem. Słowa odbijały się echem w jego głowie jak w tunelu.

– Nie może pan winić posłańca za złe wiadomości.

– Suka! – Oliver uderzył ręką w biurko Goldsteina tak mocno, że leżące tam kartki przesunęły się porwane ruchem powietrza. – To ten drań Thurmont.

– Oczywiście. W sprawach rozwodowych adwokaci nigdy nie są lubiani.

– Bogu dzięki, że ja zajmuję się inną dziedziną prawa.

– Panie Rose, niech mi pan wyświadczy przysługę i zostawi Pana Boga w spokoju.

Z niepohamowaną złością Oliver ponownie uderzył w biurko. Jawna niesprawiedliwość trafiła go jak obuchem w głowę. Czy to możliwe, że poświęcił temu małżeństwu połowę życia? A teraz ona chce odebrać mu wszystko?

– Gdzie jest granica ludzkiej uczciwości? – spytał Oliver, gdy trochę ochłonął. – Chciałem to załatwić polubownie, bez walki o prawa rodzicielskie, przecież zaproponowałem jej znaczną sumę, którą co miesiąc dawałbym na dom i na dzieci. Ona nie chce chyba puścić mnie z torbami.

– Niby dlaczego nie?

– Bo ja zapracowałem na to wszystko. To moje życie.

– Ona twierdzi, że też na to pracowała.

– Połowę. Gotów jestem dać jej połowę. – Znowu poczuł

wzrastające napięcie i natychmiast włożył do ust dwa „Maaloxys”. – Nie zgadzam się. To jest nie w porządku. Dom jest nasz. NASZ. Ona bierze „NA”, a ja biorę „SZ”. Chciałem dać jej równo połowę jego wartości.

– Ona nie chce tych pieniędzy, chce mieć dom – odparł Goldstein. – Spróbowałem wszystkich możliwych rozwiązań. Zaproponowałem jej połowę domu i możliwość zamieszkania w nim wraz z dziećmi.

– Nie upoważniłem pana do wysunięcia takiej propozycji – Oliver spojrział na Goldsteina z nienawiścią. – Nie miał pan prawa tego mówić, przed skonsultowaniem się ze mną.

– Badałem grunt. Chciałem wysondować, jakie są możliwości ewentualnego kompromisu, a przynajmniej pokazałem im, że nasze stanowisko jest racjonalne i rozsądne. Kto mógł przypuszczać, że ich żądania będą aż tak wygórowane?

– Na pewno nie ja.

– Znosi się na nieprzyjemności.

– Teraz nic nie jest już przyjemne.

– Nie chodzi o same przykrości, ale o majątek, pański majątek. Ona chce oskubać pana ze wszystkiego. Co macie prócz domu?

– Mój ferrari – powiedział głupio. – 308 GTS. Czerwony.

– O tym nic nie wspominali. Zostawiają panu też wino i narzędzia z warsztatu.

– Jacy hojni.

– Co jeszcze? – uciał Goldstein. Oliver intensywnie myślał, lecz nie mógł się skoncentrować.

– A ubezpieczenie?

– Zapomniałem. Ona jest beneficjentem.

– Niech pan to szybko zmieni.

Nagle poczuł, że wszystko się w nim przewraca. Gdyby teraz umarł, Barbara dostałaby milion. I dom. Świadomość tego wstrząsnęła nim głęboko, ale przynajmniej odzyskał jasność myślenia.

– Tu jest telefon – wskazał palcem Goldstein.

– Gdyby wyszedł pan teraz na ulicę i wpadł pod samochód, byłby pan bardzo nieszczęśliwy... wiedząc, że ona dostanie wszystkie pieniądze.

Już po kilku chwilach Oliver rozmawiał ze swoim agentem ubezpieczeniowym, który akurat był u siebie w biurze i chciał poznać bliższe szczegóły.

– Nie teraz. Niech pan zmieni beneficjanta. Proszę wykreślić Barbarę i wpisać w jej miejsce Ewę i Josha. To wszystko. – Bez słowa odłożył słuchawkę. Nigdy nie zachowywał się grubiańsko, ale ta rozmowa poprawiła mu samopoczucie, mimo że musiał jeszcze podpisać odpowiedni formularz, który agent przysłał mu pocztą.

– Postaram się przyspieszyć inwentaryzację – powiedział Goldstein. – Chcę mieć wszystko na papierze jak najszybciej. Zanim przyjdą jej do głowy nowe genialne pomysły.

– Lepiej dla niej, żeby nie tknęła niczego palcem. To byłaby kradzież. Niczego jej nie przepuszczę. Ani domu, ani niczego, co w nim jest. Nigdy. – Przez ściśnięte gardło wydobywał się chropawy głos.

– Niech pan nigdy nie mówi „nigdy”.

– Odpieprz się pan!

Oliver wstał i ruszył ku drzwiom, ale po chwili wrócił na

miejsce.

– Ten dom to całe moje życie – cicho powiedział, ukrywając twarz w dłoniach, czując ogarniającą go falę wzruszenia. – Jest tam mój warsztat, antyki, moje zbiory i obrazy. Wszystko. Nie można tego rozbić na części. – To było straszne. Tyle lat spędzili chodząc razem na aukcje. – Mam też orchidee. I wino: Lafite-Rothschild '59, Chateau Margaux '64, Grand Vin de Chateau Latour '66. Pan nie może tego zrozumieć, bo pan tego wszystkiego nie widział. To pałac, który kocham całym sercem. Za dziesięć lat jego wartość wzrośnie dwa albo i trzy razy. To samo będzie z całą jego zawartością. – Westchnął ciężko. – Pan tego nie rozumie. Znam w tym domu każdą cegłę, deskę i dachówkę, każdy centymetr rur i drutów w ścianach. Wszystko. Ten dom jest częścią mnie tak jak moja prawa ręka.

– Proszę, niech mi pan tego oszczędzi.

– Pan nie czuje tego co ja. To nie tylko majątek. – Wzruszył ramionami. – Ludzie tacy jak pan nie są w stanie pojąć tych rzeczy.

– Robi się z pana antysemita, ale to nie rozwiąże pańskiego problemu.

– No więc jakie jest wyjście?

– Trzymać się litery prawa. W końcu zawsze zostaje prawo. – Goldstein wyprostował swoją krępa postać i podszedł do ściany pokrytej książkami. Z zadowoleniem dotykał ich grzbietów.

– Prawo jest bez sensu – rzekł Oliver.

– Bez przesady. W naszym kołczanie są jeszcze strzały.

W duszy Olivera zapłonęła iskierka nadziei. Trzymał się

jej, jak tonący trzyma się deski z rozbitego statku.

– 16-904, część C – powiedział zarozumiale Goldstein, obserwując twarz Olivera. – Ten artykuł zezwala na rozwód bez orzekania winy, nawet gdy małżonkowie mieszkają pod jednym dachem. Oczywiście osobno. Czas oczekiwania nie ulega wówczas zmianie.

– Więc nie muszę się wyprowadzić?

– Nie, ale... – Goldstein uniósł rękę. – Sąd zadecyduje, komu przypadnie dom i jego zawartość. Sędzia może jednak uznać, że mieszkanie razem nie będzie dobrym rozwiązaniem i zarządzi sprzedaż wszystkiego, i podział pieniędzy. Możemy się wtedy odwołać. Zważywszy na liczbę oczekujących, wasza sprawa może się ciągnąć przez całe lata.

Oliver nabrał trochę pewności siebie.

– Nie opuszczę domu, będę o niego walczył. Pokażę jej, że tak łatwo mnie nie wykurzy. Może... sama moja obecność nakłoni ją do przeprowadzki.

– Niech pan schowa przesadne ambicje do kieszeni. Przecież są jeszcze dzieci.

– Ale może ona dojrzy w tym sens. Dostanie dzieci, a za pieniądze, które jestem gotów jej wypłacić, bez trudu kupi sobie dom. – Wstał i klasnął w dłonie, lecz zaraz wrócił na ziemię. – Do diabła, jakże mam z nią żyć pod jednym dachem? To będzie koszmar. Kto wymyślił ten idiotyczny przepis?

– Czarni – odparł Goldstein i zaczął miarowym krokiem chodzić po gabinecie. – Wielu z nich nie mogło sobie pozwolić na utrzymywanie dwóch domów, więc aby ułatwić sobie życie, postarali się o legalizację i odpowiedni paragraf.

– Może dlatego wśród czarnych jest tyle morderstw – rzekł ponuro Oliver. Jego chwilowa euforia już minęła. – Do cholery, Goldstein! – wybuchnął nagle. – Nie zgodzę się na to. Nie mogę tam mieszkać, jeśli i ona tam będzie. W obecnym stanie ducha gotów jestem ją udusić.

Goldstein wycelował w jego głowę grubym palcem, jakby mierzył z pistoletu.

– Takie zachowanie prowadzi do przegrania sprawy. – Wrócił do biurka. – To kardynalna zasada. Zasada numer jeden – uniósł palec. – Czy chce pan stracić dom?

– Stanowczo nie.

– Wobec tego proponuję zastosować się do punktu 16-904, część C – powiedział dobitnie Goldstein. Pomyślawszy chwilę, dodał: – I niech pan spróbuje dopilnować, żeby nie sprzedała nic z... tych kolekcji.

– Chodzi o moją porcelanę?

– O wino także. A teraz zasada numer dwa. – Goldstein odgiął drugi palec, który trzymał się zadziwiająco prosto, jakby miał to już przeciwiczone wiele razy. – Musi pan być gotowy na poświęcenia. Nie wolno panu dać jej najmniejszego powodu do wszczęcia prawnych roszczeń. Na pewno próbowała będzie zmusić pana do opuszczenia domu.

– Niby jak?

– Uprzykrzy panu życie.

– Ja mogę zrobić to samo.

Goldstein podniósł rękę niczym policjant kierujący ruchem.

– Niech pan nie wtrąca się do spraw związanych z prowadzeniem domu. Musi być pan jak mysz pod miotłą.

Żadnych dziewczynek. Żadnych ekscesów dających jej dodatkowy argument w sądzie.

– To znaczy, że koniec z seksem?

– Nie w domu. A jeszcze lepiej w ogóle. To przecież tylko jeden rok.

– Zdawało mi się, że mówił pan o sześciu miesiącach.

– Jeśli jedna ze stron postanawia domagać się swoich praw, to wtedy jest rok. A my będziemy walczyć. Rozwód zostanie uznany bez orzekania winy. Ale dlaczego mamy ułatwiać im sprawę? Może napięcie zmusi ją do rezygnacji z żądań. To jest wojna, panie Rose, a nie towarzyska zabawa.

– Sądzi pan, że mamy szansę wygrać?

Goldstein uśmiechnął się.

– Nie sposób przewidzieć werdyktu sędziego. Któż to może wiedzieć?

– Więc nie mam wyboru?

– Wprost przeciwnie. Może się pan wyprowadzić.

– To żaden wybór – odparł twardo Oliver.

– Po prostu musi pan tam mieszkać i nie rzucać się w oczy. Radzę panu jadać poza domem. Niech ona ma kuchnię dla siebie, niech prowadzi dom tak jak zawsze. Będzie pan lokatorem i niech pan pamięta: jak najmniej pokazywać się jej na oczy.

– A dzieci?

– Z tego, co widzę, wynika, że nie powinno być problemów. Niech pan okazuje im ojcowską miłość, lecz pod żadnym pozorem nie wolno panu doprowadzać do konfliktowych sytuacji. Jeśli zaś chodzi o panią Rose, niech pan postara się zachować opanowanie i spokój, niech pan

będzie uprzejmy, lecz proszę zachować wobec niej dystans. Gdyby zauważył pan, że ona coś knuje, proszę dać mi znać. Niech pan nie robi niczego, co ona potem może wykorzystać przeciwko panu. Żadnych głupich wyskoków. I niech pan nie wynosi niczego z domu, a jeśli ona to zrobi, niech pan natychmiast do mnie zadzwoni.

– Więc mam być więźniem we własnym domu – powiedział cicho Oliver. Goldstein zignorował jego słowa.

– Trzecia zasada – wyprostował środkowy palec. – Okazać cierpliwość. Niech pan ćwiczy, chodzi do kin, niech pan się czymś zajmie. To pomoże chwilowo zapomnieć o tej przykrej sprawie.

– Mało prawdopodobne. A zasada numer cztery?

– Numer cztery. – Goldstein zajrzał Oliverowi głęboko w oczy. – Nie robić nic takiego, czego później mógłby pan żałować. Jest również zasada piąta. – Uśmiechnął się, ukazując linię zębów przedzielonych szparami jak sztachety w płocie. – Musi pan regularnie wypłacać moje miesięczne honorarium.

* * *

Wszyscy poszli do domu, lecz Oliver długo jeszcze siedział samotnie w biurze. Odprawił sprzątaczkę, korpulentną kobietę o hiszpańskich rysach, która popatrzyła na niego ze zrozumieniem. Był pewien, że ona domyśla się wszystkiego: po prostu nie miał dokąd pójść.

Spojrzał na swoje zamazane odbicie w przyciemnionej szybie. Zapadnięte oczy i policzki oraz pewne szczegóły

wyglądu zewnętrznego świadczyły, że bardzo się zaniedbał: krzywo związany krawat, wygnieciony kołnierzyk koszuli. Odniósł wrażenie, że zarost rośnie mu teraz szybciej niż przedtem, a w ustach czuł jakiś nieprzyjemny posmak. Chuchnął na dłoń, żeby sprawdzić, czy Goldstein nie zaraził go cuchnącymi wyziewami cygar.

Nie mógł już znieść swojego wyglądu i zapachu. Wyszedł z biura na ulicę. Nie potrafił pogodzić się z nową sytuacją, że oto będzie musiał iść sam do restauracji, czekać na kelnerkę, wybierać potrawy z karty i czuć na sobie spojrzenia różnych ludzi, którzy z pewnością będą o nim gadać, uważać się nad jego żalną egzystencją opuszczonego i zastraszonego człowieka.

Szedł chodnikiem, nie mogąc wyzwolić się od natrętnych myśli. Męczyła go świadomość własnej tragedii, która nagle burzyła wszystko, co miał. A przecież kiedyś wszystko zapowiadało się tak cudownie. Już pogodził się z myślą, że to nie sen. Owszem, był czas, gdy utrata Barbary stała się jego obsesją. Kiedy się budził, wyciągał do niej rękę i przytulał się do niej całym ciałem, aby poczuć, że ona wciąż istnieje i jest obok niego.

– Gdybym cię stracił, umarłbym – mówił do niej, nie był jednak pewny, czy słyszała. – Nie przeżyłbym tego.

I nagle ten senny koszmar zmienił się w rzeczywistość.

Nie wiedząc po co to robi, wszedł do kina „Circle Theater”. Widocznie utkwily mu głęboko w podświadomości słowa Goldsteina.

W programie były dwa wczesne filmy Hitchcocka: „Dama zniknęła” i „39 kroków”. Kupił sobie wielką porcję

popcornu polanego masłem i wszedł do ciemnej sali. Obydwa filmy zrealizowano jeszcze przed jego urodzeniem. Pomyślał, że w tamtych czasach życie było o wiele prostsze. Czy naprawdę ludzie mówili wprost, co myślą? Chwilami oglądał film z takim zainteresowaniem, że zapominał o dręczących go myślach, lecz gdy świadomość wracała i uprzytamniał sobie, w jakiej jest sytuacji, czuł napływającą falę panicznego lęku. „Co ja tu robię, z dala od rodziny, z dala od własnego domu?”

Dusząc w sobie złość chodził bez strachu ciemnymi zaułkami. Niemal życzył sobie, aby nagle ktoś rzucił się na niego, a wtedy mógłby wyładować na napastniku wezbraną wściekłość. Specjalnie próbował rzucać się w oczy, zwalniał słysząc za sobą czyjeś kroki, lecz w końcu spostrzegł rozczarowany, że stoi przed własnym domem. Jak zwykle czekał na niego Benny i od razu zaczął ocierać się o jego nogi.

Z okiem kuchni sączyło się słabe światło. Kiedy otworzył frontowe drzwi, w nozdrza uderzył go aromat przyrządzanych potraw. Aromat mięsnego *pate*, kiedyś bardzo kuszący, teraz przyprawił go o mdłości. Nim zdążył dojść do schodów, Barbara wyszła z kuchni w nałożonym fartuchu. Miała zaróżowioną od intensywnej pracy twarz. Szybko odwrócił wzrok i rękami chwycił za mosiężną poręcz schodów. Nawet w przytłumionym świetle dostrzegł, że była podenerwowana.

– Chyba powinniśmy porozmawiać – powiedziała łagodnie. Serce zabiło mu mocniej. Błysnęła mu w głowie myśl, że to może być próba pojednania. Nie mógł tego

zignorować. Myślał intensywnie, jak powinien to rozegrać, i doszedł do wniosku, że zależnie od sposobu, w jaki ona go przeprosi. „Boże, okaż swoją łaskę”, błagał skrycie.

Wszedł z nią do biblioteki. Włączyła jedną z lamp – w jej świetle zobaczył, że Barbara wyciera ręce w fartuch. „Lady Macbeth”, pomyślał uśmiechając się nieznacznie. Usiadła na brzegu fotela, zimna i nieprzystępna. Ciekaw był, czy to zły znak i szybko otrzymał odpowiedź.

– Nie możesz tu zostać, Oliverze – powiedziała wyraźnie.
– Nie w takiej sytuacji. – Mówiła cicho, ale twardo. Zawstydził się, że miał jeszcze cień nadziei.

– Musisz pogodzić się z rzeczywistością. Po prostu tak będzie lepiej dla wszystkich. Łącznie z dziećmi.

– Nie mieszaj ich w to – rzucił, przypomniawszy sobie słowa Goldsteina.

Przez chwilę przyglądała mu się w zamyśleniu.

– Tak. Chyba masz rację. Ale to będzie drażliwa sytuacja.

Najbardziej denerwowała go jej pewność siebie. „Tak długo żyliśmy razem. Dlaczego mi to robisz?”

Wędrował oczami po bibliotece, którą sam zbudował i wyposażył, patrzył na półki z orzecha, rzędy oprawionych w skórę książek pełnych mądrości. Bez: użytecznej mądrości.

– Wydawało mi się, że przedstawiłem ci bardzo uczciwą propozycję – powiedział, starając się zapanować nad prawniczym stylem wypowiedzi, który stosował w rozmowach z klientami. Jednak drzenie głosu zdradziło, co czuł naprawdę.

– Mnie ona nie odpowiada – odrzekła cicho.

– A co dla ciebie jest uczciwe? Zabrać wszystko i puścić

mnie z torbami. – Zaczął mówić podniesionym głosem, lecz opanował się wspomniawszy ostrzeżenie Goldsteina.

– To moja zapłata za poświęcenie ci prawie dwudziestu lat życia. Nawet przez pięć lat nie mogłabym zarobić tyle, ile ty zarabiasz w ciągu jednego roku i to bez względu na tempo rozwoju mojej firmy. Według mnie to jest uczciwe.

Zaczął chodzić po bibliotece, dotykać różnych przedmiotów, w końcu wsadził palec do jednej ze skrytek w „czynszowym” stoliku i pokręcił blatem.

– Tyle z siebie dałem, żeby urządzić ten dom. Na pewno tyle, co ty. – Celowo zachowywał spokój, zmuszał się do opanowania. Popatrzył na nią: była nadal zimna i nieporuszona. – Nie mogę uwierzyć, że jesteś w tej sprawie aż tak bezwzględna, Barbaro. I to po osiemnastu spędzonych wspólnie latach.

– Nie wymusisz na mnie żadnego wyznania winy. Robię wszystko zupełnie świadomie. Musisz zrozumieć, że po raz pierwszy w życiu myślę wyłącznie o sobie.

– A dzieci?

– Możesz być pewien, że w pełni wywiążę się z obowiązków. – Uniosła brwi. – No proszę, i kto teraz mówi o dzieciach?

– Dla mnie to po prostu niepojęte, Barbaro. Gdybym cokolwiek z tego rozumiał, może byłbym bardziej tolerancyjny.

– Wiem – odparła jakby z nutką współczucia w głosie. Przygryzła wargę. Robiła to zawsze, gdy czuła się zakłopotana. – Zmieniłam się, to wszystko. Każde tłumaczenie sprawiłoby ci ból, a ja wcale tego nie chcę.

– „Myślę, że kobiety mają sprzeciw we krwi”.

– To też. Ale jest jeszcze coś, czego w tobie nienawidzę. Często wałeś mnie literackimi aluzjami, których nie rozumiałam, i byłam zmuszona prosić cię o wyjaśnienie. Tak jakbyś chciał mi pokazać swoją wyższość.

– Wybacz mi, że żyłem.

– Teraz robisz się nieprzyjemny.

Machnął rękami w powietrzu, jakby chciał zakończyć tę rozmowę. Pomyślał, że jednak bardzo potrzebuje pomocy Goldsteina. On ostrzegł go, aby nie rozmawiał z nią bezpośrednio. Tylko jak miał jej unikać, skoro mieszkali w jednym domu?

– Czy naprawdę spodziewałaś się innej odpowiedzi? – spytał cicho.

– To nie będzie miało znaczenia. Muszę się zabezpieczyć.

– Wstała, ponownie wycierając ręce w fartuch. – Wiem, że to brzmi egoistycznie i przykro mi z tego powodu, ale muszę zapewnić sobie byt na przyszłość.

– Jesteś nieludzka.

– Jeśli tak myślisz, nic na to nie poradzę.

Poszedł w kierunku drzwi, lecz zatrzymał się tknięty nagłą myślą, pozbawiony złudzeń.

– Nie zamierzam wynieść się z domu i nie rezygnuję z niego. Będę z tobą walczył na każdym kroku, bez względu na koszty i nerwy. Chcę mieć ten dom i wszystko, co się w nim znajduje. I nie zamierzam też przegrać.

– To nie będzie takie proste.

Wszedł po schodach na górę i zaszył się w pokoju gościnnym. Kiedy zamykał drzwi na zatrzask, przyszło mu

do głowy, że powinien założyć lepszy zamek, najlepiej z kluczem. „Od tej chwili – pomyślał nienawistnie – sztab generalny będzie się mieścił w tym pokoju”.

Rozdział 12

Dom stał się polem bitwy. Anna starała się zachować całkowitą neutralność w obawie przed utratą zajęcia i dachu nad głową, chociaż nie była pewna, jak długo wytrzyma w nieznośnej atmosferze napięcia.

Barbara i Oliver zamontowali zamki w drzwiach do swoich sypialni. Z początku Anna uznała to za przesadę, lecz wkrótce przekonała się, jak bardzo tych dwoje się nienawidzi. Założyli sobie także oddzielne telefony, pozostawiając dotychczasową linię bez zmian, do użytku dzieci. Kuchnia należała do Barbary. Oliver wyraźnie zrezygnował z prawa stołowania się w domu i używania kuchennego wyposażenia, lecz Anna zauważyła mały karton z sokiem pomarańczowym na parapecie bocznego okna pokoju gościnnego. Wyglądało to okropnie, jak w czynszowym domu, gdzie wynajmuje się pojedyncze pokoje. Jadał wyłącznie poza domem, a Benny'ego karmił z puszek, których zapas miał u siebie w pokoju. Benny spędzał dni wałęsając się po okolicy i zalecając się do mieszkających w sąsiedztwie suk. Wieczorem powracał do domu wiedziony instynktem, aby spędzić noc w nogach łóżka Olivera.

Oliver zachował prawo do pielęgnowania swoich orchidei, a poza tym dużo czasu spędzał w warsztacie, który za niemałą zgodą Barbary pozostał jego królestwem. Najczęściej właśnie tam spotykał się z dziećmi i czasami z Anną. Dziewczyna szukała najwymyślniejszych pretekstów, żeby móc złożyć mu tam wizytę. Do Olivera należał też

garaż, gdzie stał wspaniały ferrari. W chwilach depresji zdejmował pokrowiec okrywający samochód, składał plastikowy dach i wybierał się na krótką przejażdżkę. Kiedy indziej całymi godzinami regulował silnik i polerował błyszczącą karoserię. Te ustępstwa nic Barbarę nie kosztowały, zresztą i tak była potwornie zapracowana rozwijając swoją firmę. Dom był zawsze pełen kuchennych zapachów.

Anna była świadoma nieodwzajemnionych uczuć, które żywiła do Olivera. W związku z tym musiała zachować szczególną ostrożność. Wiedziała, że wystawianie głowy, gdy dokoła szaleje bitwa, jest bardzo niebezpieczne. Z biegiem dni początkowy komizm i absurdalność nowej sytuacji ustąpiły miejsca przygnębieniu. Siłą woli zachowywała neutralność obserwatora, ale w środku aż drżała od niepohamowanej, nie dającej spokoju ciekawości i oczekiwania.

Każdy ruch w domu coś oznaczał, każde spojrzenie, każde wypowiedziane słowo było znakiem tego, co ma nastąpić.

Wieczorem przypominała sobie, co zauważyła w ciągu całego dnia, próbowała odgadnąć motywy działania Rose'ów, określić, kto z nich ustąpił z pola, a kto coś zyskał.

Zastanawiała się, czy oni widzą jej zainteresowanie i w chwilach, gdy nie była tego pewna, jeszcze bardziej starała się udawać obojętność. Wydawało się, że nawet dzieci opuściła już nadzieja na powrót do normalności. W pierwszych dniach próbowały nakłonić rodziców do pojednania używając całego sprytu, lecz szybko

zrezygnowały w obliczu jawnej wrogości, jaką okazywali sobie matka i ojciec. W końcu dzieciaki pogodziły się z porażką. Musiały pogodzić się z nową sytuacją i, acz niechętnie, usiłowały okazywać tolerancję.

– Starzy po prostu zwariowali – powiedziała zgorzona Ewa do Anny jednego wieczoru. Ostatnio Ewa spędzała coraz więcej czasu z przyjaciółmi, wymykając się spod kontroli opiekunki. Anna pomyślała, że w okresie tak ciężkiej próby narzucanie im surowej dyscypliny nie miałyby sensu. Josh znalazł zapomnienie w koszykówce i innych sportach, a ponieważ nie stracił kontaktu z ojcem, udało mu się pozostać w jako takiej równowadze ducha.

Czasami Anna czuła się nieswojo w roli tajnego obserwatora, bo wymagało to od niej wysiłku i koncentracji, a ponadto musiała jeszcze ukrywać swoje zainteresowanie. Czy było możliwe, żeby Oliver spojrział w końcu na nią jak na kobietę? Nie mogła się uwolnić od tej natrętnej myśli. Czuła się winna.

– Jesteś ostatnio bardzo cicha i spokojna – zauważyła pewnego dnia Barbara.

– Nawet tego nie zauważyłam – odparła Anna.

– Zresztą wcale ci się nie dziwię. Dużo się ostatnio u nas zmieniło.

Była to pierwsza próba rozmowy z Anną, próba samooceny. Anna słuchała odwracając wzrok w obawie, żeby Barbara nie odgadła jej myśli.

– Kto może mnie zrozumieć? Chyba tylko inna kobieta, która przeżyła to co ja. Nie można przekazać komuś innemu nagromadzonej złości i rozgoryczenia. Według mnie, dom

będzie uczciwą rekompensatą. Oliver będzie mógł kupić sobie taki sam już za kilka lat albo jeszcze szybciej. A ja musiałabym wyjść za mąż, inaczej nie byłoby mnie stać na dom. Tylko że wtedy cała historia zacznie się od nowa.

Mimo że ciężko pracowała, była teraz piękniejsza niż kiedykolwiek, promieniała radością, co dziwnie nie pasowało do panującej w domu atmosfery.

– Nie czuję się kompetentna do wydawania sądów – odrzekła Anna. Przypomniała sobie niewypowiedzianą wojnę, którą nieustannie toczyli jej rodzice. Rzadko widywała, aby okazywali sobie nawet najdrobniejsze oznaki szacunku. Żyli owładnięci nienawiścią. – Nic nie wiem o życiu małżeńskim. Pochodzę z bardzo tradycyjnej rodziny – skłamała.

– Wiem. Mąż daje żonie czek, a ona gotuje, sprząta i daje tyłka.

Anna wyczuła w Barbarze pewną zmianę: stała się twarda, bardziej nieprzejednana, a poza tym mówiła bez ogródek.

W pierwszych dniach Barbara i Oliver prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali, chociaż czasami musieli i wtedy Anna słyszała strzępy rozmów, które zawsze kończyły się mocnymi słowami wypowiedzanymi podniesionym głosem.

Jednego razu wieczorem spotkali się w kuchni. Anna była przy tym, bo pomagała polewać sosem pieczoną gęś, gdy Barbara wyrabiała ciasto. Widząc, że zanosi się na burzę, Anna zniknęła im z oczu, ale pozostawała na tyle blisko, by słyszeć każde słowo.

– Będę płacił rachunki za gaz i elektryczność –

powiedział Oliver – ale tylko do wysokości wynikającej z normalnej eksploatacji w gospodarstwie domowym. To, co zużywasz na działalność swojej firmy, będziesz płacić sama.

– W jakież to sposób wyliczysz tę różnicę? – spytała sarkastycznie Barbara.

– Wezwałem specjalistę z elektrowni i gazowni. Jeśli to będzie konieczne, każe założyć oddzielne liczniki.

– A co z energią zużywaną przez twój warsztat i saunę?

– Nie używam ich w celach zarobkowych.

– Ale ja za to płacę.

– Może jeszcze mam ci płacić czynsz za pokój? I za korzystanie z poduszki elektrycznej?

– Gdybym mogła, zażądałabym tego.

– Nie podobają mi się również twoje machinacje z rachunkami za żywność. Thurmont powiedział, że to będzie rozliczane osobno. Niemożliwe, żeby rodzina używała tygodniowo trzy kilogramy mąki i półtora kilo masła.

– Tak? A co się stało z sokiem pomarańczowym? Wiem, że parę dni temu ukradłeś karton soku. To mogłeś być tylko ty – powiedziała Barbara niewinnie, niby mimochodem włączając w krąg podejrzanych także Annę, która podsłuchiwała w napięciu.

– Przyznaję, to był błąd. Użyłem kartonów do zablokowania okien.

– Właśnie miałam ci o tym powiedzieć. Te pudełka na parapecie wyglądają obrzydliwie.

– To mój parapet.

– Ponadto nie widzę powodów, dla których zamknąłeś na klucz barek w bibliotece i piwnicę z winem.

– Cesarzowi należy się to, co cesarskie – odrzekł szyderczo, chociaż jego słowom brakło logiki.

– A Bogu to, co boskie, ty draniu.

– Ja naprawdę nie żartuję, jeśli chodzi o rachunki za żywność. Jeszcze nie liczę ci wody.

– Wody?

– Woda kosztuje – mruknął, lecz Anna wyczuła, że w tej sprawie nie będzie się upierał. – Proszę tylko o rozsądną, możliwą do przyjęcia ocenę tych kosztów.

– Rzucasz słowo „rozsądną” tak lekko, jakby to było jakieś błogosławieństwo.

– No proszę. Stałaś się orędowniczką Pisma Świętego. Przerabiasz teraz „zmartwychwstanie”?

– Żebyś wiedział. Zmusiłeś mnie do tego.

– W każdym razie nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Wkrótce Anna dowiedziała się, że ten spór został rozstrzygnięty nakazem sądowym. Barbara wystąpiła z zarzutem, że jest molestowana i że mąż nie przestrzega zasad porozumienia dotyczącego kosztów utrzymania. Goldstein wniósł sprawę do sądu i wygrał. Sąd nakazał Barbarze samodzielne pokrywanie wydatków związanych z działalnością jej firmy.

W czasie kolejnej dysputy Oliver powiedział:

– Osiągnęłaś tylko zwiększenie zarówno kosztów sądowych, jak i honorariów adwokackich.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie możesz biegać do sądu za każdym razem, gdy wyniknie jakiś spór. Wystarczy, że i tak musimy długo czekać, zanim doprowadzimy do końca rozwód. Jaki sens

mają te przejściowe decyzje?

– Nie pozwolę, żebyś mnie wykorzystywał.

– Przecież cię nie wykorzystuję.

Potem przez długi czas nie rozmawiali i zdawało się, że sprawy w naturalny sposób jakoś się uregulowały. Zachowanie Olivera cechowała żelazna konsekwencja. Anna spostrzegła, że skrócił do minimum czas wyjazdów na delegacje. Nie chciał stwarzać Barbarze możliwości swobodnego myszkowania po domu.

Zwykle wracał około północy. Kolację zjadał w restauracji, a potem wybierał się do kina. Nosił przy sobie programy filmów z różnych kin i pokazywał je swojej sekretarce, która zapisywała wszystkie „zaliczone” seanse w jego kalendarzu. Na śniadanie dostawał w pracy kawę z pączkiem, a lunch spożywał w towarzystwie kolegów z pracy lub klientów.

Opowiadał o tym wszystkim Annie, która zbierała się na odwagę i niby przypadkiem spotykała go, kiedy szedł schodami do gościnnego pokoju. Robiła to, gdy Barbary nie było w domu, gdy wychodziła, aby zrealizować zamówienie klienta lub dokonać zakupów. Anna ze zdziwieniem spostrzegła, że w jej towarzystwie Oliver zachowuje się trochę nerwowo.

– To nie jest życie, Anno – powiedział pewnego wieczoru, gdy spotkali się w hallu. – Jednak filmy to świetny wynalazek: pozwalają na ucieczkę od trosk codziennego życia. Jest coś w atmosferze seansu, może ciemność, może siedzący obok obcy ludzie. To nie to samo co telewizja. A jednak źle żyć w samotności.

W skrytości ducha Anna myślała, żeby była gotowa zrobić wszystko, aby go uwieść, i nieraz jej fantazje przybierały bardzo śmiałą formę. Lecz gdy znajdowała się blisko niego, cała odwaga ją opuszczała. Mimo to wciąż szukała na jego twarzy choćby najmniejszej oznaki zainteresowania. Nie umiała pozbyć się tych myśli, nie śmiała żywić nadziei, że jej marzenia się spełnią. Bała się odtrącenia i to doprowadzało ją do rozpacz.

Zdarzało się, że zawieszenie broni między zwaśnionymi stronami ulegało zerwaniu i dochodziło do nowych potyczek. Pewnego razu, gdy Anny nie było w domu, Oliver włamał się do małżeńskiej sypialni, żeby zabrać buteleczkę „Maaloxu”, którą ongiś zostawił na półce w szafce z lekarstwami.

Wszyscy poderwali się na równe nogi, kiedy Barbara z dziką furią zaczęła się dobijać do drzwi męża. Przerażone dzieci schroniły się w ramionach Anny u szczytu schodów i cała trójka czekała w napięciu na to, co będzie dalej, jak widzowie na walce byków.

– Włamałeś się do mojego pokoju, skurczybyku jeden! – wrzeszczała. Dostarczyła zimny bufet na przyjęcie, które przeciągnęło się do późna i odkryła włamanie po powrocie do domu. Oliver otworzył drzwi i stanął przed nią mrużąc rozspane oczy.

– Potrzebowałem tylko „Maaloxu”. Miałem atak.

– Ale nie masz prawa włamywać się do mojego pokoju.

– Zabrałem tylko „Maalox”. Było za późno...

– Są apteki czynne całą dobę.

– Potrzebowałem tego natychmiast. Nie miałem wyboru, bo lekarstwo się skończyło. Naprawdę, Barbaro, byłem w

agonii.

– Nie miałaś prawa. Żadnego. To pogwałcenie naszego układu. To wykroczenie przeciwko prawu.

– Gównu!

– Wyłamanie zamka i wdarcie się do środka. Nie puszcze ci tego płazem. Zaraz zadzwonię na policję.

– Tam jest telefon. – Wskazał palcem aparat w swoim pokoju. Z wściekłością odepchnęła go i weszła do środka. Chwyciwszy słuchawkę nakręciła numer 911.

– Chciałabym zgłosić kradzież – powiedziała. Nazywam się Barbara Rose, Kalorama Circle numer sześćdziesiąt osiem. – Na chwilę zaległa cisza. – Wiem, że skradziono buteleczkę „Maaloxu”, a może i coś jeszcze, musiałabym sprawdzić. Mój mąż włamał się do mojego pokoju. Nie, nie zgwałcił mnie.

– Oderwała słuchawkę od ucha i spojrzała na mikrofon. – Cholera jasna, płacimy wam za ochronę życia i mienia obywateli, a nie zadawanie idiotycznych pytań. – Trzasnęła słuchawką w widełki. Oliver jeszcze jej nie widział w takim stanie i był trochę rozbawiony.

– Czujesz się lepiej? – spytał ironicznie. Oparł się o futrynę i uśmiechnął szeroko.

– Nie miałaś prawa tego zrobić – rzuciła wściekle i wybiegła na korytarz zatraskując za sobą drzwi.

– Nie mów mi nic o prawach – krzyknął do niej.

– Tu się robi prawdziwy dom wariatów – szepnęła Ewa.

– Zupełnie jak serial w telewizji – dodał Josh.

– Ciekawe, jak to się skończy.

Incydent miał epilog w sądzie, gdzie Barbara uzyskała

orzeczenie zabraniające Oliverowi włamywania się do jej pokoju.

W czasie kolacji, kiedy Barbara powiedziała dzieciom o decyzji sądu, Josh zapytał:

– A jeśli zrobi to jeszcze raz, to czy pójdzie do więzienia?

– Obawiam się, że tak – odpowiedziała łagodnie. Josh był wyraźnie wstrząśnięty, rzucił serwetkę na stół i pobiegł do swojego pokoju.

Później, gdy Barbara uspokoiła syna, zapukała do Anny.

– Czy mogę wejść? – spytała otworzywszy drzwi. Anna coś czytała.

– Oczywiście.

Barbara miała na sobie szlafrok. Jej twarz była pokryta grubą warstwą kremu, włosy miała upięte z tyłu głowy. Wyglądała zadziwiająco młodo, a przy tym sprawiała wrażenie niepewnej i bezbronnej.

– Najgorzej jest wtedy, gdy nie ma z kim porozmawiać. Olivier przynajmniej słuchał tego, co mówiłam, ale wciąż miałam wrażenie, że coś przed nim ukrywam, że nie mówię mu prawdy. – Usiadła na łóżku i przygryzła wargę. – To, co się teraz dzieje, jest okropne Anno. Nie przypuszczałam, że będzie aż tak źle, przedtem wszystko wydawało mi się o wiele prostsze. – Popatrzyła smutno na twarz Anny, która domyśliła się, że zaraz nastąpią zwierzenia. To było nieuniknione. – Pewnie uważasz mnie za bezdusznego potwora.

Anna nie zdążyła odpowiedzieć, gdy, na szczęście, Barbara podjęła przerwany wątek.

– Szczerze mówiąc – powiedziała uderzając się kciukiem

w pierś – nienawidzę siebie za to, co czuję, że muszę zrobić. Gdybym była wierząca, uważałabym się za Hioba w spódnicy. – Pochyliła głowę, w zamglonych oczach pojawiły się łzy, które spłynęły po policzkach. – Przecież jestem człowiekiem. Tak mi smutno, że to wszystko odbija się na dzieciach. Żal mi nawet Olivera. Pragnę jedynie, żeby po prostu wyniósł się i zostawił mnie w spokoju. Niczego więcej nie chcę. – Jej wargi drżały, gdy uniosła wzrok na sufit. ~ Pewnie mogłabym żyć tak jak dotychczas, ale wiem, że potem żałowałabym tego do końca życia. Muszę zrealizować to, co sobie postanowiłam. Anno, czy ty mnie rozumiesz?

Anna usiadła obok niej na łóżku i uściskawszy serdecznie dłoń Barbary powiedziała:

– Proszę cię, nie stawiaj mnie w sytuacji, w której musiałabym dokonywać wyboru. Cała ta historia rozdziera mi serce. Kocham was wszystkich i bardzo mi was szkoda.

– Ja nie jestem potworem, Anno – szepnęła Barbara. – Naprawdę. Serce mówi mi, że postępuję słusznie. Patrząc w przeszłość... – urwała wzdychając.

– Czułam się prześladowana, bezsilna. Mamy tylko jedno życie, Anno. Tylko jedno. A ja nie byłam szczęśliwa.

– Nie mnie o tym sądzić – odparła Anna. Mimo takiej deklaracji, dokonała przecież oceny słów Barbary. Jakże ona mogła być nieszczęśliwa będąc żoną Olivera? To było niepojęte.

– Gdyby tylko zechciał się wyprowadzić z domu, tak jak zrobiłby to każdy inny mąż w podobnej sytuacji.

– Jestem pewna, że wszystko skończy się dobrze – powiedziała z głupia frant Anna czując niesmak. Co za

hipokryzja. Szkoda, że nie mogła być szczerą. Widziała, jak Barbara się męczy, rozumiała jej bezsilność, ale przecież Oliver był wyjątkowy. Mimo że Barbara celowo uprzykrzała mu życie, Anna nie czuła do niej nienawiści, do głębi poruszona jej wewnętrzną rozterką. Nagle Barbara przytuliła się do niej i Anna poczuła dotyk gorących wilgotnych policzków i pełnych piersi, poczuła słodki zapach ciała Barbary. Niespodziewane ta bliskość przypomniała Annie Olivera. Mocno odwzajemniła uścisk.

– Kobiety to rozumieją – szepnęła Barbara. Po chwili wstała ocierając policzki rękawem. – Jesteś dla nas największym skarbem, Anno. Chcę, żebyś to wiedziała. Wszyscy dużo ci zawdzięczamy.

Zażenowana Anna nie uważała, że zasłużyła na tę wdzięczność.

* * *

Choinka była pomysłem Ewy. Z pomocą Josha i Anny ustawiła ją w bibliotece.

– Jak święta, to święta. Guzik mnie obchodzi, co się dzieje w naszym domu. – Ewa długo opowiadała Annie o tym, jak radośnie co roku spędzali Boże Narodzenie: wyjeżdżali na narty do Aspen, opalali się na Wyspach Dziewiczych i w Acapulco. Jeśli zostawali w domu, ustawiali choinkę w bibliotece, a z Bostonu przyjeżdżali dziadkowie. Był wspaniały świąteczny obiad i wielkie przyjęcie dla wszystkich przyjaciół wszystkich Rose'ów.

Anna nie miała zamiaru być z nimi w czasie świąt, ale oni

sprawiali wrażenie tak nieszczęśliwych i przygnębionych, że poczuła się w obowiązku zostać.

W Wigilię Josh i Ewa byli zaproszeni do swoich przyjaciół, a Barbara spędziła wieczór bardzo pracowicie, bo miała duże zamówienie i musiała wszystko przygotować, dopilnować na miejscu, a potem zabrać się do realizacji następnego zlecenia. Teraz nie było jej w domu. Anna nie mogła usiedzieć beczynn timer i chętnie skorzystała z możliwości pomocy Barbarze, która miała zrobić placki według przepisu na zimny bufet dla greckiej ambasady. Barbara udzieliła szczegółowych instrukcji, które Anna skrzętnie zapisała i zaczęła działać. Składniki były już gotowe, musiała je tylko dokładnie wymieszać. Do wielkiej misy leżącej na głównym blacie włożyła wołowinę, cebulę, doprawiła solą i pieprzem, dodała chleb, wino oraz bulion. Gdy ciasto miało odpowiednią konsystencję, pokroiła je na siedem prostokątów, zawinęła w aluminiową folię i włożyła do zamrażarki. Była z siebie bardzo dumna. Barbara obawiała się, że nawał pracy w kuchni uniemożliwi jej spędzenie pierwszego dnia świąt z dziećmi, czego bardzo pragnęła.

Anna wcale nie żałowała, że w czasie Bożego Narodzenia będzie z dala od rodziców. Wołała raczej pomóc trochę Barbarze w kuchni. Rodzice Anny upijali się w każdą Wigilię, a w pierwszy dzień świąt leczyli ciężkiego kaca i cierpieli z powodu dolegliwości żołądkowych.

Kiedy Anna pozmywała naczynia, napełniła kieliszek winem i przeszła do biblioteki, gdzie stała pięknie udekorowana choinka. Pod nią leżały pudełka z prezentami. Anna zauważyła, że Barbara i Oliver nie zamierzali

wymienić upominków, lecz z radością ujrzała podarki od obojga z wypisanym jej własnym imieniem. Kiedy zastanawiała się, co kryje paczuszka od Olivera, światełka na choince zamigotały i ściemniały. Już miała wyjąć wtyczkę z gniazdka, gdy usłyszała znajome kroki w hallu. Nie widziała Olivera od tygodnia, ale Ewa poinformowała ją, że ojciec przyjdzie na tradycyjne otwieranie prezentów rano w dzień Bożego Narodzenia. Widocznie ze względu na dzieci oboje postanowili zachować pozory dobrego wychowania.

– Wspaniała Wigilia – powiedział Oliver podchodząc do barku, gdzie nalał sobie dużą whisky. – Za lepsze święta – uniósł szklankę. Anna podniosła swój kieliszek.

– Wszyscy wyszli – odezwała się, czując narastające napięcie. Skończył pić i nalał sobie następną porcję trunku.

– Byłem dzisiaj na dwóch włoskich filmach. Jeden miał tytuł „Desperat”, a drugi „Chleb z czekoladą”. W kinie było tylko kilka osób, takich jak ja, które nie mają co ze sobą zrobić. Obejrzałbym te filmy jeszcze raz, ale zamknęli kino, bo to przecież Wigilia. Operator pewnie chciał być w domu z rodziną. W domu z rodziną. Zwykle ludzkie radości – westchnął. Jego szklanka znowu była pełna. Nagle uniósł wzrok, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności Anny. – Dlaczego nie wyjechałaś do rodziny, Anno?

Nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie.

– Myślałam, że bardziej będę potrzebna tutaj – szepnęła.

– To dobrze. Przynajmniej ktoś cię potrzebuje. A mnie nikt nie potrzebuje, nawet jako statysty.

Wychylił szklankę i przykucnął obok Anny, która siedziała po indiańsku tuż przy choince, patrząc na migoczące

świąteczka.

– Zaraz je naprawię. Zdaje się, że trzeba polutować druciki.

Ukradkiem patrzyła na jego profil i utkwiała wzrok w poruszających się wargach.

– Święta robi się tylko dla dzieciaków – powiedział. Jego usta drżały, nie mógł wydusić z siebie ani słowa więcej. Położyła mu rękę na ramieniu. Nie odwracając się, przycisnęła mocno do siebie jej dłoń.

– To musi być dla ciebie potwornie nudne, Anno – odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. – Nie wiem, dlaczego to jeszcze znosisz. Nie wiem, dlaczego ja sam to znoszę. Wszystko to nie ma sensu. Dwa durne osły tarzające się w błocie.

– Nie mnie o tym sądzić. – Niespodziewanie przypomniała sobie, że dokładnie to samo powiedziała Barbarze.

– Powinnaś być z nami w zeszłe święta. To były wspaniałe dni, rodzina, tradycja. Mój ojciec wznosił toast. » Szczęściarz z ciebie – powiedział. – Naprawdę wielki szczęściarz « . A teraz on nie rozumie, co się dzieje. Uważa, że ja mam kochankę, a Barbara przechodzi klimakterium. Powiedziałem mu, że nic z tych rzeczy, ale on nie chce słuchać. Jak można wyjaśnić to komukolwiek?

– Nawet nie próbuj. To nie ich sprawa – rzuciła zaskoczona własną stanowczością.

– Najbardziej doskwiera mi samotność. Straciłem towarzystwo. Chyba tego brakuje mi najbardziej.

– Znajdziesz kogoś – powiedziała ostrożnie. Serce waliło

jej jak młotem. „Spójrzże na mnie”, pomyślała błagalnie.

– Teraz to niemożliwe. Goldstein mówi, że powinienem spasować. Nigdy nie sądziłem, że pewnego dnia moim życiem będzie dyrygował były rabin.

– Jego ręka krążyła niepewnie wokół jej ramienia.

– Kochana Anna. Jesteś jak balsam dla chorego ciała. Nie wiem, co byśmy zrobili, jak byśmy to wszystko przeżyli bez ciebie. A zwłaszcza dzieci. Jesteś dla nich prawdziwym darem niebios. Założę się, że nie spodziewałaś się tego, kiedy zamieszkałaś tu z nami. To była jedna z najlepszych decyzji Barbary.

W domu było cicho. Anna miała wrażenie, że ziemia nagle stanęła w miejscu. Nie śmiała wykonać żadnego ruchu. Jego bliskość porażała ją niczym prąd elektryczny, którego pulsowanie wprawiało jej ciało w drżenie. Poczuła przy uchu jego oddech.

– Ani przez chwilę nie mogę o tym zapomnieć – powiedział. – Żadnej pociechy. Nie potrafię wyzwolić się od tego koszmaru.

Zapominając o tym, że powinna być ostrożna, poddała się instynktowi. Już dłużej nie umiała nad sobą zapanować. Zwróciła twarz ku jego twarzy, na której szukała potwierdzenia swoich oczekiwań. Zbliżył się do niej jeszcze bardziej, aż ich wargi spotkały się. Poczuła jak językiem delikatnie wędruje po jej ustach, pieści jej drżący język. Wyciągnęła rękę i zanurzyła palce w jego włosach. Tę scenę często widziała oczami wyobraźni, o tym zawsze marzyła: zacisnąć dłoń w jego pięknych kręconych włosach przyprószonych siwizną.

Nie opierała się, gdy położył rękę na jej udzie i przesuwał ją coraz wyżej i wyżej. Był podniecony, czuła to, chciała, żeby ją posiadł i rozchyliła uda obejmując go mocno. Przeszedł ją dreszcz niepokonanej żądz, jakby nagle tysiące delikatnych palców pieściły każdy nerw jej wstrząsanego drżeniem ciała.

Niespodziewanie wywinął się z jej objęć i w chwilę później usłyszała to, co spowodowało jego nagły ruch: ktoś otwierał frontowe drzwi domu. W jednej chwili była na kolanach, ogarnęła się, poprawiła ubranie i zaczęła przesuwać paczki z prezentami. Nie odwracała się, choć czuła już za sobą obecność Barbary i serce skoczyło jej do gardła. Oliver skrył się w cieniu za paletą, poza zasięgiem wzroku Barbary.

– To ty, Anno? – spytała Barbara.

Anna odwróciła się na chwilę.

– Układam prezenty.

Czuła jej wzrok na swoich plecach. „Boże, spraw, żeby sobie poszła”, błagała w duszy.

– Padam ze zmęczenia. Czy udało ci się zrobić ciasto na te placki?

– Tak.

– A dzieci już wróciły?

– Jeszcze nie.

– Jutro Boże Narodzenie. **Trochę się boję.**

Anna poczuła atmosferę napięcia panującą w bibliotece. Wstrzymała oddech przestraszona, że Barbara zechce zostać i rozmawiać. A tego by nie wytrzymała.

– Lepiej pójde już spać – ziewnęła Barbara wycofując się

z biblioteki.

Anna słuchała z ulgą oddalających się kroków. Dopiero gdy dobiegł ją dźwięk zamykanych drzwi do sypialni, Oliver wyszedł z cienia.

– Przepraszam cię – wyszeptał.

Ujęła jego rękę i pocałowała go w otwartą dłoń. Szybko wyrwał się. Odniosła wrażenie, że był niezadowolony, że być może wstydził się tego, co się stało. Wyszedł na palcach do hallu i głośno otworzył frontowe drzwi, jakby właśnie w tej chwili wrócił do domu, następnie szybko wbiegł po schodach. Anna wyteżyła słuch. Otwierał kluczem drzwi pokoju gościnnego.

Jeszcze długo klęczała obok choinki w bibliotece. Czy Barbara ich widziała? To nie miało w tej chwili znaczenia. Była szczęśliwa.

Spojrzała na drzewko i migocące światełka. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie przypomniała Oliverowi, aby je naprawił.

Rozdział 13

Smród gryzącego dymu obudził Olivera. To mógł być tylko pożar. Jeszcze jako skaut przeżył historię z zaproszeniem ognia w drewnianym baraku, który w ciągu kilku chwil płonął jak pochodnia. Oliver w oka mgnieniu zerwał się z łóżka i boso zbiegł na dół. Gałązki choinki paliły się i z trzaskiem sypały pomarańczowe iskry. Szybko wyciągnął gaśnicę ze schowka pod schodami i wrócił do biblioteki, gdzie płomienie objęły już leżące pod drzewkiem prezenty. Odkręcił kurek gaśnicy i piana trysnęła łukowatym strumieniem na pełzające języki ognia.

– Tato! – usłyszał za sobą przerażony krzyk Ewy.

– Cofnij się – zawołał. Ogień szybko przygasał, ale w pomieszczeniu ciągle pełno było śmierdzącego dymu. Po chwili, gdy płomienie zostały zduszone pianą, Oliver wyłączył gaśnicę.

– Cholerne światełka – powiedział żałośnie. – Powinienem był je naprawić.

– Wszystko zniszczyłeś! – usłyszał za plecami wściekły głos Barbary.

– A co miałem zrobić? – spytał napastliwie. – Pozwolić, żeby spłonął cały dom?

– Wiedziałeś, że lampki są zepsute.

Upuścił gaśnicę, która z hukiem uderzyła w podłogę.

– Chyba jestem oskarżony o to, że zepsułem wszystkim święta.

Ewa i Josh zaczęli grzebać wśród pogorzeliśka.

Większość prezentów była zwęglona, niemal wszystko uległo całkowitemu zniszczeniu. Oliver kupił Joshowi lornetkę, która teraz leżała powyginana i poskręcana od gorąca.

– Miałeś świetny pomysł, tato – powiedział Josh unosząc w ręce zniszczony przedmiot.

– Kupię ci drugą – rzekł Oliver.

– A co masz dla mnie tato? – spytała cicho Ewa, wycierając w szlafrok ubrudzone ręce.

– Według twojej matki, zepsute święta. – Popatrzył na Barbarę, która odwróciła się z pogardą. „Ocaliłem im życie”, pomyślał. Jego oczy trochę pojaśniały, gdy ujrzał współczujące spojrzenie Anny. Właśnie weszła do biblioteki.

– Okropne, prawda? – powiedziała do niej Ewa.

– Wesołych świąt! Dla wszystkich! – powiedział Josh. Wciąż trzymał lornetkę w uniesionej ręce i uśmiechał się patrząc na spaloną choinkę. Pierwsze promienie wschodzącego słońca przeniknęły do biblioteki.

– Nie pozostało nam nic innego, jak zabrać się do uprzątnięcia tego bałaganu – odezwała się Barbara. Wyszła na środek pomieszczenia i zaczęła wydobywać z popiołów resztki spalonych przedmiotów. Perski dywan był przesiąknięty wilgocią, ale, o dziwo, nie uszkodzony. Dzieci zwinęły go i odstawiły w kąt.

– Mam nadzieję, że nie zmieniłeś również ubezpieczenia od szkód wywołanych pożarem – mruknęła Barbara do stojącego bezradnie Olivera.

– Niech szlag trafi Boże Narodzenie! – krzyknął z furią i wybiegł z biblioteki. Nie cierpiał, gdy starała się wykazać, że to on jest wszystkiemu winny.

W pokoju położył się na łóżku i starał się nie poddawać nadchodzącej depresji. Wszystkie wartości, które do tej pory były dla niego najważniejsze, teraz przybrały nowy kształt.

Widzieli tylko zniszczenia, ale nikt nie dostrzegł jego ojcowskiej troski o ich życie i zdrowie. Przypomniawszy sobie poprzedni wieczór zawahał się, niemal gotów przyjąć na siebie całą winę. Rzeczywiście, przecież zapomniał naprawić lampki, ale czy Anna nie obiecała przypomnieć mu o tym? Anna. Wspomniał pożądanie, które wtedy odczuwał i nie mógł już myśleć o niczym innym. Naturalną reakcją jego ciała był nagły wzwód. Gdyby w pobliżu była teraz jakakolwiek kobieta, nie przepuściłby okazji. Czysta fizjologia, bez żadnych romantycznych historii. Goldstein ostrzegał go, że taki wyskok byłby fatalny w skutkach. „Nie spotykać się z żadną kobietą. Przynajmniej na razie – mówił. – Lepiej robić to z Panią Ręką i jej pięcioma siostrami”. Oliver był zaskoczony poczuciem humoru starego Goldsteina. Zresztą Anna była za młoda. A jednak potrzebował kobiety. Jakiegokolwiek.

Przypomniawszy sobie, jak Anna drżała w podnieceniu, gdy ją objął i przytulił. „Więc nie jestem seksualnie mało atrakcyjny”, pomyślał. Był niczym więzień w celi, który chwycił każdy promień światła jak najdroższy skarb.

Czuł, że jego członek porusza się i drży w rytmie szybko bijącego serca. Zamykając oczy wyobraził sobie Annę zupełnie nagą. Miała twarde sutki i czekała a niego z szeroko rozwartymi udami. Wchodził w nią głęboko i natarczywie, z całą siłą na jaką było go stać. Czuł zbliżającą się kulminację, lecz rozkosz trwała krótko. Coś obcego, nieproszonego

wdzierało się w jego wyobraźnię. Próbował z tym walczyć, lecz bezskutecznie. Uniesienie powoli mijało, serce uspokoiło się i ciśnienie krwi opadło. Zobaczył wykrzywioną w nienawiści twarz Barbary, która mówiła: „Wiedziałeś, że lampki są zepsute”. Czy naprawdę wiedział?

„Zostaw mnie samego”, miotał się w myślach.

Ale nie chciał być sam.

Wszystko, tylko nie to.

* * *

Przez większą część dnia leżał w łóżku. Ewa i Josh przyszli na chwilę, żeby go przeprosić lub pocieszyć, sam nie wiedział. Pootwierali okna, aby dobrze przewietrzyć cały dom. Nie miał nic przeciwko temu, żeby dzieci poszły na świąteczny obiad z Barbarą i Anną. Wiedział, że było im smutno z powodu jego nieobecności, ale wyrozumiale nie nalegały, aby się do nich przyłączył. Kiedy Ewa i Josh wyszli, Benny wskoczył na łóżko i położył głowę na piersi swego pana. Jednak pies wydzielał tak nieprzyjemny zapach, że w końcu Oliver musiał go przegonić. Psi odór zaczął męczyć Olivera, więc ruszył z miejsca i postanowił zrobić coś pożytecznego.

Ubrawszy się zszedł na dół i najpierw zajrzał do swoich orchidei. Z przerażeniem zobaczył, że koniuszki płatków zbrązowiały, co było niepokojącym i niespodziewanym objawem, bo jeszcze poprzedniego dnia kwiaty miały się doskonale.

– Hej, nie róbcie mi tego – powiedział dumny z ich

piękna, zwłaszcza jeśli porównywał je z pospolitymi roślinkami Barbary. Podlał orchidee szepcząc słowa pociechy i zachęty, po czym zszedł do warsztatu i wsadził Benny'ego do dużego zlewu z żeliwa, który napełnił wodą.

– Wesołych świąt, staruszk – rzekł do przestraszonego psa, w którego oczach malowała się prośba o zakończenie tortur. Szorując cuchnące zwierzę Oliver przypomniał sobie święta z wczesnego okresu małżeństwa.

Złożyli uroczystą przysięgę, że podarują sobie coś niematerialnego. Oliver był podówczas studentem ostatniego roku prawa na Harvardzie. Ciężko im było, ledwo wiązali koniec z końcem. Barbara pracowała w domu towarowym Macy's demonstrując różne rodzaje urządzeń kuchennych. Zrządzeniem opatrności – wtedy często używał takich zwrotów – dowiedział się o ofercie pracy w Federalnej Komisji Handlu w Waszyngtonie. Warunkiem było zdanie egzaminu. Przez tydzień trzymał tę wiadomość w tajemnicy, aby mógł ją ogłosić w Boże Narodzenie. Ciekaw był, co ona ma dla niego, lecz nie wątpił, że jego prezent będzie wspanialszy.

Kiedy przekazał jej dobrą wiadomość, Barbara powiedziała:

– Jestem w ciąży.

Właściwie to nie było z jej strony uczciwe. Nie był przygotowany na taką wieść. Nie okazał jej niezadowolenia, zastanowiło go tylko, dlaczego komplikowała im życie bez uprzedniego porozumienia z nim samym. Powiedział jej, że trzeba kontrolować swoje życie, a nie pozwalać na narzucanie sytuacji losowych. Barbara wcale nie

protestowała.

– Dzieci przynoszą szczęście – odparła. – Będziemy mieli dla kogo żyć.

Siedziała mu wtedy na kolanach, zasypując go pocałunkami.

– Bałam się, że będziesz na mnie zły. Ale przecież dostałeś tę świetną pracę. Cudowny zbieg okoliczności.

– To ci dopiero prezent. – Przytulił ją mocniej.

– Mały, kochany dzidzius.

Jego niepewność szybko minęła i pamiętał, że jeszcze tego samego dnia oboje nie posiadali się ze szczęścia. Wkroczyli w nowy etap życia.

Wytarł psa i włączył saunę. Zostawiwszy Benny'ego w warsztacie, poszedł na górę po szlafrok. Sauna relaksowała go, wyzwalając z lęków, a zimny prysznic sprawiał, że czuł się rześki i wypoczęty. Idąc przez cieplarnię jeszcze raz rzucił okiem na orchidee. Płatki ściemniały jeszcze bardziej, a łodygi zaczynały się niepokojąco zginać. Nachylił się nad kwiatami i zanurzył palce w ziemi. Woń na czubkach palców była dziwnie znajoma, podobna do zapachu piany z gaśnicy, której użył wcześniej rano. To było niemożliwe, ale druga próba potwierdziła wstępną ocenę. „Czyżby Barbara?“, pomyślał. Zawsze uwielbiała kwiaty. Cymbidium było jednym z niewielu gatunków, który dało się hodować w zamknięciu i podjęcie się takiej hodowli było zarówno wyzwaniem, jak i pełnym wyrzeczeń obowiązkiem. Ale czy Barbara mogła zrobić coś takiego? Jeszcze raz powąchał swoje palce. Nie miał już cienia wątpliwości. To były przecież jego orchidee, JEGO. Fakt, że wyładowywała swoją

złość na nim, był jeszcze w miarę zrozumiały, ale zniszczenie bezbronnych kwiatów stanowiło kryminalny występki. „Morderczyni – pomyślał. – A za morderstwo kara”.

Miotał się po domu szukając możliwości zemsty za ten ohydny postępek. Wszedł do kuchni, która była królestwem Barbary, pootwierał szafki, oglądał sprzęty i zgromadzone zapasy, szukał czegoś, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy.

Nagle jego wzrok padł na zamrażarkę, w której znalazł owinięte w folię aluminiową porcje jakiejś potrawy. Odwinął jedną z nich i poczuł zapach mięsa. „Taaak”, pomyślał z mściwą satysfakcją. Przyjrząwszy się etykietkom na półce z przyprawami wybrał imbir, curry i zwykłą sól. Obficie posypał nimi ciasto, które następnie ugniótł na jednolitą masę i z powrotem umieścił w formie. Powtórzył to samo z pozostałymi sześcioma pojemnikami, używając różnych przypraw, zamienił sól na cukier z ubawieniem myśląc o tym, jak klienci Barbary będą się wyklócać, czy potrawa jest za słona, za słodka czy też gorzka.

W saunie z bólem myślał o orchideach, lecz zemsta w pewnym stopniu łagodziła jego żal. Leżał na drewnianej ławie i czuł, jak parne powietrze cudownie przenika jego ciało. Przez chwilę zapomniał o samotności i wewnętrznej pustce. Myślał o swojej odpowiedzi na niosący śmierć i zniszczenie atak Barbary.

Rozdział 14

Harry Thurmont jakoś zniósł wybuch złości Barbary, która przybiegła do jego biura po bardzo przykrych rozmowie z żoną ambasadora Grecji.

– Powiedziała, że goście zachowywali się normalnie do chwili, aż dwóch z nich zwymiotowało, w tym jeden prosto na stół.

– To nie najlepiej dla reputacji pani firmy – powiedział Thurmont, bezskutecznie próbując ukryć rozbawienie.

– Pan chyba nie mówi tego poważnie. To przecież jawny sabotaż.

Próbowała zachować spokój, działać racjonalnie, nie poddawać się emocjom, lecz ten rano był dla niej okropny, naprawdę straszny. Wezwano ją do ambasady o siódmej rano. Ambasador Petrakis z żoną przyjęli ją w jadalni, gdzie wciąż czuć było nieznośny zapach wymiocin. Bez słowa zaprowadzili ją do kuchni, aby obejrzała *corpus delicti*.

– Proszę skosztować – nakazał ambasador. Twarze obojga gospodarzy były blade, mieli zaczerwienione niewyspania oczy. Barbara powąchała placki, z których emanowała dziwna woń.

– Niech pani skosztuje – powtórzył ambasador. Twarz jego żony nie wyrażała ani cienia współczucia. Barbara posłusznie wzięła do ust kawałek placka i natychmiast go wypluła.

– I pani uważa siebie za poważną firmę. Otruła pani moich gości.

Była tak zszokowana, że nie zdobyła się na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Gardło miała sparaliżowane od poniżenia i wstydu.

– Najpierw myślałem, że to Turcy panią przekupili.

– Turcy?

– Jednak potem zdecydowałem, że nie będę podnosił tego wypadku do rangi międzynarodowego incydentu. – Ambasador był bliski wybuchu. – To smakuje jak gówno. Gówno! – wykrzyknął. Żona starała się hamować jego gniew.

Barbara z płaczem wybiegła na ulicę.

– Jestem przekonana, że mamy podstawy do wszczęcia postępowania sądowego w tej sprawie – powiedziała spokojnie do Thurmonta. – Czekaliśmy na taką okazję. On celowo zniszczył przygotowany przeze mnie bufet. – Wspomnienie sprawiło, że poczuła skurcz w żołądku. – I zepsuł dobre imię mojej firmy. Straciłam wspaniałego klienta.

Thurmont potarł dłonią podbródek.

– Ma pani dowody?

– A któż inny mógłby to zrobić. Do Anny mam całkowite zaufanie. – W tej chwili przypomniała sobie Annę w wigilijny wieczór i zawahała się. Niewyraźne wspomnienie nagle przybrało realne kształty. Wtedy, w bibliotece, czuła niemal podświadomie obecność Olivera. Myśl uciekła równie szybko, jak przyszła, gdy odezwał się Thurmont.

– To nie wystarczy, proszę pani. Możemy powalczyć, ale nie wygramy, nie osiągniemy werdyktu, jaki by panią usatysfakcjonował. To nie umożliwi pani pozbycia się go z domu.

– On się przyzna. Pod przysięgą będzie musiał to zrobić.

– Droga pani, proszę mi wyświadczyć przysługę i nie zajmować się prawnymi aspektami sprawy. Narazi się pani na pośmiewisko, co tylko może pani zaszkodzić.

Wyczuła prowokację i wybuchnęła z całą siłą.

– W porównaniu z tym, co on zrobił, orchidee są niczym.

– Orchidee?

Przedtem opowiedziała mu o spalonej choince, lecz nie wspomniała o kwiatach Olivera. Teraz nie umiała się powstrzymać.

– Zepsuł nam święta. Musiałam wylewać z biblioteki tę obrzydliwą pianę całymi wiadrami. Kiedy zobaczyłam jego orchidee, wpadłam w złość. To nie było mądre, zresztą nie sądziłam, że ta piana je zniszczy. To jest, nie byłam tego pewna, ale chciałam je podtruć, a nie zabić.

Thurmont popatrzył na nią z odrazą. Myślała, że zaraz wyceluje w nią palcem mówiąc: „Co za ohyda”.

– W tej grze wymagana jest dyscyplina, pani Barbaro.

– Łatwo panu mówić.

– I nie będę latać dla pani do sądu z każdą drobną sprawą.

– Drobną sprawą! – Przyjrzała mu się uważnie. – Przecież nie mogę zamknąć kuchni na trzy spusty.

To moja firma, moje źródło pieniędzy na życie. Dlaczego on się w to miesza? To... podłe.

– Potrzebny pani jakiś bardziej spektakularny występ z jego strony. Coś, co przyniesie więcej szkody.

– Niewiele pan działał po tym, jak Oliver włamał się do mojego pokoju – fuknęła. Lecz słowa Thurmonta znowu przywołały wspomnienie Anny. Ten wigilijny wieczór...

– Coś moralnie nagannego – podjął Thurmont.

– Coś, z czego nie wywinie się tak łatwo.

– Na przykład inna kobieta?

– Niekoniecznie. – Popatrzył na nią zimno. – Musi pani dać sędziemu podstawy do nakazania mężowi opuszczenia domu. Na przykład to, że ma zły wpływ na dzieci. Albo jest niebezpieczny.

Oliver tam był. W bibliotece. Nie miała już wątpliwości. Wyczuła to wtedy, lecz zaraz potem zapomniała. A więc Anna...

– Z tego incydentu mamy jednak pewną korzyść – rzekł Thurmont. – Otóż pan Rose daje się sprowokować. Tylko że prowokacja nie może być tak widoczna i oczywista. Musi pani unikać odpłacania mężowi pięknym za nadobne. Sędziowie tego nie lubią. Sprawa nabierze przyziemnego charakteru i sędziowie nakażą kompromisowe rozwiązanie, a przecież właśnie tego chcemy uniknąć.

– A więc dobrze – odparła wyniośle. – Następną prowokacją już nie będzie tak widoczna.

Było jasne, że Harry Thurmont i litera prawa dawały jej bardzo ograniczone możliwości. Zaczynała rozumieć, na czym to wszystko polega. Thurmont wyszedł z za biurka i stanął przed nią.

– Nie mam absolutnie nic przeciwko doprowadzaniu go do wściekłości, lecz jeśli on będzie wiedział, że pani celowo próbuje wyprowadzić go z równowagi, to zachowa spokój. Czy pani mnie rozumie?

– Doskonale pana rozumiem. – Obdarzyła go niewinnym uśmiechem. Miała już w głowie nowy plan. Długo przyglądał

się jej twarzy.

– Wygląda pani jak kot, który właśnie połknął kanarka.

– Nie połknął, ale właśnie zauważył go śpiewającego w klatce.

* * *

Barbara nigdy nie uważała aktu zajścia w ciążę za dopust boży. Kiedyś wierzyła, że miłość to coś więcej niż wspólne życie. Miłość wymagała jakiegoś materialnego spełnienia, a rodzina bez dzieci nie była rodziną. Teraz trudno jej było ocenić swój ówczesny pogląd na tę sprawę. To odległa przeszłość, a miłość między nimi już nie istniała.

Doszła do wniosku, że gdy zaszła w ciążę z Ewą, zrobiła to nie z miłości, lecz ze strachu. Może działała pod wpływem intuicji. Może podświadomie bała się, że małżeństwo jest, lub też będzie, niekończącą się monotonią codzienności. Oliver codziennie chodził na uniwersytet, potem będzie wychodził do pracy, spotykał się tam z kolegami, klientami. Lubiała o tym myśleć: to był egzotyczny, pełen przygód świat. On pracował, robił wspaniałe, niezwykle rzeczy. A ona? Chodziła do pracy, żeby demonstrować wyposażenie kuchni lub sprzedawać damską bieliznę, potem wracała do domu, gdzie przygotowywała kolację, gdzie czekała na swoje słońce. Na niego. On był całym światem. Wtedy musiało się jej wydawać, że życie jest wspaniałe. Lecz jednocześnie w tym życiu czegoś brakowało. Czego? Wtedy była pewna, że dziecka. Co było warte życie kobiety bez dziecka? Przecież sama natura wyznaczyła kobiecie tę rolę. Dziecko stało się

dla Barbary sprawą ambicji. Urodzić JEGO dziecko. Dlatego nadała dziewczynce imię Ewa. Joshua przyszedł na świat, gdy jej zauroczenie minęło. Po prostu nie wypadało mieć tylko jednego dziecka. Dokładnie zaplanowali czas urodzin Josha: miało to nastąpić tuż po oddaniu Ewy do przedszkola. Zrobili tak z czysto praktycznych względów.

Wspomnienie tego z perspektywy czasu nie było całkiem w porządku. Tak przynajmniej myślała. Określenie „w porządku” nabrało dla niej nowego znaczenia. Uczciwości w ogóle już nie ma. Zdała sobie z tego sprawę słuchając Harry'ego Thurmonta i od razu przyznała mu rację.

– O ładnej pogodzie można powiedzieć, że jest w porządku. Można utrzymywać w porządku swoje rzeczy. Ale w życiu nikt i nic nie jest „w porządku”.

Któregoś dnia Barbara spytała Annę:

– Czy myślisz, że on ma jakieś przyjaciółki? – Stała tyłem do niej, bo właśnie wybierała umyte listki sałaty z dużego durszlaka leżącego w zlewie. Miała przygotować *salade nicoise* na zamówiony lunch. Dzieci właśnie wyszły do szkoły, Anna siedziała milcząco nad drugą filiżanką kawy.

– Przyjaciółki – powtórzyła Barbara. – To chyba logiczne. Jak myślisz, co on robi każdego wieczoru? W końcu mężczyzna ma inne potrzeby niż kobieta.

Ponieważ Anna wciąż milczała, Barbara odwróciła się do niej.

– No więc? Co o tym sądzisz? – spytała natarczywie.

– Nie mam pojęcia – odarła Anna unikając wzroku Barbary.

„Sprytna suka”, pomyślała Barbara.

– Jest przecież mężczyzną.

– Nie mam w tych sprawach doświadczenia.

Barbara wyczuła niepokój Anny i ostrożnie parła naprzód.

– Myślisz, że chodzi na dziwki? – zastanawiała się głośno.

– Wątpię – szepnęła Anna.

– Naprawdę? Dlaczego? – Barbara jeszcze raz odwróciła się, aby obserwować reakcję Anny. Dziewczyna była zakłopotana i Barbara miała już pewność, że połknęła haczyk.

– Po prostu nie wydaje się tego typu człowiekiem – powiedziała czerwieniąc się Anna.

– Mężczyznom jest wszystko jedno, w czyją dziurę go wkładają – ciągnęła Barbara. – Wydaje się, że w porównaniu z kobietami mają dosyć niski poziom odczuwania przyjemności. Nigdy go nie rozumiałam. To znaczy tego ich członka. Zawsze staje na baczność. W jaki sposób oni noszą go ze sobą w takim stanie? Przecież to jest jak naładowany i gotowy do strzału rewolwer.

Wstała i podeszła do mechanicznej zmywarki, wyciągnęła szufladę na naczynia i położyła na niej filiżankę ze spodkiem.

– Mam nadzieję, że rozmowa na ten temat nie jest dla ciebie żenująca. On musi być teraz bardzo nieszczęśliwy. Pewnie myśli, że wynajęłam detektywa, aby go śledził. Bzdura, to nie ma dla mnie znaczenia. Mógłby spotykać się z kimś w tym domu, a ja nawet bym okiem nie mrugnęła. – Wstrzymała oddech.

– To nie moja sprawa – odparła zdenerwowana Anna. Nie potrafiła ukryć irytacji.

– Wiem o tym. Szczerze mówiąc chciałabym, żeby się tak stało. Inna kobieta mogłaby szybko rozwiązać nasze problemy.

– A inny mężczyzna? Nie myślałaś o tym?

Barbara wybuchnęła śmiechem.

– Drugi raz nie dam się złapać w tę pułapkę.

– Pułapkę?

– Tak, Anno. To jest pułapka.

– A miłość? – spytała bezwiednie Anna.

– Miłość? Co ty o tym sądzisz? – Odwracając się Barbara ujrzała nowy rumieniec, którym splonęła twarz Anny. „Bardzo dobrze”, pomyślała zadowolona.

– Nie mam pojęcia.

– Daj spokój, Anno – rzekła Barbara. – Musiałaś kiedyś przeżyć zauroczenie jakimś chłopcem. Przypomnij sobie: wzmożone bicie serca, dreszcze niepohamowanego podniecenia.

– Nie myślę o tych rzeczach – odparła nerwowo Anna. – Jestem zbyt zajęta nauką.

– Naprawdę?

– Najważniejsze są studia. To wszystko.

„Może posunęłam się za daleko?” – myślała Barbara. Niewątpliwie zburzyła spokój Anny. Teraz mogła się wycofać, bo miała już w ręku potężną broń. Lubiła Annę i poczuła się trochę głupio, że wykorzystywała ją do swoich niecznych celów.

– Przepraszam cię, Anno – powiedziała niezupełnie szczerze. – To zaczyna mnie dobijać. Wszystkiemu winne nerwy. Może wyjazd dobrze by mi zrobił. Na przykład do

Bostonu, do rodziców. Zabrałabym też dzieci. – Umyślnie mówiła to w trybie przypuszczającym, czekając na reakcję Anny. Ta jednak milczała i wstawszy skierowała się do drzwi.

– Co o tym myślisz? – spytała szybko Barbara.

– O czym?

– O moim wyjeździe do Bostonu wraz z dziećmi.

– Nie wiem.

„A ja doskonale wiem, co o tym sądzisz” – pomyślała Barbara dekorując sałatkę płatami anchois.

Rozdział 15

Radość dzieci z wyjazdu do Bostonu pozwoliła Annie ukryć jej własne emocje. Pomogła im spakować rzeczy i skrzętnie spisała długą listę instrukcji, które podyktowała jej Barbara. Dotyczyły one głównie zakupów i rozmrożenia na czas potrzebnych produktów, tak aby Barbara mogła zacząć działać tuż po powrocie w poniedziałek rano. Anna obiecała jej także karmić Mercedes.

– Będę za wami tęskniła – zapłakała obejmując ich kolejno przy drzwiach. Machała im na pożegnanie, gdy szli do czekającej przed bramą taksówki i stała tam jeszcze długo w nadziei, że będą na nią patrzyli do ostatniej chwili.

Lecz kiedy auto zniknęło za rogiem, miała ochotę krzyknąć z radości. Sama z Oliverem! Nie potrafiła myśleć o niczym innym. Miała nadzieję, że zdoła uspić podejrzenia Barbary. Zresztą teraz było to jedynie mało znaczącym szczegółem. „Gdy ktoś kocha lub prowadzi wojnę, wszystkie chwytaki są dozwolone”, pomyślała radośnie. To nieważne, że Oliver nie dał jej najmniejszego znaku zachęty, szczególnie po tym, jak usprawiedliwiał się przed nią za incydent w bibliotece.

– Przepraszam cię – powiedział. Było to przyznanie się do winy, a zarazem przejaw słabości.

Zrobiła sobie długą kąpiel w wannie, wypudrowała się i wyperfumowała, w końcu nałożyła zwiewny peniuar. Widziała, że pod względem atrakcyjności nie może się równać z Barbarą. Była chuda, choć proporcjonalnie

zbudowana, miała małe piersi i pośladki. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń mogła o sobie powiedzieć, że jest wystarczająco ładna, aby wzbudzić zainteresowanie. Niczego w życiu nie przeżyła tak silnie, jak tamtego spotkania z Oliverem w bibliotece.

Nie wspomniała o rozmowie z Barbarą, rozmowie, która nie dawała jej spokoju, lecz dzięki której poczuła się jakby bezpieczniej. Oliver na pewno zdawał sobie sprawę, że jest pod obserwacją i prowadził się nienagannie. Może teraz, bogatsza o wiedzę, jaką przekazała jej Barbara, będzie mogła ukoić jego ból.

Byłaby uszczęśliwiona, gdyby mogła zostać gospodynią w tym cudownym domu. Czy było zrzędzeniem losu, że Barbara zdecydowała się na rozwód wkrótce po tym, jak Anna zamieszkała razem z rodziną? To było niezrozumiałe: dlaczego Barbara odrzucała miłość tak cudownego człowieka. Zupełny absurd.

Anna rozpalila w kominku w bibliotece, wybrała z półki jakąś książkę i gdy słowa migaly jej przed oczami, wyteżala sluch, oczekujac jego znajomych krokow na chodniku i powitalnego szczekania Benny'ego. Dla uspokojenia nerwow napelnila szklaneczke wodka i wypila.

Nie czekala dlugo. Kiedy ujrzal ja siedzaca w bibliotece, wydawal sie zaskoczony.

– Nie wiedzialem, ze zostalas – zaczal. – Myslam, ze pojechalas razem z nimi.

– Jestem tutaj.

Podszedl do barku i nalawszy sobie szkockiej odwroutil sie, aby popatrzyc na Anne. Krzac glowu usmiechnal sie

lekko.

– Wystarczy iskra, aby suchy las stanął w ogniu – powiedział. Uniósł szklanke.

– Tak to już natura urządziła – odparła z uśmiechem.

– Wykorzystujesz specyficzną sytuację – ostrzegł ją z nutą sarkazmu w głosie.

– Wiem.

– To nie wyjdzie żadnemu z nas na dobre. A zwłaszcza tobie, Anno.

– Jestem tego w pełni świadoma. – Była zaskoczona własną odwagą. Podszedł do okna i rozsunąwszy zasłony wyjrzał na ulicę. Po chwili odwrócił się do niej.

– Czuję się nieswojo – wyznał. – Po ostatnim incydencie prawie się załamałem. – Westchnął ciężko i wodził wzrokiem po figurkach ze Staffordshire stojących na kominku. – Zebranie tej kolekcji zajęło tyle lat.

– Wiem.

Zatoczył ręką krąg po bibliotece.

– Te piękne antyki. Cały dom. Nie pozwolę, żeby ona zabrała mi wszystko. Nie zasługuje na to. – Mówił z wyczuwalną agresją w głosie. Usiadł naprzeciwko Anny. – Cała ta sprawa kosztuje mnie dużo nerwów. Można pomyśleć, że sam jestem sobie winien, bo przecież w każdej chwili mogę wynieść się z domu. Ot tak, po prostu. I zacząć nowe życie.

– Podniósł na nią oczy. – Złożę się, że tak właśnie myślisz. Odejść i zacząć wszystko od nowa – powiedział oskarżycielskim tonem. Anna poczuła się dotknięta.

– Nie – rzekła ostrożnie. – Ja też walczę o to, co chcę

mieć.

Zignorował jej słowa. Wciąż myślał o tym, co było powodem jego złości.

– Ona jest podła. Dziwka. Może zawsze taka była, tylko ja byłem zbyt głupi, żeby to zauważyć. Nie mogę wyzbyć się nienawiści, która płonie we mnie jak wieczny ogień. Zawsze gdy o tym myślę, ogarnia mnie wściekłość na samego siebie, na Goldsteina, jakby to była jego wina, że muszę przechodzić przez to wszystko, na Thurmonta, bo wiem, że ten skurwiel jej pomaga, i na dzieci, bo nie są po mojej stronie. – Popatrzył na nią. – Jednak najbardziej wkurzam się na siebie za to, że nie jestem człowiekiem, za którego się uważałem.

– Oceniasz się zbyt surowo, Oliverze.

– Kilka miesięcy temu zostałem unicestwiony. – Odwrócił głowę i wtedy zobaczyła jego zasnutę mgiełką oczy. Podeszła do niego, objęła ukochaną głowę i całowała kręcone włosy. Czowała się jak matka popełniająca kazirodztwo. Rozsunąwszy peniuar, zbliżyła piersi do jego ust.

– Pozwól mi cię kochać – powiedziała błagalnie. Wiedziała, że nie był w stanie się opierać, że z utęsknieniem czekał na pociechę.

Czowała wypieki na swoich policzkach. Alkohol uderzył jej do głowy. Jego ciałem wstrząsnęło spazmatyczne łkanie.

– Wypłacz się, kochany.

Pieściła go, poczuła siłę swojej kobiecości. Sięgnęła między jego nogi, zaczęła go rozbierać.

– Jesteś piękny.

Wstał. Na ten widok aż zadrżała z podniecenia. Ukłękła

przed nim i pocałowała go w najczulsze miejsce. Zareagował natychmiast.

– Wybacz mi – wyszeptał.

Pociągnęła go na kanapę i położyła się obok. Leżeli tak prawie bez ruchu. Wsłuchiwała się w bicie jego serca.

– Dziękuję ci – powiedział i wstał. Z barku wyjął za szyjkę butelkę wódki, potem wziął Annę za rękę powiódł ją na górę do swojego pokoju. Od czasu, gdy w nim zamieszkał, jeszcze tam nie była.

Pokój był zakurzony i przesiąknięty nieprzyjemnym zapachem przepoconych ubrań. Naokoło panował nieopisany bałagan, akta i papiery leżały we wszystkich możliwych miejscach. Na otwartym blacie sekretarzyka Hepplewhite stała elektryczna kuchenka, na czarnej komodzie – brudne naczynia. Butelki po alkoholu, niektóre jeszcze w połowie pełne, wały się po podłodze. Zauważył obrzydzenie na twarzy Anny.

– Czyżbyś oczekiwała czegoś innego?

Objęła go w geście współczucia, lecz odsunął się i podniósł porcelanową figurkę, która stała obok brudnych talerzy.

– Królowa Wiktoria – rzekł wskazując statuetkę. – Fałszerstwo. Tak jak moje życie. Nacięliśmy się na to w Atlantic City. Trzymam ją, żeby mi przypominała o mojej głupocie.

Mówił z goryczą w głosie i Anna zastanawiała się, czy nie przyczyniła się do wywołania w nim złego nastroju. Patrzyła jak omiółł wzrokiem pokój.

– Zobacz, co się zrobiło z moim życiem – warknął.

– To minie, Oliverze – powiedziała łagodnie, ale on nie dał się pocieszyć.

– Muszę tu chować wszystkie dokumenty. Nie chcę, żeby ona zaważyła wartość domu. Musiałem przejrzeć wszystkie rachunki i polisy ubezpieczeniowe. Co za marnotrawstwo czasu i energii.

Przyniósł z łazienki dwie szklaneczki, napełnił je do połowy wódką, potem otworzył okno i wyjął jeszcze karton pomarańczowego soku, którego nalał do szklanek z wódką.

Wiele godzin spędził zamknięty w tym pokoju. Była ciekawa, co tu robił i raz nawet podsłuchiwała pod drzwiami. Nie miał telewizora, tu i ówdzie leżało kilka książek. Wyglądało to raczej jak legowisko zwierza, a nie mieszkalny pokój. Wśród zapachów Anna wychwyciła psi odór Benny'ego, który przyszedł za nimi do pokoju i teraz leżał na brudnym, poplamionym dywanie obok łóżka.

Weszła do łazienki, gdzie ściany były lustrzane, podłoga marmurowa a armatura pozłacana. Również tutaj panował nieopisany bałagan. Szybko skorzystała z bidetu.

– Kiepski ze mnie gospodarz – powiedział Oliver, gdy Anna wróciła do pokoju. – Nigdy nie musiałem sam sprzątać. W tej kwestii moje pokolenie było uzależnione od kobiet.

– A pokojówka?

– Nie wpuściłbym tutaj sojusznika Barbary. – Popatrzył na nią dziwnie. – Myślisz pewnie, że jestem paranoikiem?

Pytanie zabrzmiało dość agresywnie, więc zignorowała je. Usiadła na wysokim łóżku.

– Jakie są twoje życiowe plany, Anno? – spytał nagle, aby odsunąć od siebie ponure myśli.

– W tej chwili żyję Jeffersonem – mruknęła. „Chciałabym być częścią twojego życia”, dodała w myślach.

Spojrzał na nią przyjaźnie i dotknął jej gołego ramienia.

– Jesteś prawdziwym skarbem, Anno. Dla dzieci, a zwłaszcza **dla** mnie.

^

Barbara także okazała jej wdzięczność, co w tej chwili zabolalo Annę. Wyczuła w jego głosie, że jest gorsza od niej, lecz nie śmiała prosić Olivera o porównania.

– Nie tylko daję siebie. Ja również biorę.

Na chwilę zaprzestał pieszczot.

– Teraz mówisz zupełnie tak jak ona.

Ogarnęła ją panika. Miała już świadomość własnej niezależności, wyzbyła się kompleksu niższości. Nie widziała nic złego w szczerym wyrażaniu uczuć. Lecz teraz nagle dostrzegła dzielącą ich przepaść. On należał do innej generacji, miał inny stosunek do kobiet niż jej własne pokolenie. „A więc to tak”, pomyślała. Dziwne myśli przychodziły jej do głowy, poczuła nawet, że w tej chwili solidaryzuje się z Barbarą.

– Każdy chce być niezależny – odezwał się ponuro. – Co się stało z pojęciem mężczyzny jako myśliwego i obrońcy?

– Po prostu niektórzy ludzie nie zgadzają się z tym, że mężczyzna ma być panem i władcą.

– Ale przecież ja taki nie byłem. Stanowiliśmy zgraną parę. Pomagałem jej we wszystkim, co chciała robić samodzielnie, niezależnie ode mnie. Skąd miałem wiedzieć, że ta menda kłamała przez wszystkie wspólnie spędzone lata? Grała przede mną, ot co.

– Rysy jego twarzy wyostrzyły się. – A może teraz też odgrywa komedię – wydał usta.

– To nie komedia – odrzekła. Postanowiła nie zwracać uwagi na jego irytację.

– Nie wierzę. Nie wierzę w szczerłość kobiet – westchnął.

– Uogólniasz – powiedziała z wymówką w głosie, jednak na tyle łagodnie, aby nie zerwać łączącej ich delikatnej nici.

– Być może – przyznał. – Nie znam zbyt wielu kobiet. A wcale nie znałem tej, którą, jak mi się zdawało, znałem najlepiej. To dokucza mi najbardziej. Przez wszystkie lata małżeństwa wydawało mi się, że ją rozumiem, że wiem, co myśli, co czuje. – Spojrzał na Annę i westchnął z rezygnacją. – Już chyba nigdy nie potrafię uwierzyć żadnej kobiecie.

– Rozumiem cię. Jesteśmy tajemnicze i skryte. Musimy dusić w sobie wiele złości, zgadzać się na wiele nieprzyjemnych kompromisów.

– Mężczyźni też – powiedział szybko.

– No więc sam widzisz. Skoro tak dobrze się rozumiemy... – Wyciągnęła rękę i przyciągnęła go do siebie. Kochali się powoli, czule, bez pośpiechu i nie tak gwałtownie jak przedtem. Tym razem nie wycofał się, jak wtedy w bibliotece. Gdy skończyli, łagodnie stoczył się z niej i leżeli tak obok siebie z dłońmi splecionymi w mocnym uścisku. Odwróciła głowę i patrzyła jak Oliver mruga powiekami.

– Jednego nie pojmuję – szepnęła. – Dlaczego tak zażarcie walczyacie o ten dom? To jedynie martwy przedmiot. Tak jak wszystkie zgromadzone w nim rzeczy. Przecież rodzina została już i tak rozbita. Po co ta nieprzyjemna walka o dom?

Otworzył szeroko oczy.

– Przedmiot? Niczego nie rozumiesz. To cały świat. Dlaczego mam jej pozwolić zabrać cały mój świat?

– Jest także częścią jej świata – powiedziała łagodnie.

– Nie możemy dłużej razem w nim mieszkać. Nie w takich warunkach.

– Więc dlaczego nie sprzedasz domu i nie podzielisz się z nią pieniędzmi?

– Jestem gotów dać jej połowę wartości. Ja za niego płaciłem. Poświęciłem mu całe życie, harowałem w pocie czoła... Jezu Chryste.

Odnosiła wrażenie, że Oliver mówi mechanicznie, jak aktor powtarzający rolę na próbie. W chwili, gdy przestał mówić, zapatrzył się w jakiś punkt na baldachimie nad łóżkiem.

– Co się stało? – spytała.

Bez pośpiechu wstał z łóżka i ruszył przez pokój. Po chwili wziął krzesło i wspiał się na nie, ustawivszy je przedtem w rogu sypialni. Wciąż był zupełnie nagi i to, co robił, zupełnie nie pasowało do okoliczności. Uniosła się na łokciu, żeby go lepiej widzieć, lecz nim zdążyła przemówić, pokręcił gwałtownie głową i położył palec na ustach nakazując jej milczenie. Stając na palcach spojrział nad baldachim i zaraz zszedł na podłogę. Wyjął z szafy szlafrok.

Wciąż trzymając palec na ustach, cicho otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Anna nie wytrzymała z ciekawości. Poszła za nim do pokoju Ewy, który przylegał do jego sypialni. Oliver nie zwracał na nią uwagi. Klęcząc macał palcami listwę przy podłodze. Znalazłszy kabel, poszedł za

nim wzdłuż półek z książkami. Przewód niknął w małym otworze przy drzwiach.

– Pieprzone dranie – syknął przez zęby. Na klęczkach ruszył dalej. Kabel wychodził z pokoju Ewy i ukryty za listwą ciągnął się korytarzem aż do okna wychodzącego na ogród. Oliver rzucił się schodami na dół, a Anna poszła jego śladem. Zobaczyła, jak w kuchni wyciągnął z drewnianego stojaka wielki nóż, i nagle jej ciekawość ustąpiła miejsca panice. Skryła się w cieniu, gdy on przeszedł obok niej i powoli otworzył drzwi wiodące do ogrodu.

Kiedy przejście było wolne, wyskoczył jak z procy i chyłkiem przebiegł do garażu. Jednym ruchem otworzył boczne drzwi. Anna usłyszała krzyki, jęki, potem nastąpiła cisza. W garażu zabłysło światło, zalewając ogród żółtawą poświatą.

Nie zwracając uwagi na zimno, przebiegła po mokrej trawie do okna garażu. To, co ujrzała, wyrwało z jej piersi stłumiony krzyk. Oliver trzymał nóż na gardle jakiegoś nieznanego mężczyzny w okularach. Był niewielkiego wzrostu, blady i śmiertelnie przerażony. Zauważyła wgłębienie na jego skórze w miejscu, gdzie dotykał jej ostry czubek noża.

Oliver pociągnął mężczyznę wzdłuż beżowej furgonetki, przez której otwarte boczne drzwi widać było włączone monitory i sprzęt do nagrywania. Barbara wyprowadziła gdzieś swój furgon, a na jego miejscu stał teraz pojazd nieznanego, tuż obok nowej hondy Ewy i skrytego pod pokrowcem ferrari Olivera.

Obaj mężczyźni zniknęli we wnętrzu obcego samochodu.

Po kilku chwilach Anna ujrzała nagrane taśmy, padające z trzaskiem na betonową podłogę garażu, gdzie rozwijały się ze zniszczonych szpul przy akompaniamencie rozdzierających krzyków małego człowieczka. Kiedy obaj pojawili się na zewnątrz, Oliver trzymał go za wykręconą na plecach rękę. Nóż wciąż dotykał szyi nieznanego.

– ... ja tylko wykonywałem zlecenie – zaskrzeczał przestraszony mężczyzna. Oliver nie odzywał się, tylko żyła na jego czole pulsowała gwałtownie. Anna jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

Patrzyła na to wszystko jak na scenę z jakiegoś filmu. Stała z przymrużonymi od blasku żarówki oczami, odizolowana ścianą garażu od miejsca, gdzie rozgrywała się akcja: oto winowajca został przyłapany na gorącym uczynku, a ofiara z trudem hamowała się przed wymierzeniem mu sprawiedliwości.

Oliver cofnął nóż i zajrzał do kabiny furgonetki. Z fotela podniósł jakiś przedmiot, który Anna od razu rozpoznała. Był to elektroniczny pilot Barbary do zdalnego otwierania drzwi garażu. Oliver przyglądał mu się przez moment i wzruszywszy ramionami skierował go na drzwi. Otworzyły się z cichym dudnieniem. Wskazał mężczyźnie miejsce przy kierownicy. Silnik samochodu od razu zaskoczył i w chmurze spalin auto wyjechało tyłem z garażu. Mężczyzna na pełnym gazie ruszył alejką w kierunku ulicy.

Opony furgonetki piszczały na asfalcie, gdy wtem mrozące krew w żyłach rżenie rozdarło powietrze.

Kierowca nie zatrzymał pojazdu. Przerazający dźwięk poderwał Annę na równe nogi. Pobiegła zwirową ścieżką

wokół garażu, nie zważając na ból – kamienie wbijały się jej w bosc stopy. Oliver stał i patrzył na czarny nieruchomy kształt, leżący u jego stóp.

– Ten skurwysyn przejechał Mercedes – powiedział. Klęknął obok nieżywego zwierzęcia.

Anna nie mogła zebrać myśli. Bała się, a widok zmiażdżonego kota wywołał w niej mdłości. Zniosła się spazmatycznym płaczem.

– Dobrze jej tak – mruknął Oliver. Z trudem rozpoznała jego głos. Zamachnął się nożem, jak baseballista uderzający kijem, i rzucił narzędzie daleko w ciemność.

Rozdział 16

Odesławszy Annę do jej pokoju, spędził następne dwie godziny demontując zainstalowany sprzęt telewizyjny, zrywając ukryte kable. Dużym młotkiem roztrzaskał kamerę i wrzucił ją do kuchennego urządzenia prasującego odpadki. Kiedy wszystko było już zmiażdżone, przewiózł resztki do stojących w alejce pojemników na śmieci.

Wykonywał tę pracę w stanie silnego wciąż wzburzenia, które starał się opanować. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, nie myślał, działał automatycznie jak maszyna. Zdenerwowanie powoli ustępowało, czuł się coraz mniej spięty, odzyskiwał jasność myślenia.

Zdjął pokrowiec i fiberglasowy dach z ferrari. Wsiadł do samochodu, poczuł miły chłód fotela, z przyjemnością wciągnął głęboko powietrze, nasycając się zapachem skórzanych obić. Ze schowka wyjął kluczyk, włożył go do stacyjki i przekreślił.

Osiem cylindrów momentalnie ożyło, a ich cichy szum podziałał kojąco na Olivera.

Samochód był jego zabawką, dawał mu mnóstwo radości, więc Oliver pieścił go i dbał jak matka o dziecko. Często wymieniał świece, polerował karoserię i obowiązkowo zakładał pokrowiec. Auto miało trzy lata, było prawdziwym dziełem sztuki, jego wartość nieustannie rosła. Teraz mogłby za nie dostać z pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Pomyślał, że może powinien teraz ruszyć wprost przed siebie jak samotny kowboj w poszukiwaniu nowych przygód,

nowego życia. Zostawić to wszystko i uciec. „Ja i mój czerwony ferrari”. Poczł się cudownie: trzymał ręce na kierownicy, siedział w fotelu idealnie dopasowanym do jego sylwetki. Gdy nacisnął pedał gazu, silnik od razu odpowiedział cudownym brzmieniem drzemiących w nim dwustu pięciu koni mechanicznych. Czarodziejski latający dywan o wadze prawie półtorej tony.

W końcu wrócił jednak na ziemię. Przypomniał sobie Mercedes. Naturalnie winę za śmierć zwierzęcia ponosi Barbara. Wysiadł z samochodu i wrzuciwszy kotkę do plastikowej torby, którą położył na fotelu obok kierowcy, ostrożnie wyjechał tyłem z garażu. Ruszył z dużą szybkością w ciemność opuszczonych ulic. Podmuchi powietrza był cudowny, uspokajający. Na chwilę uciekł myślami od niedawnego incydentu. Poczł się wolny, poczł się, jakby potężny ferrari był częścią jego samego. Uciec. Kiedy dojechał do mostu Memoriał, zatrzymał się i chwyciwszy torbę rzucił ją do rzeki Potomac.

Był przekonany, że pozbywając się kota oszczędzał dzieciom niepotrzebne zdenerwowanie z powodu wstrętnego postępowania matki. Wykorzystała przecież pokój dziecka do niecnego szpiegowania. To było obrzydliwe, niegodne, gorsze niż samo podglądanie i śledzenie go. Nic dziwnego, że Mercedes straciła życie. To była kara. Niech myślą, że się po prostu zgubiła. Po powrocie okrył ferrari pokrowcem. Zabrawszy nagrane taśmy do domu, spalił je w kominku. „Nixon powinien być zrobić to samo”, pomyślał. Plastik szybko odkształcał się i wkrótce po taśmach pozostał już tylko popiół. Zaprzagnął, żeby w tym ogniu spłonęła

Barbara.

O siódmej rano zadzwonił do Goldsteina i opowiedział mu, co się stało.

– Spotkajmy się w bistro na Grubb Road – zaproponował adwokat. – Spróbuje pan dobrej żydowskiej kuchni. To pana uspokoi.

Goldstein czekał przy stoliku, rozsmarowując twaróg na ciemnobrazowej grahamce. Miał pełne usta, więc w milczeniu wskazał Oliverowi miejsce po drugiej stronie stołu.

– Chcę wnieść skargę do sądu. Naruszenie prawa... a zresztą nie ważne, pod który paragraf to podchodzi.

– Goldstein nie przerywał jedzenia. – No więc? Co pan zamierza z tym zrobić?

– Właśnie myślę.

– Pan właśnie je.

– Uważa pan jedzenie i jednoczesne myślenie za niemożliwe?

– Nic nie jest niemożliwe.

Goldstein szybko skończył posiłek. Zapalił cygaro.

– Już to przemyślałem – odezwał się wydmuchując dym w kierunku sufitu. Zaciągnął się jeszcze raz.

– Musimy przyjąć następującą strategię: przede wszystkim najważniejszy jest dom. Cały dom. Proszę o tym pamiętać. Aby poprawić sobie wyjściową pozycję, oni chcą, żeby pan wyniósł się z domu. I dążą do tego wszelkimi sposobami. Łapią pana na gorącym uczynku w jednoznacznej sytuacji z guwernantką...

– To nie guwernantka. Raczej opiekunka do dzieci.

– Oliver ze zdziwieniem spostrzegł, że występuje w

obronie Anny.

– No właśnie. Ma do czynienia z dziećmi.

– Można to tak określić.

– Tak to właśnie określiłem. Oni pójną do sądu i powiedzą, że pan c i u p c i a ł guwernantkę własnych dzieci. Jest pan nieodpowiedzialnym ojcem, stanowi pan moralne zagrożenie. C i u p c i a ł ją pan prawie na ich oczach, jeśli można tak powiedzieć.

Takie niemoralne zachowanie jest niebezpieczne dla prawidłowego rozwoju dzieci i tak dalej, i tak dalej. Bez trudu uzyskają nakaz sądowy i będzie pan musiał wyprowadzić się z domu, podobnie jak guwernantka. A wtedy straci pan ten dom.

– To niesprawiedliwe. Przecież ona jest niewinna.

– Z tego, co słyszę, wynika, że wcale nie jest taka niewinna.

– Nie to miałem na myśli. Ona stoi z boku, nie wtrąca się w nasze sprawy. Dlaczego ma pogrążyć się w tym gównie?

– Każdy, kto znajduje się w pobliżu sprawy rozwodowej, zostaje tym gównem porządnie ochlapany. Tak to już jest. Niechże pan ruszy głową. Kochana żoneczka zastawiła na pana pułapkę. Zostawiła pana w domu sam na sam z młodą piękną dziewczyną. Mam rację?

– Tak.

– A pan jest żądny seksu, prawda?

Oliver wycelował palcem w pierś Goldsteina.

– To było ukartowane. Chcę wnieść pozew do sądu.

– W takim razie pan chce, żeby zeznawał ten prywatny detektyw i ta, jak jej tam, guwernantka. Będzie prasa i zanim

pan się obejrzy, zrobią z tego historię na scenariusz do filmu porno. Ma pan ochotę narazić dzieci na kolejny stres?

Oliver spuścił wzrok. Popatrzył na grahamki i twaróg, leżące na jego talerzu. Zrobiło mu się niedobrze. Sięgnął do kieszeni po tabletkę „Maaloxu”.

– W każdym razie zniszczył pan dowody, więc nie mają podstaw do wniesienia skargi. Zastawili na pana sidła, ale spartaczyli świetną okazję. – Goldstein spojrzał łakomie na talerz Olivera. – Nie je pan? – Oliver podsunął mu swój talerz i Goldstein zaczął jeść. – Ludzka niegodziwość zawsze wywołuje u mnie depresję. A kiedy jestem w stanie depresji, to jem.

– Unosząc ramiona nabrał powietrza przez zapchane usta.

Oliver czekał, aż Goldstein skończy. Wydawało mu się, że to będzie trwało wiecznie.

– To jakiś rodzaj teatru absurdu – westchnął Oliver. – Używają wymyślnych urządzeń, najnowszych zdobyczy techniki. Rozwód stał się częścią show biznesu. Nic już nie jest święte.

– Tylko małżeństwo jest święte. Rozwód, niestety, nie.

Filozoficzne wywody Goldsteina wystawiły cierpliwość Olivera na ciężką próbę. „Były rabin przypomina sobie dawne czasy”, pomyślał. Zdał sobie sprawę, że Goldstein miał o sobie wyobrażenie znacznie odbiegające od rzeczywistości. Był przecież małym grubym mężczyzną o ciężkich powiekach, zwisających fałdach skóry na pomarszczonej szyi, a jego brzuch sterczał jak nadmuchany balon. Spodnie nosił podciągnięte tak wysoko, że czarny skórzany pasek obejmował tułów adwokata niemal na

wysokości piersi. Oliver wyobraził sobie, że Goldstein bez ubrania wygląda pewnie jak wypchany cherubin.

– Kiedy mówi pan takie rzeczy, z ciekawością patrzę, czy nie wyrastają panu anielskie skrzydła – rzekł Oliver. Wiedział, że Goldstein szykuje się do dłuższego kazania.

– Może pan zniszczyć legalne podstawy istnienia rodziny – zaczął. – Pozostają jednak więzy krwi. Thurmont nie ma poszanowania dla ludzkich uczuć, dla równości praw obojga rodziców. *Ess iss nisht gut fur der kinder*. To nie jest dobre dla dzieci. *Shanda*. Wstyd. – Goldstein pokręcił głową. Światło lamp odbijało się na jego łysinie. – Radzę panu, co następuje. – Oliver był pewien, że Goldstein czuł się jak Mojżesz schodzący z góry Synaj z trzymanymi mocno przy piersi tablicami zawierającymi święte przykazania. – Niech pan to zignoruje, jakby się nic nie stało. Spróbowali złapać pana w sidła, ale sfuszerowali. Jeśli żona nie wniesie skargi, niech pan również tego nie robi. Porozmawiam z Thurmontem. Jeśli incydent zostanie ujawniony, wypłynie kwestia dzieci i druga strona zechce wykazać, że pan ma na nie zły wpływ. Zresztą tego już próbowali.

– Jakże mogę to zignorować? Poza tym muszę jeszcze wziąć pod uwagę Annę. Nie wiem, czy potrafię zapanować nad sytuacją. Barbara nie będzie milczeć, życie Anny może zmienić się w piekło.

– Szkoda, że nie przestudiował pan Talmudu, panie Rose. *Shanda*. Niech pan posłucha. Barbara nie będzie narażać na szwank swojej reputacji „kochanej matki”. Sam pan mówił, że jest dobrą matką. Myślał pan nawet, że jest dobrą żoną. Czy naprawdę warto, żeby uznano ją za winną? Przyznanie

dzieci panu nie wyjdzie im na dobre. Pan pracuje, często pan wyjeżdża. Z punktu widzenia moralności świadomość, że ona jest winna, niewiele się panu przyda. My, Żydzi, wiemy co nieco na temat winy. – Na chwilę przerwał napinając brzuch, po czym odbiło mu się dość głośno. Wyraźnie poczuł ulgę. – Potrzeba trochę rozsądku. Konfrontacja nic panu nie da. Niech pan nie wciąga w to dzieci i powie Annie, żeby została.

– A jeśli nie zechce?

– Mówił pan, że ona pana kocha. A kobiety robią z miłości różne dziwne rzeczy.

– Na przykład wychodzą za mąż – rzucił Oliver. Nagle stanęła mu przed oczami Barbara, młoda Barbara.

– Miłość nigdy nie powinna być przyczyną zawarcia małżeństwa. Od samego początku związek dwojga ludzi to formalny kontrakt. Niech pan przeczyta Talmud. Stanie się pan innym człowiekiem.

Goldstein zdusił na zatuszczonym talerzu to, co zostało z wypalonego do połowy cygara.

– To wszystko napawa mnie obrzydzeniem – odezwał się Oliver. – I szczerze mówiąc mam już dosyć takiego życia. Dlaczego ona nie chce racjonalnego zakończenia wspólnego życia. Czy podział majątku po połowie nie jest uczciwym rozwiązaniem?

– Pamięta pan historię Salomona i małego dziecka?

– Do licha, co to ma wspólnego z moją sytuacją?

– W naszej sprawie może zapaść salomonowy wyrok. Musimy udowodnić, że to właśnie pan jest prawdziwą matką waszego domu.

– Matka dziecka gotowa była je oddać, gdy alternatywą było patrzeć, jak ono umiera. – Oliver był zadowolony, że mógł się pochwalić swoją wiedzą, lecz Goldstein popatrzył na niego smutno mrugając oczami.

– No i kto dostał dziecko?

– Nic z tego nie rozumiem – rzekł Oliver wstając. Goldstein zatrzymał go.

– Prawdziwa matka.

* * *

Oliver wyskoczył z restauracji na ulicę jak z procy. W głowie miał jeszcze większy chaos niż przed rozmową z Goldsteinem. Kiedy wrócił do domu, Anna właśnie pakowała swoje rzeczy.

* – Odchodzę – powiedziała. Oczy miała opuchnięte. Widocznie płakała.

– Dokąd?

– Nie wiem. Wiem tylko, że nie mogę tu zostać. Lepiej będzie jak się wyniosę, zanim ona każe mi się wynosić. – Jeden z zamków podniszczonej walizki Anny był zepsuty. Oliver czuł się, jakby to on sam wyrzucał dziewczynę na ulicę.

– Goldstein mówi, że nie musisz się wyprowadzać.

– To niech sam przyjdzie tu pomieszkać. – Odwróciła się do niego. – To nie ma sensu. Ona się dowie, że my... Ten detektyw jej powie. A ty wciąż jesteś jej mężem. Przynajmniej formalnie.

– Ale żyjemy w separacji...

– Poza tym nie mogłabym spojrzeć w oczy dzieciom. – Delikatnie dotknęła jego policzka. – To straszne, co się dzieje z waszą rodziną. Nienawidzę samej siebie, bo w pewnym sensie chciałam, żeby to wszystko się stało.

– Powiedz to Goldsteinowi. To ekspert, jeśli chodzi o poczucie winy.

Zbliżyła twarz do jego piersi. Przytulił ją, poczuł na ciele ciepło jej policzka.

– Wiem, że cię kocham, Oliverze, i nie mogę znieść tej myśli ze względu na okoliczności. Jeszcze nigdy nie byłam w podobnej sytuacji. Nie wiem, jak się zachować, co zrobić.

– Prawdę mówiąc, ja także przeżywam to po raz pierwszy. – Znowu przypomniał mu się Goldstein.

– Posłuchaj, Anno... – Zawahał się, pomyślał, że przecież nie jest wobec niej szczery, chociaż wzruszyła go swoim wyznaniem. – Jeśli mnie kochasz...

– zawiesił głos.

– Błagam cię, nie rób mi tego.

Ogarnęła go złość na samego siebie. Uwolnił Annę ze swoich objęć i odwrócił się w stronę okna. Niebo było zachmurzone. Ponury dzień.

– W takim razie proszę cię o to po przyjacielsku. Jeśli to możliwe. Nawet nie chcę myśleć o nas jak o parze kochanków. Nie chcę cię wykorzystywać. Po prostu chcę, żebyś jeszcze trochę została w naszym domu. Goldstein mówi, że Barbara prawdopodobnie nie odważy się robić szumu wokół tego incydentu przez wzgląd na dzieci. A ja sam jestem pewien, że odchodząc właśnie teraz złamałabys im serce. Podejrzewaliby, że coś jest przed nimi ukrywane.

Zostań. Chociaż trochę. Pokręciła głową.

– Nie mogę, Oliverze. Nie mam w sobie dość odwagi.

– W takim razie zrób to z egoizmu. Pomyśl o własnych potrzebach finansowych.

– Egoizmu i tak tu nie brakuje. – Spojrzała na niego przepraszająco oczami pełnymi łez.

Oliver poczuł, że zaraz wybuchnie.

– Posłuchaj, Anno. My nie jesteśmy złymi ludźmi.

– To przecież tylko dom. Możesz sobie kupić inny. A to – skinęła ręką – są jedynie martwe przedmioty.

– Ona nie ma prawa przywłaszczyć sobie wszystkiego. – Odwrócił się mrużąc nieruchome oczy.

– To obsesja, której oboje ulegliście i dlatego zachowujecie się jak wariaci. Widziałam cię wczoraj, jak wyszedłeś z nożem do tego faceta. Byłeś jak szalony. Nie rozumiem, jakim cudem nie wepchnąłeś mu tego noża w gardło. Byłam pewna, że to zrobisz. Jeszcze jedno: nie chcę patrzeć, jak wzajemnie się niszcycie. Nawet to, co zrobiła Barbara, wydaje mi się nierealne. To nie była ona, nie Barbara, jaką znamy. Gdybyście mogli zobaczyć, jak to wygląda, jak bardzo się zmieniliście... – Podenerwowana Anna przysiadła na łóżku. – Nie chcę na to patrzeć ani w tym uczestniczyć.

Usiadł obok niej, dotknął rzeźbionej w drewnie ramy łóżka. Czuł się jak rzucony w morze rozbitek, szukający deski ratunku.

– Znaleźliśmy to łóżko w Middleburg – powiedział wolno. Annę zaskoczyła nagła zmiana tematu. – Pochodzi z około 1810 roku: wczesny okres federalny, styl francuski.

Poddaliśmy je renowacji. Wiesz, gdy odnawia się zniszczony antyk, traci on na wartości. Idiotyczne, ale prawdziwe. Sam pomysł wykonania takiego łoża wydał się nam fantastyczny. Łóżko w kształcie sań. Zamykając oczy można odjechać tymi saniami w świat marzeń.

– Mimo wszystko to wciąż tylko przedmiot.

– Kiedyś też tak myślałem. Ale jest coś jeszcze. Te przedmioty są furtką do zupełnie innego świata. Zaczynam się zastanawiać, ilu innych ludzi spało w tym łóżku, o czym myśleli, jakie mieli podejście do życia. – Omiótł wzrokiem pokój. – To coś więcej niż przedmioty. Samo tylko myślenie o nich przedłuża ich żywot. Jak we śnie.

– Wiem, że są piękne, rozumiem twój sentyment. Ale przecież nie są z krwi i kości. Nie czują. Liczą się przede wszystkim ludzie.

Zwróciła się ku niemu. Przygarnął ją, zbliżył usta do jej twarzy.

– Kocham wasze dzieci – powiedziała. – Jestem do nich naprawdę przywiązana i zrobiłabym dla nich wszystko. Są bardzo dzielne. Dają z siebie więcej, niż można by od nich wymagać.

– Wiem – szepnął. Wspomnienie dzieci otrzeźwiło go. Odsunął się nieco od Anny. – Nie chcę, żeby stała im się krzywda. Chcę im oszczędzić przykrości i cierpień. Nawet podjąłem już decyzję, żeby w lecie wysłać je na obóz. Tak będzie lepiej.

W rzeczywistości wpadł na ten pomysł w trakcie rozmowy, przed chwilą. Anna mogłaby odejść, kiedy dzieci wyjadą. Miał nadzieję, że sama to zaproponuje. Tymczasem

inna myśl przyszła mu do głowy. Straszna, przerażająca. Gdyby Anna rzeczywiście opuściła ich dom, zostałyby w nim sam z Barbarą na całe dwa miesiące. Sam z Barbarą. Wstrząsnął nim dreszcz, nie mógł pojąć, jakim sposobem znalazł się w tym piekle. Działo się z nim coś niedobrego. Może tracił poczucie własnej wartości, może nie był już prawdziwym mężczyzną. A na pewno stracił panowanie nad sytuacją. Spojrzał na Annę szukając w niej potwierdzenia swojej wartości, jakiegoś znaku, który dodałby mu sił. Objął ją, czując ogarniające go podniecenie.

– Ratuj mnie, Anno – wyszeptał błagalnie.

– Spróbuję, Oliverze – odpowiedziała, gdy zaczął ściągać z niej ubranie.

– Przepraszam – mruknął. – Niech szlag trafi Goldsteina.

– Dlaczego?

– Powiedział, że kobiety robią z miłości różne dziwne rzeczy.

– Miał rację – odparła. Chwytał ją, jak tonący chwytając rzuconą mu linę.

Rozdział 17

Barbara obłożyła lodem ustrzelone przez Josha i jego dziadka króliki i przywiozła je do domu. Wcześniej, jeszcze w domu swojego ojca, oprawiła piętnaście z dwudziestu czterech sztuk i włożyła do plastikowych toreb cenne mięso i podroby. Pozostałe króliki wisiały na hakach do patelni i rondli jak skazani przestępcy. Zdejmowała je pojedynczo, robiła nacięcie wzdłuż i ściągała skórę. Następnie rozcinała żebra, wyciągała wnętrzności, kroїła w plastry mięso, które potem wkładała do dużej miski.

Pate z królika był jej najnowszym pomysłem i namówiła właściciela dużego supermarketu, aby spróbował tego specjału. Była szczęśliwa, że ma się czym zająć, bo praca na pewien czas pozwoliła jej zapomnieć o bulwersujących wydarzeniach, które rozegrały się podczas weekendu. Thurmont zadzwonił do niej w niedzielę. Kompletne fiasko. Nawet gorzej – katastrofa. Wynajęty detektyw był wściekły, odgrażał się, żądał natychmiastowej zapłaty i zadośćuczynienia za poniesione straty. Twierdził, że Oliver zabrał mu część wyposażenia. Barbara widziała już szczątki zniszczonego sprzętu w pojemniku na śmieci.

Czuła się winna. Powiedziała sobie jednak, że nie miała wyboru. Gdyby tak Oliver zechciał okazać trochę zrozumienia i wynieść się z domu. Ponadto ze zdumieniem stwierdziła, że weekendowy epizod wzbudził w niej zazdrość. Zastanawiała się, jakie niebezpieczeństwa pociąga za sobą życie w celibacie i doszła do wniosku, że w

zaistniałych okolicznościach Oliver nie pozostanie bierny. Często, gdy wracał z delegacji, rzucał się na nią jak dzika bestia, a ona mu ulegała nie tyle z chęci, ile raczej z obowiązku. Obrzydliwość. Wszystko to wzięła pod uwagę przed wyjazdem na weekend.

W pewnym sensie czuła ulgę, że nie będzie musiała oglądać materiałów dowodowych, które zdobył detektyw. Słabość własnego charakteru rozdrażniła ją. Ze złością uderzyła wiszące króliki, jakby to one były wszystkiemu winne. Kto był jej prawdziwym wrogiem? Oliver? Anna? W pierwszym odruchu chciała przeprosić Annę, bo w końcu odegrała przed nią komedię. Gdy trwa wojna, ludzie robią rzeczy, których normalnie by nie robili, rzeczy niezgodne z ich przekonaniem i charakterem.

Thurmont zabronił jej rozmów na ten temat w domu.

– Proszę o tym nie wspominać ani słowem. Wpadliśmy we własne sidła – warknął przez telefon i nie czekając na jej ewentualne protesty, odłożył słuchawkę.

To, co ujrzała w pojemniku na śmieci, dało jej sporo do myślenia. Oliver musiał utracić samokontrolę, co nigdy przedtem mu się nie zdarzało. Zawsze był spokojny, opanowany, rzadko wpadał w gniew, lecz nawet wtedy panował nad swoim zachowaniem. Tę jego cechę – opanowanie w każdej sytuacji – także zdążyła znienawidzić.

– Jeśli stracisz panowanie, zaczniesz działać pod wpływem emocji, a nie rozsądku, wtedy przegrasz – powiedział jej kiedyś. Całymi latami wpajał w nią tę prawdę, a ona starała się, jak potrafiła, iść za jego radą.

Pierwsze po przybyciu do domu spotkanie z Anną

Barbara rozegrała jak wytrawna aktorka. Przynajmniej takie odniosła wrażenie. Rozmowa nie ograniczyła się do zwyczajnej wymiany zdań na temat pogody. W naturalny sposób Barbara zaczęła opowiadać o wyjeździe do rodziców, jak gdyby nic się nie stało. Anna zachowywała się spokojnie, chociaż delikatne drżenie ust i nerwowo rzucane spojrzenia zdradzały napięcie. Dopiero kiedy Anna wyszła na uczelnię, Barbarę ogarnął gniew. „Suka! Pieprzyła się z Oliverem pod moim własnym dachem, w pokoju obok sypialni mojej córki”. Wzburzenie, a raczej wściekłość owładnęła Barbarą. Gwałtownymi ruchami noża oprawiała króliki.

Niecodzienna sytuacja tak ją zaabsorbowała, że dopiero gdy skończyła pracę w kuchni, przypomniała sobie o Mercedes. Zajrzała w ulubione miejsce kotki w kuchni, sprawdziła w ogrodzie i w garażu.

– Mercedes! – wołała co chwilę, lecz w końcu zrezygnowała z poszukiwań i niechętnie wróciła do kuchni. „Może Anna zapomniała o Mercedes. Była taka zajęta...”, pomyślała ironicznie.

Kiedy zmęła królicze mięso razem z cielęciną i wieprzowiną oraz dodała cebulę i czosnek, zadzwoniła do tak zwanego biura zwierząt zaginionych. Dokładnie opisała kotkę.

– Niech pani zatelefonuje do zakładu oczyszczania – usłyszała odpowiedź. – Mógł ją przejechać samochód.

Musiała dzwonić kilka razy, zanim w końcu połączyła się z właściwym działem. Biurokracja. Bogu dzięki, nie było meldunku o zdechłych zwierzętach. Jednak zniknięcie bez śladu nie pasowało do Mercedes. Barbara zajmowała się nią

od małego. W ciągu dnia kotka rzadko wychodziła z domu, często zaś maszerowała po kuchennych półkach zrzucając z nich różne przedmioty. Trudno. Barbara pomyślała, że będzie musiała o Mercedes spytać Annę. W końcu to właśnie ona była odpowiedzialna za karmienie i pilnowanie kotki. Ironia losu nie dawała Barbarze spokoju. Miała więcej współczucia dla nieobecnej Mercedes niż dla Olivera. Gdyby tak on zniknął z tego domu...

W oddzielnym pojemniku zmieszała wino i koniak, dodała tymianek, pietruszkę, olej, doprawiła solą i pieprzem. Całość przelała do miski z mięsem, przykryła wszystko folią i umieściła w zamrażarce. Przed zamknięciem drzwi spojrzała na przygotowane mięso jeszcze raz i przypomniała sobie, co się stało z jej zimnym bufetem przygotowanym w Wigilię dla greckiej ambasady.

– Podły drań! – krzyknęła gniewnie.

Otworzywszy drzwi do ogrodu jeszcze raz zawołała kotkę. Oliver nigdy jej nie lubił i Barbara zawsze myślała, że wziął Benny'ego z czystej przekory. Nigdy też nie zrozumiał, jak to możliwe, żeby kobieta tak bardzo przyjaźniła się z kotką. Barbara uważała, że z całej rodziny jedynie Mercedes ją rozumiała i właśnie jej zwierzała się ze swoich najskrytszych myśli. Kotka zawsze słuchała i przejmowała się jej słowami bardziej niż inni. Zawsze mogła na nią liczyć.

Pewnego razu, gdy Oliver i Barbara kochali się w łóżku, Mercedes skoczyła z pazurkami na jego gołe pośladki, drapiąc go do krwi, aż zawył z bólu. Oliver zażądał, aby obciąć kotce pazury, ale ponieważ Barbara już wcześniej ustąpiła w kwestii sterylizacji, tym razem pozostała

nieprzejednana.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała z wyrzutem. – Przecież biedactwo nie miałoby się czym bronić.

– Ani czym mnie atakować – zareplikował.

Cóż za ironia losu. Mężczyźni po prostu nie rozumieją psychiki drugiej płci, nawet jeśli chodzi o zwierzęta.

Sama przez lata zносиła Benny'ego, który od dawna sypiał w ich pokoju, szczekając na dźwięk najdrobniejszego odgłosu spoza pokoju. Czasami przychodził do niej i ocierał się podbrzuszem o jej nogi. Dzieci nie przejawiały zainteresowania Mercedes ani Bennym, więc zwierzęta naturalną kolejną rzeczą stały się pupilkami Barbary i Olivera.

– Nie wróciła do domu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Anna. Nie zabrzmiało to ani przekonująco, ani optymistycznie.

– Czy gdyby wróciła, pytałabym cię o to? – powiedziała grzecznie Barbara. Anna szybko odwróciła się od niej.

Mercedes nie wróciła, zresztą po rozmowie z Anną można się było tego spodziewać. Barbara nie mogła spać, więc wstała raniutko i zeszła do kuchni, żeby skończyć *pate* z królika. Mając w pamięci wpadkę z grecką ambasadą, spróbowała przygotowanego zawczasu mięsa, aby się upewnić, czy nikt znowu nie przyprawił jej wyrobu jakimś świństwem. Wspominając tamtą historię rozbijała z furją jaja i wrzucając ich zawartość na mąkę, wyrabiała ciasto. Gotowanie było dla niej przyjemnością, zawsze działało na nią uspokajająco, lecz tym razem było inaczej. Czasami przygotowanie jakiegoś dania absorbowało jej całą uwagę. Teraz nie potrafiła się skoncentrować. Mozolnie wyłożyła

formę plastrami bekonu, włożyła mięso, ugmiotła je w narożnikach, aby do środka nie dostawało się powietrze. Zapomniała nawet położyć na wierzchu bekon, listki laurowe i posypać siekaną pietruszką, musiała więc wyjąć formę z piekarnika, aby dokończyć dzieła.

Potem wyszła na ulicę, szukała Mercedes, lecz czuła, że robi to nadaremnie. A może to Oliver zamordował niewinne zwierzątko, żeby jej dokuczyć? Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że byłby zdolny do unicestwienia bezbronnej kotki. Ta myśl dodała jej otuchy. Jednak Mercedes zniknęła, Barbara straciła poczucie czasu. Kiedy wróciła po czterech godzinach do domu, od razu poczuła woń spalenizny. Zapomniała nastawić zegarowy wyłącznik piekarnika. *Pate* nadawał się już tylko do wyrzucenia, co rozzłościło ją jeszcze bardziej.

Zadzwoiła do Thurmonta.

– Nigdzie nie ma Mercedes. To jego sprawka.

– Chodzi o pani samochód?

– O moją kotkę.

– Naprawdę zniknęła?

V – Właśnie do tego zmierzam. Już drugi dzień nie ma jej w domu. Nigdy przedtem nie oddalała się na tak długo. Anna wykrętnie odpowiada na moje pytania. Mercedes była zupełnie nieszkodliwa. Nie mogę uwierzyć, że on zrobił coś tak potwornego – zaniósł się płaczem.

– To tylko kot, niechże się pani uspokoi.

– Mężczyźni nie rozumieją tych zwierząt. Jest w nich coś, jakaś tajemniczość, która nakazuje kochać je...

– Ma pani dowody?

– Dowody? No... Mercedes zniknęła. To chyba wystarczy. Przed wyjazdem powierzyłam ją opiece Anny. Oliver zrobił to pewnie ze złości na mnie. Wie pan przecież, co zrobił z kamerą tego detektywa. – Usta jej drżały, z trudem potrafiła wydobyć z siebie głos.

– Proszę nie robić żadnych głupstw – powiedział Thurmont. Nie zdobyła się na odpowiedź i odłożyła słuchawkę. Płacząc weszła na górę, wzięła tabletkę na uspokojenie, położyła się i zasnęła.

Zbudził ją zegar w hallu, który bił jedenaście uderzeń. Po chwili wróciła jej świadomość, przypomniała sobie o Mercedes. Usłyszała szczekanie Benny'ego i po chwili na schodach rozległy się kroki Olivera. Wybiegła z pokoju.

– Coś zrobił z Mercedes? – krzyknęła na niego. Gdzieś za jej plecami grało radio Ewy.

– To poważne oskarżenie – odparł. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ubranie wisiało na nim pomięte.

– Żądam wyjaśnień – powiedziała czując wzbierającą w niej nienawiść. Aż zatrzęsa się ze złości. – Nie myślałam, że jesteś do tego zdolny.

– A więc już mnie osądziłaś i skazałaś.

– Była niewinnym zwierzęciem. Była moja, dlatego to zrobiłeś.

Rozejrzał się po korytarzu.

– No dobrze. Zejdźmy do warsztatu, żeby nas dzieci nie słyszały.

Drżała idąc za nim, patrzyła na tył jego głowy. Przybyło mu siwych włosów. Przypomniała sobie, jak się zmartwił, gdy w jego kruczoczarnych włosach pojawiły się pierwsze

srebrne nitki. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat, a ona drażniła się z nim:

– Mój staruszek – wołała. – Wszystko będzie dobrze, jeśli zestarzejesz się razem ze mną. Najlepsze lata są jeszcze przed nami.

Teraz poczuła ucisk w gardle. Odrzuciła od siebie wspomnienia. Nie pozwoli, żeby stare sentymenty wpłynęły na zmianę jej postanowień.

Oliver zatrzymał się na moment, żeby włączyć saunę, po czym stanął w rogu warsztatu, opierając się o stół i bawiąc się rączką imadła. Barbara zatrzymała się w pewnej odległości. Bała się podchodzić bliżej do maszyn i narzędzi. Niegdyś pracowała tu ramię w ramię z Oliverem, który cierpliwie uczył ją wszystkiego. Teraz zdjął marynarkę i krawat.

– Twoja podopieczna zeszła z tego świata.

Niespodziewanie wypowiedziane słowa zaszokowały Barbarę. Przygryzła mocno wargę.

– Oczywiście musiałaś urządzić to wspaniałe przedstawienie – podjął Oliver. – W moim własnym domu. Wykorzystując pokój mojej córki. To ohydne. Obrzydliwe. Zachowałaś się jak dzika bestia – uniósł głos, lecz natychmiast zdołał się opanować. Spojrzał na sufit. – Wstydzilibym się mówić o tym dzieciom. Podrzuciłaś mi Annę, jak psu podrzuca się kawałek mięsa.

– Ale Mercedes... była tylko niewinnym stworzeniem.

– Anna również.

– Lecz ona żyje.

– Mercedes także by żyła, gdybyś nie zrealizowała swojego idiotycznego planu. To nie ja ją zabiłem. Nie jestem

mordercą zwierząt. Rozjechał ją ten twój detektyw, gdy uciekał stąd jak szalony swoją furgonetką.

Spróbowała wyciszyć wewnętrzny krzyk.

– To wszystko twoja wina – rzuciła mu w twarz.

– Może nie bezpośrednio, ale to ty jesteś odpowiedzialny. I pewnie w duchu bardzo się cieszysz. Nigdy nie lubiłeś Mercedes.

– Nigdy nie zabijałem kotów, zwłaszcza samic – mruknął rozpinając koszulę.

– Nie wybaczę ci tego. Nigdy! – Serce biło jej gwałtownie. Nie rozumiała, dlaczego nie wyładuje na Oliverze całej nagromadzonej w sobie nienawiści.

– Nie wybaczysz mi? A to dobre. Zniszczyłaś nasze życie i mówisz o wybaczeniu. Ja nie śmiałybym użyć tego słowa. – Pogroził jej palcem przed nosem.

– Stałaś się wredną, pozbawioną krzty rozsądku suką. To, co zrobiłaś, to, co robisz, nie ma żadnego sensu. Bierz pieniądze i zabieraj się stąd. Ale nie, ty chcesz zabrać wszystko, jakbym ja w ogóle nie istniał, jakbym nie harował na ten dom i wszystko, co w nim jest. To nieuczciwe i nierozsądne.

– Nie opowiadaj mi tu o rozsądku. Kto zniszczył mój bufet na przyjęcie w greckiej ambasadzie?

– A moje orchidee? Według ciebie było to zapewne bardzo racjonalnym posunięciem. – Rozpiął koszulę i wyciągnął ją ze spodni. Przypomniała sobie, jak kiedyś pożałowała jego ciała.

Mówiła do niego: „Mój piękny bóg”. Wspomnienia kołatały się w jej głowie, słowa odbijały się echem, jakby

wraz z nią znajdowały się w jaskini bez wyjścia.

– Ja nie ustąpię, Oliverze. Nigdy.

– O tym zadecyduje sąd.

– Odwołam się. To potrwa całą wieczność.

– Nic nie jest wieczne. – Odwrócił się od niej, zdjął spodnie i bieliznę, nie ukrywając swojej nagości. Patrzyła jak idzie do sauny. W ostatniej chwili wychylił się jeszcze i powiedział: – Możesz mnie pocałować w dupę.

Wszedł do środka i zamknął drzwi. Barbara stała, jakby nogi wrosły jej w ziemię. Była dziwnie spokojna, czuła tylko nienawiść. Rozejrzała się po warsztacie. Ze zdziwieniem poczuła, że odzyskuje pełną jasność myślenia. Jej wzrok padł na dłuta stojące w przymocowanym do ściany stojaku. Wybrała jedno z nich, sięgnęła również po wiszący obok drewniany młotek i podeszła do sauny. Włożywszy ostrze dłuta w szparę między ciężkimi drzwiami i futryną, uderzyła silnie młotkiem unieruchamiając drzwi dłutem jak klinem.

– Ugotuj się na miękko – rzekła biegnąc schodami na górę.

Rozdział 18

Oliver słyszał uderzenie, ale zbyt szybko się nim nie przejął. Oczywiście rozumiał żal Barbary po utracie ulubionej kotki. Konfrontacja była nieunikniona i był zadowolony, że miał to już za sobą, przynajmniej na razie. Sama myśl, że mógłby zabić Mercedes była niedorzeczna. Czy naprawdę sądziła, że byłby zdolny do takiego czynu?

Od początku rozumiał, skąd w Barbarze wzięła się ta cała nienawiść, lecz dopiero teraz zdał sobie sprawę ze skali zjawiska. Nie był dla niej odrzuconym mężem, z którym dzieliła piękne i szczęśliwe – przynajmniej w jego pojęciu – lata życia. Traktowała go jak śmiertelnego wroga. Może zbikowała i potrzebuje konsultacji u psychiatry.

Jeszcze nie rozmawiał o tym z Goldsteinem. W jaki sposób mieliby udowodnić, że ona jest niespełna rozumu? Przecież dobrowolnie nie zgodziłaby się poddać psychologicznym testom. Chociaż, tego typu sugestie mogłaby wzbudzić zainteresowanie sądu. Niepoczytalność. On złożył jej całkiem rozsądną i uczciwą ofertę. Salomon z pewnością wydałby werdykt na jego korzyść. Ta szczypta optymizmu uspokoiła go. Był pewien, że ostatecznie to on zakończy bitwę jako zwycięzca.

Problem polegał na tym, że Oliver dawał się ponieść emocjom. Musi się opanować. Musi przeczekać wyznaczony prawem okres, uzbroić się w cierpliwość. Przed Barbarą stało znacznie trudniejsze zadanie. Próbowwała udowodnić, że dla niego zrezygnowała z kariery zawodowej i jej poświęcenie

ma wartość równą wartości domu i wszystkiego, co w nim jest. Sędzia musiałby być wariatem, żeby przyznać jej rację.

Temperatura w saunie rosła. Czuł, jak w skórze otwierają się pory, jak ciało cudownie paruje i odpoczywa. Gdy był zdenerwowany, sauna okazywała się najlepszym lekarstwem na trapiące go myśli. Ból i napięcie zniknęły, zostawiając go w stanie błógiego spokoju.

Nastawił parownik sauny na maksymalną temperaturę – chciał odgrodzić się od rzeczywistości, wejść w krainę zapomnienia, dopiero kończący relaks zimny prysznic przywróci go na jawę termicznym szokiem, odprężonego i wypoczętego. Potem wróci do sauny i pod prysznic jeszcze trzy razy, a w końcu padnie na łóżko i zaśnie natychmiast kamiennym snem. Tego dnia nie było w kinach nowych filmów, został więc w biurze i pracował trochę dłużej, nie tyle z nawалу obowiązków zawodowych, ile raczej dla zabicia czasu. Potem kupił sobie pizzę, która utknęła mu gdzieś między gardłem i żołądkiem. Barbara wystąpiła z pretensjami w nieodpowiednim momencie.

Termometr na ścianie wskazywał już 95 stopni, lecz Oliver wciąż leżał płasko na ławie z drzewa sekwoi. Miał uczucie, jakby się rozpływał, roztopiał, jednocześnie wiedział, że zimny prysznic szybko przywróci mu siły, że nowa porcja adrenaliny zacznie krążyć w jego żyłach. A potem przyjdzie stan cudownego zrelaksowania. Rano zbudzi się rześki, gotowy do podjęcia nowych wyzwań, jakie przyniesie dzień.

Zawsze stwierdzał, że sauna wydobywa go z depresji, odnawia go psychicznie i fizycznie. Obserwował, jak na

skórze pojawiają się kropelki potu. Rozcierał je dłonią po całym ciele. Sauna była azylem, ciepłym, przytulnym miejscem, do którego problemy i kłopoty nie miały wstępu.

Wskazówka termometru doszła do czerwonego punktu oznaczonego liczbą 100. Oliver wiedział, że to oznacza granicę bezpieczeństwa i postanowił rozgrzać ciało do maksymalnej temperatury, po czym szybko wskoczyć pod zimny natrysk. Szok termiczny spowoduje przyływ energii, pozwoli zapomnieć o dręczących myślach. Usiadł. Pot spływał mu po brzuchu i plecach. Skóra na pośladkach pokryła się oleistą wydzieliną i Oliver siedząc ocierał się z lubością o gładkie deski ławy. Wiedział, że wystawił się na próbę odporności organizmu na wysoką temperaturę. Robił to z czystej chęci udowodnienia samemu sobie, jaką silną ma wolę.

W końcu zdecydował, że osiągnął to, co postanowił, zsunął się z ławy i pchnął drzwi, te jednak nie ustąpiły. Spróbował jeszcze raz i znów bezskutecznie. Naparł na nie ramieniem. Jedyнным skutkiem było pojedyncze skrzyknięcie desek. Uderzając pięściami w drzwi, zaczął krzyczeć. Dźwięki odbijały się głuchym echem we wnętrzu sauny.

Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie było żadnej odpowiedzi. Słabnąc opadł na kolana i przyłożył policzek do desek podłogi, gdzie powietrze było najchłodniejsze. Przewrócił się na plecy i zaczął walić piętami w drzwi. Czuł się coraz słabszy. Umysłowił sobie, że zapomniał wyłączyć urządzenie nagrzewcze sauny. Wstał dysząc ciężko. Gorące powietrze niemal wypalało płuca. Udało mu się dosięgnąć gałki termostatu. Wyłączył ogrzewanie.

Rozciągnąwszy się na podłodze, spróbował zebrać myśli. Wiedział, że powietrze będzie się ochładzać bardzo powoli. Sam uszczelniał saunę, żeby ubytki ciepła były jak najmniejsze. Drzewo sekwoi było najlepszego gatunku, wszelkie połączenia desek dopasowywał niezwykle starannie.

– Ratunku! – krzyknął, lecz był już znacznie osłabiony i powoli tracił czucie. Zdał sobie sprawę, że wołanie nic mu nie da. Wszyscy domownicy znajdowali się dwa piętra nad nim. Przypomniawszy sobie odgłos uderzenia – pojedynczego uderzenia – które usłyszał zaraz po wejściu do sauny. Wtedy myślał, że rozeźlona Barbara walnęła pięścią w drzwi. Teraz był już pewien, że wbiła w szparę między drzwiami a ramą jakiś klin. Zupełnie opadł z sił, nie był w stanie wykonać żadnego ruchu, w piersi czuł ostry ból. Spojrzał w górę. Temperatura powoli spadała, strzałka wskaźnika była już poniżej czerwonej kreski na podziałce.

Zamknąwszy oczy czekał. Zagrożenie życia było mu zupełnie obcym uczuciem. Jeśli nie liczyć przypadku z niedoszłym atakiem serca, nigdy jeszcze śmierć nie zaglądała mu prosto w oczy. Nie wierzył, że drugi raz uda mu się przeżyć takie zagrożenie, ponadto trudno mu było pogodzić się z perfidią Barbary. Naprawdę coś musiało się w niej zmienić. I to w jednej chwili. Obiecał sobie, że jeśli przeżyje, to wyprowadzi się z domu. Ucieknie od niej tak daleko, jak to będzie możliwe. Temperatura nieustannie malała i Oliver powoli wracał do równowagi. Wciąż był słaby. Spróbował unieść się na kolana, lecz zaraz upadł. Jego skóra wciąż parowała, obniżając ciepłotę ciała. Nagle poczuł ogarniającą go senność.

Kiedy się przebudził, miał już dość sił, aby wstać. Ostukał pięścią drzwi i zorientował się, w którym miejscu Barbara umieściła klin. Zrozumiał, że wcześniej popełnił błąd, wywierając nacisk na środek drzwi. Teraz oparł się mocno rękami o grube belki, na których była wsparta ława i uderzył piętami w drzwi tuż poniżej miejsca, gdzie musiał tkwić klin.

Poczuł, że drzwi nieznacznie ustąpiły. Po kilku następnych uderzeniach otworzyły się z hukiem, jednocześnie rozległ się brzęk padającego na podłogę dłuta. Drżąc na całym ciele wszedł pod prysznic i odkręcił zimną wodę.

Gdy skończył wycierać się ręcznikiem, czuł się znacznie lepiej, chociaż ból w płucach jeszcze nie ustąpił. Jego pierwszą myślą było ruszyć na górę, sforsować drzwi do pokoju Barbary i stłuc ją na kwaśne jabłko. Gorzej – pragnął ją zabić. Tak bardzo tego chciał, że bał się wejść na schody, bo wtedy mógłby zrealizować swój zbrodniczy zamysł.

Jego umysł nie funkcjonował jeszcze normalnie. Wciąż nagi poszedł na górę, trzymając w dłoni dłuto niczym sztylet. Posuwał się chyłkiem, na palcach, jak skradający się morderca. Był żądny krwi, chciał zabić, jeśli nie ją, to przynajmniej coś, co do niej należało. Tylko do niej. Mijając cieplarnię, teraz skapaną w świetle księżyca, wciągnął powietrze przesycone zapachem bostońskich paproci i afrykańskich fiołków. J e j rośliny. Wspomnienie zniszczonych orchidei podpowiedziało mu, co ma uczynić.

Ostrzem dłuta rozcinał lodygi, po czym wyrывał rośliny z doniczek i rzucał je na podłogę, gdzie powoli tworzyły stertę. Wciąż nie był jednak usatysfakcjonowany. Zaniósł kwiaty,

jakby były ciałami zmarłych, do kuchni i położył obok zlewu. Następnie wzięwszy największy garnek, jaki udało mu się znaleźć, upchnął w nim rośliny, zalał wodą i postawił na wolnym ogniu. Śmierć od ciosu ostrym narzędziem, śmierć przez utonięcie, śmierć przez ugotowanie. Wiedział, że to nie ma sensu. Wariacki czyn. Ale poczuł się lepiej. Poszedł do łóżka i natychmiast zasnął.

* * *

– Panie Goldstein, ona usiłowała mnie zamordować. Nic dodać, nic ująć. – Wciąż był osłabiony i gdy nabierał za dużo powietrza, płuca odpowiadały bólem. Nie miał dość siły, aby jak zwykle dojść do pracy na piechotę. Przy Connecticut Avenue wziął taksówkę.

– To brzmi jak historia zaczerpnięta z powieści Agathy Christie. Skąd ona bierze pomysły? – Goldstein aż przybladł, gdy dowiedział się o wypadkach poprzedniej nocy. Mocno zaciągnął się cygarem.

– Muszę przyznać, że zrobiła to bardzo fachowo. Sam ją uczyłem, jak używać narzędzi. Zaklinowała drzwi wprost znakomicie. – Mimo wszystko Oliver poczuł dumę. Oto udało mu się stworzyć potwora.

– Ale pan jednak wydostał się na zewnątrz. Musiała zdawać sobie sprawę, że nie da się pan żywcem usmażyć. – Machnął grubą dłonią rozgarniając kłęby dymu. – Nie usprawiedliwiam jej postępków, ale zarzucanie jej morderstwa z premedytacją brzmi trochę przesadnie.

– Bo to była przesada. – Oliver zacisnął pięści i uderzył w

biurko Goldsteina. – Wszystko, co się dzieje, to przesada. – Gwałtowność Olivera spowodowała, że adwokat przyjął zwykłą sobie pozę wszytkowiedzącego prawnika.

– Nie wolno panu dać się ponieść nerwom. Chce pan, żebym wniósł pozew o usiłowanie morderstwa. Do tego potrzebny jest dowód. Jeśli wezwie pan policję, roześmieją się panu w nos.

– To nie jest zabawne.

– Owszem. Dla pana i dla mnie. Ale dla policji to wydaje się zabawne, śmieszne, komiczne. Poza tym ja nie zajmuję się sprawami kryminalnymi.

Oliver zaczął nerwowo chodzić po gabinecie, lecz po chwili usiadł, czując w płucach ukłucie bólu.

– Wiem, że chciała mnie zamordować. Nie przekona mnie pan, że się mylę. Ona przekroczyła nie znany jej dotychczas próg nienawiści.

– A pan? – spytał niewinnie Goldstein.

– Dlaczego cały czas musi pan udawać wielkiego mędrca, który poznał wszystkie sekrety ludzkiego serca i duszy?

– Pan nie odpowiedział na moje pytanie – odparł Goldstein. Wyglądał, jakby w myślach rozmawiał z Panem Bogiem.

– Tak, również chciałem ją zabić. Niemal to zrobiłem. Na szczęście w porę zobaczyłem hodowane przez nią rośliny i zdecydowałem się poprzestać na ich unicestwieniu. Mój czyn może wydawać się dziwny, ale ona z pewnością zrozumie, co się za nim kryje. Osobiście sędzę, że rośliny uratowały jej życie. – Mówił to specjalnie powoli, co wywarło na Goldsteinie pewne wrażenie. Adwokat splótł dłonie.

– To, co według pana było zupełnie normalnym zachowaniem... – zaczął.

– A więc jest pan również psychiatrą, panie Goldstein?

– Gdybym nim był, zażądałbym od pana wyższego honorarium. Daję panu jedynie mądrość starego człowieka. Bez dodatkowej opłaty. W każdym tkwią zbrodnicze instynkty. Emocje i wzburzenie szybko przemijają, a jeśli nie, wynikają z tego same kłopoty.

– I to jest ta mądrość?

– Jeszcze nie skończyłem. Na pańskim miejscu unikałbym żony za wszelką cenę. Niech pan ją traktuje jak powietrze.

– To nie będzie łatwe.

– Nikt nie twierdzi, że łatwe.

– Wie pan co, czasami mam ochotę rzucić to wszystko, opuścić miasto, zacząć nowe życie. Gdybym tylko nie był wziętym prawnikiem działającym na rzecz Federalnej Komisji Handlu. To zbyt dobra i lukratywna posada. – Niespodziewanie ogarnęła go fala rozpacz. – Jakże łatwo stajemy się niewolnikami pieniędzy i dostatku. – Rozdrażniły go własne słowa, bo nie lubił używać wyświechtanych zwrotów.

– Jest takie nowe wyrażenie: styl życia. Ona nie chce zmienić swojego dotychczasowego stylu życia i, bądźmy szczerzy, pan także. A czym jest dla was dom? Schronieniem? Guzik prawda. Jest symbolem prestiżu. Dom to znaczy budowla, panie Rose, a nie domowe ognisko.

– Niech pan idzie do diabła razem ze swoją mądrością.

Goldstein popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Jeszcze kilka miesięcy i sąd podejmie decyzję. Potem albo oni, albo my będziemy się odwoływać.

– Nie pozwolę, żeby ona dostała wszystko. Już dwukrotnie otarłem się o śmierć. Przeżyłem jakoś siedem miesięcy, przeżyję i pozostałe pięć.

– Musi pan ją ignorować. Czy to takie trudne?

– Spróbuję. Niech mi pan jednak odpowie, mędrco: Czy jeśli zignoruje pan Anioła Śmierci, to on po prostu odchodzi w siną dal?

– Proszę mi oszczędzić nerwów z samego rana.

Rozdział 19

Anna siedziała obok niego, gdy samochód jechał powoli górską drogą do Shenandoah. Przez otwarte okna do auta wpadało powietrze przesycone zapachem budzącej się ziemi. Na drzewach obsypanych jasnozielonym listowiem otwierały się już pierwsze pąki.

W drodze z Waszyngtonu nie mówiła wiele. Zatrzymali się na chwilę i kupili smażonego kurczaka, a Oliver jeszcze z domu zabrał dwie butelki Chateau Latour rocznik '66.

Była przeciwna tej wycieczce, ale ugięła się pod presją Ewy, która nakazała jej odbycie rozmowy z Oliverem. Tak też przedstawiła sprawę Oliverowi, kiedy zatelefonowała do jego biura.

– Nie chodzi o ciebie, Barbarę, ani też o mnie. To Ewa kazała mi spotkać się z tobą. We własnej sprawie.

– To przecież tytuł filmu – odpowiedział. Nie chciał odmawiać prośbie córki, więc zgodził się porozmawiać z Anną.

W ostatnich tygodniach rzadko się widywali. Wychodził do pracy bardzo wcześnie i wracał, gdy wszyscy już dawno spali. W czasie weekendów również był gościem w domu: soboty spędzał w biurze, wieczorami chodził do kina. W niedziele starał się poświęcić trochę czasu dzieciom, lecz one zwykle miały inne plany. Z ojcowskiego obowiązku chodził na wszystkie mecze drużyny koszykówki Josha.

Pewnego dnia wieczorem do pokoju Anny przyszła Ewa. Dziewczyna zrobiła się skryta i apatyczna, co odpowiadało

atmosferze panującej w domu Rose'ów. Bez względu na zachowywane pozory, wrogość między Barbarą i Oliverem zdominowała całe życie rodziny.

– Ja nie pojedę na ten obóz, Anno – zaczęła Ewa. Mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu i Anna przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Jednak już sama treść oświadczenia była alarmująca. – Nie będę mogła cieszyć się z pobytu poza miastem. Wiem, że oni wysyłają nas na obóz, abyśmy odpoczęli od panującej tu atmosfery wrogości.

– A co w tym złego?

– Myślisz, że nie wiem, co tu się dzieje?

– Musiałabyś być głucha i ślepa.

– Chodzi o to, że boję się zostawić ich samych. Taka jest prawdziwa przyczyna i tylko tobie mogę powiedzieć prawdę, muszę cię jednak prosić, żebyś zachowała to w tajemnicy.

– Oczywiście. – Tak jak Oliver i Barbara, również Ewa uciekała się do małych kłamstewek w dobrej wierze. Po raz pierwszy rozmawiała z Anną zupełnie szczerze.

– Ty wyjedziesz, Anno, a gdy ja i Josh będziemy daleko od domu, wszystko może się zdarzyć. Boję się. Naprawdę bardzo się boję. Chciałabym... – zawahała się. Anna spostrzegła, że Ewa musiała ostatnio dużo płakać. – Chciałabym, żeby się pogodzili albo żeby tata się wyprowadził. Zresztą my z mamą również możemy się wynieść. – Otworzyła paczkę papierosów i zapaliła. – Nie potrafię tego zrozumieć. Naprawdę próbowałam, lecz nie potrafię. Z nimi nie da się normalnie porozmawiać. Nasza rodzina przestała istnieć, tyle że mieszkamy we wspólnym domu. Powinni go sprzedać i zakończyć sprawę. O co im

chodzi?

– Sama nie wiem, czy oni pamiętają, o co im chodzi – odparła Anna. Patrzyła, jak Ewa powoli wypuszcza nosem dym z papierosa.

– Chcę, żebyś porozmawiała z ojcem – poprosiła Ewa. – Nie obchodzi mnie, co mu powiesz, ale błagam cię: nie pozwól mu wysłać nas na ten obóz.

– Jakże mam to zrobić? Co mogę mu powiedzieć?

– Cokolwiek. Powiedz mu rzeczy, które zawsze wzbudzają u ojców bojaźń o córki. Na przykład, że zadaję się z nieodpowiednimi kolegami, palę trawkę, że wymagam ścisłego nadzoru. Sama wiesz najlepiej. Tylko nie mów mu, że boję się o nich. – Przerwała spoglądając przez okno załzawionymi oczami. Był w nich strach. – Gdyby nie ja i Josh, oni chyba rozerwaliby się na strzępy. Anno, w **jaki sposób** miłość może się zmienić w nienawiść?

– Nie znam się na tym.

– Ale tata cię posłucha. – Dziewczyna popatrzyła na nią łobuzersko. – Są pewne rzeczy, które potrafię wyczuć.

Anna była jej wdzięczna, że nie rozwinęła tego tematu.

* * *

– Już zapomniałem, że istnieje coś tak pięknego – odezwał się znienacka Oliver. Zatrzymali się na wzniesieniu, skąd rozpościerał się wspaniały widok na położoną niżej dolinę. – Takie piękno oczyszcza duszę.

Podniosła na niego wzrok. W jasnym świetle słońca jego oczy błyszczały intensywnym błękitem, jak pomalowane na

ten sam kolor porcelanowe figurki ze Staffordshire. Odwróciła głowę.

– Jeszcze rok temu nie pomyślałbym nawet, że moje życie może ulec tak drastycznej zmianie. Wtedy czułem się bezpiecznie. Całe osiemnaście lat małżeńskiego życia dałoby się streścić tym jednym słowem: bezpieczeństwo.

– Czy to oznacza, że już nie czujesz się bezpieczny? – spytała.

– Nie. Nie czuję się bezpieczny. – Uniósł głos.

– Fizycznie i psychicznie jestem wykończony. Czasami w ogóle nic nie czuję. A najgorsze jest to, że przestałem lubić samego siebie. Czy ty lubisz siebie, Anno?

Nie o tym chciała z nim mówić, lecz poczuła się w obowiązku zaprzeczyć.

– Przebywanie z tobą jest jakby formą masochizmu – szepnęła. Przyznanie się do własnej frustracji nie było przyjemne. Nie lubiła uważać się nad sobą. – Ale przyjechałam tu, żeby porozmawiać o Ewie. Ona nie ma ochoty jechać na obóz. – Zawahała się. Uciekło jej z pamięci to, co sobie wcześniej ułożyła. – Będzie dla niej lepiej, jeśli zostanie w domu.

– W domu? Zupełnie się z tobą nie zgadzam.

– Ona naprawdę nie chce tam jechać, Oliverze.

Wysiadł z samochodu i oparł się o balustradę na skraju zbrocza spoglądając na dolinę. Mimo świecącego słońca powietrze było dość chłodne. Uniósł wzrok, chroniąc dłonią oczy przed światłem.

– Tu jest szlak – odezwał się spostrzegłszy znaki. Zrzucił na ramię płócienną torbę z jedzeniem i winem, po czym

ruszyli ścieżką pod górę. W połowie drogi na szczyt znaleźli skalistą półkę, gdzie usiedli. Anna zaczęła zdejmować folię z kurczaka.

– Nie chcę, żeby dzieci wyjeżdżały, Anno – powiedział Oliver. Zdażył już przemyśleć tę sprawę. – Ale w domu źle się dzieje. Nie ma sensu, żeby na to patrzyły.

– Według mnie popełniasz błąd.

Podniósł mały okrągły kamień i cisnął go daleko w kierunku doliny.

– Już więcej nie pozwolę, żeby kobiety mną manipulowały. – Tym razem rzucił w powietrze całą garść kamieni.

– Stałeś się mizoginistą.

– Dziwisz się?

Przez chwilę nie odpowiadała.

– Wobec tego nie myśl o niej jak o kobiecie. Jest twoją córką, którą podobno kochasz.

– Oczywiście, że ją kocham i dlatego robię to, co według mnie jest najlepsze dla dzieci: wysyłam je jak najdalej od naszego domu. Ty też odjedziesz.

Pomyślała, że trudno będzie go przekonać. Był uparty, nie przyjmował do wiadomości tak zwanych dobrych rad. Podała mu kawałek kurczaka. Zaczął jeść, jednak bez apetytu.

– Ewa mówi, że wy, że ty i Barbara nie jesteście tymi samymi ludźmi, którymi byliście kilka miesięcy temu.

– Ma rację. – Zamyślił się. – Więc dlaczego chce zostać w domu, jeśli ma okazję wyjechać?

– Ponieważ oboje was kocha. – Więcej nie mogła mu powiedzieć. Otworzyła butelkę wina. Korek dał się wyjąć z

dziwną łatwością. Nalała wino do ustawionych na płaskiej skale plastikowych kubeczków.

– Wy, kobiety, jesteście takie mądre, tak dobrze potraficie wczuć się w czyjeś położenie. A naprawdę to myślicie tylko o sobie. O własnych ambicjach, poświęceniu, cierpieniach. I uważacie, że to mężczyźni są wszystkiemu winni. Intrygantki. Manipulujecie nami, podsuwacie nam swoje cipy, żeby osiągnąć zamierzone cele.

– Nie przyjechałam tutaj, aby wysłuchiwać nieprzyzwoitych melodramatów, Oliverze. Bardzo cię proszę: mnie w to nie mieszaj. I nie mów o manipulacji. W końcu zostałam w waszym domu...

– Wybacz mi, Anno. Przepraszam cię za krzywdy, których zaznałaś i których jeszcze zaznasz.

– Nie skrzywdziłeś mnie. Poszłam za głosem serca.

– W takim razie musisz być masochistką.

Przyjechała, żeby porozmawiać o Ewie, lecz on poprowadził rozmowę na inne tory. Nie miała już sił. Czując, jak do oczu napływają jej łzy, odwróciła się.

– Do diabła z tym – odezwał się Oliver. – Napijmy się wina. – Podnieśli kubki do ust. Oliver pierwszy wypluł wino na ziemię. – Suka jedna! Musiała się dostać do piwnicy. – Rzucił kubek na zbocze i zbliżył nos do butelki. – Dolała octu. Ocet w Chateau Latour 1966. Rocznik '66. Czy możesz w to uwierzyć?

– Odkorkował drugą butelkę i również powąchał.

– Kurwa! – krzyknął ciskając butelkę w powietrze. Rozbiła się na skałach kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym się znajdowali. – Pewnie zrobiła to samo z resztą

wina. Boże, Margaux, Chassagne Montrachet rocznik '73, Chateau Beycheville rocznik '64 i '66. Jeśli tknęła Rothschilda, to ją zabiję. – Spojrzał na przerażoną Annę. Podniosła się i odeszła od krawędzi urwiska.

– To przecież tylko wino – powiedziała nieśmiało.

– Tylko wino! – krzyknął. Kopnął drugą butelkę tak, że stoczyła się po zboczu. Wyrzucił też jedzenie.

– Lafite-Rothschild nie jest tylko winem. Nie rocznik 1959. – Ze złości aż poczerwieniał. – Nie pojmuję tego, Anno. Gdybyś mnie kochała, rozumiałabyś, co czuję.

Zaczęła biec ścieżką w dół. Miała nadzieję, że nim Oliver dojdzie do samochodu, zdąży się trochę uspokoić. Długo czekała zastanawiając się, co to wszystko na wspólnego z miłością.

Rozdział 20

– Nie powinna pani ruszać tego wina – pouczył Barbarę Thurmont. – Zgodziliśmy się, że ono jest poza kontraktem i stanowi jego własność. To, co pani zrobiła, skomplikuje sytuację.

– To tylko pół skrzynki Chateau Latour. Niczego więcej nie tknęłam. A mogłam wyłączyć urządzenie klimatyzacyjne niszcząc zawartość kilkuset butelek. To wino musi przebywać w stałej temperaturze, coś między 12 a 14 stopni. Mogłam to zrobić, gdybym rzeczywiście chciała okazać się świnią. – Mówiła spokojnie, zdecydowana nie stracić nad sobą panowania.

– Goldstein zagroził, że wniesie do sądu sprawę o naruszenie postanowień umowy separacyjnej.

– Naruszeniem postanowień było także jego włamanie się do mojej sypialni, no i co osiągnęliśmy?

– Otrzymał upomnienie i więcej tego nie zrobił. Zresztą ten fakt wykorzystamy, kiedy dojdzie do rozprawy.

– Zdaje się, że zrobił to jeszcze raz – powiedziała zadowolona z faktu, że nauczyła się trzymać nerwy na wodzy. Nie da zrobić sobie krzywdy. Będzie walczyła do końca.

Thurmont popatrzył na nią spod okularów. Posłała mu cyniczny uśmiech. Czowała się doskonale. „Oni wszyscy myślą, że kobiety nie mają prawa głosu”, pomyślała z ironią.

– Jestem pewna, że się włamał i był w moim pokoju.

– Czy pani miewa halucynacje? Sąd nie zajmuje się tego

rodzaju bezpodstawnymi informacjami.

– Wiem, że tam był.

– To za mało.

Wyszła z jego biura niezadowolona. Rozmowa nie napawała jej optymizmem. Kiedy powiedziała, że zepsuła wino w odwecie za to, co Oliver zrobił z roślinami, Thurmont nie pochwalił jej postępowania. Gdyby był dobrym prawnikiem, włączyłby jej paprocie i fiołki do umowy o separacji. Znowu zastanowiła się, czy dokonała właściwego wyboru adwokata. Kobieta z pewnością by ją zrozumiała. Lecz z drugiej strony większość sędziów stanowili mężczyźni i wtedy rozstrzygnięcie byłoby czystą loterią. Barbara nie miała wątpliwości, że wszyscy faceci trzymają ze sobą, a jedynym ich celem jest ujarzmienie kobiet.

Konsekwencje zepsucia kilku butelek wina nie miały wielkiego znaczenia. Cieszyła ją myśl, że Oliver dokonał odkrycia w kompromitujących okolicznościach. „A więc miał schadzki z Anną – pomyślała rozbawiona. – Uroczę pikniki za miastem”. A ona popsuła im spotkanie, dolewając octu do wina. Nic nie mogło odebrać jej dobrego humoru. Nawet późniejsze wyznanie Ewy:

– To ja poprosiłam Annę, żeby porozmawiała z tatą. Nie chcę jechać na ten obóz. Sama już nie wiem, do kogo się zwrócić, gdy jest mi źle.

Jej słowa świadczyły, jak sprawnie funkcjonował domowy system przekazywania informacji. Oliver mówił coś Annie, Anna Ewie, a ta przekazywała wiadomość Barbarze. Drugim kanałem byli Thurmont i Goldstein. Wariackie koło. Barbarze wcale to nie przeszkadzało. Miała ściśle określony

cel. Ponadto jej wyroby kulinarne zyskiwały coraz lepszą markę. Supermarket domagał się zwiększonych dostaw *pate*, a jej *galantine* z drobiu była ozdobą wielu przyjęć. Przebojem weszła na rynek, wypłynęła na szerokie wody. Poza tym była pewna, że wygra sprawę rozwodową. Thurmont ostrzegł ją jednak, aby przyhamowała rozwój firmy do czasu rozprawy.

– Dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie? – spytała Ewę z wyrzutem.

– Bo ty masz teraz dosyć innych kłopotów. Nie chciałam komplikować ci życia.

Barbara objęła córkę i pocałowała ją w policzek.

– No a od czego są matki?

– Po prostu nie chcę jechać na obóz. Szczerze mówiąc, boję się zostawić was oboje samych w domu.

Barbara roześmiała się w duchu. Kiedyś była zależna od męża, posłuszna i pokorna.

– Nikt nie skrzywdzi ci mamy.

– Ale to jest przecież tatuś.

– Wiem, kochanie. Twój tatuś, ale nie mój. To żadna tragedia: po prostu rozwód, a z tym zawsze wiążą się nieprzyjemności. Ja uważam, że racja jest po mojej stronie, on ma zupełnie przeciwne zdanie. Stąd ta szarpanina. No ale co z tego? Czego tu się bać. – Delikatnie pogroziła Ewie palcem. – Czeka cię dorosłe życie, kochanie. I zapamiętaj: gdy masz do czynienia z mężczyznami, musisz być stanowcza, a nie uległa. Mamy takie same prawa jak oni. Jeśli masz własne ambicje, nie porzucaj ich, nie rezygnuj z życiowych planów. To, co się z nami dzieje, powinno być dla

ciebie dobrą lekcją. – Stając na palcach uniosła ręce. – Teraz czuję się taaka wielka. I wolna jak ptak.

– Jeszcze nigdy cię taką nie widziałam, mamó. Wydajesz się taka zadowolona...

– Otóż to. Nie masz się czym martwić. Jedź na obóz i dobrze wypocznij.

W głębi serca Barbara wybaczyła Annie. Wybaczyła jej wszystko. Powiedziała sobie jednak, że Oliverowi nie okaże ani odrobiny litości.

Pod wpływem dobrego samopoczucia wywołanego własną niezależnością kupiła sobie wibrator. Miał kształt penisa, na powierzchni był pofalowany jak naturalny członek. Zachwyciła się swoim pomysłem, a jej szczęście stało się jeszcze większe, gdy wypróbowała urządzenie. Ogarnęła ją fala rozkoszy, jakiej nie doznała nigdy przedtem. Czasami w ciągu dnia mówiła sobie, że oto nadeszła pora na chwilę przyjemności, szła do siebie na górę i zabawiała się sztucznym członkiem. Sprawiał się lepiej niż Oliver w szczycie formy.

– Ty cudzie techniki – szeptała do niego. – Komu w ogóle potrzebni są mężczyźni?

Jej dobry humor wynikał również z budzącej się wiosny. Drzewa stały w pełnym rozkwicie. Park i most Calvert Street wyglądały cudownie w wiosennej szacie. Przestała zaprzętać sobie myśli Oliverem. Był jak gryzoń: niewidoczny, chociaż zauważała ślady jego bytności w domu. Czasami wieczorem Barbara słyszała, jak pracował w warsztacie, a gdy budziła się wcześniej rano, jej uszu dobiegały odgłosy krzątania męża przed wyjściem do pracy. Dla Barbary on przestał

istnieć, przestał być częścią jej życia.

Nie mogła się jednak uwolnić od myśli, że pod jej nieobecność Oliver wchodzi do sypialni żony. Ostatnio nauczyła się wierzyć swojemu instynktowi, działać według tego, co dyktuje instynkt i podświadomość. A może była to inteligencja, z której istnienia nie zdawała sobie sprawy? Nie miała namacalnych dowodów przeciwko Oliverowi. Uważnie, metr po metrze, sprawdziła cały pokój, starannie przejrzała zawartość szaf, zajrzała pod łóżka, nawet do swoich pantofli. W nocy, kiedy nie mogła spać, wciąż nachodził ją ten irracjonalny strach. Tłumaczyła sobie, że to nieracjonalne, próbowała odrzucić natrętne myśli. Bezskutecznie.

W ciągu dnia, oprócz zwykłych czynności związanych z prowadzeniem firmy, Barbara przygotowywała dzieci do wyjazdu. Na obozie Ewa miała pełnić funkcję zastępcy wychowawcy. Była bardzo zadowolona, bo to oznaczało pewne przywileje, większą swobodę.

– Uważaj na siebie, Ewo – powiedziała Barbara. – Nie przysparzaj nam dodatkowych problemów. Przynajmniej teraz.

– Będę uważać – odparła Ewa.

Matka z córką dobrze się rozumiały. Josh nie sprawiał kłopotów. Żył tylko szkołą i koszykówką. Barbara nie mogła pojąć, dlaczego tak bardzo kocha syna, przy całej swojej nienawiści do mężczyzn.

Sukces firmy niósł ze sobą blaski i cienie. Barbara odczuwała, co oznacza zwiększony popyt na wyroby, zwiększony przepływ gotówki. W umowie separacyjnej

zgodziła się pieniędzy otrzymanych na utrzymanie nie wydawać na zakupy dla firmy. Według niej to nie miało sensu, ale zgodnie z poleceniem Thurmonta brała oddzielne faktury na wszelkie zakupy produktów dla swoich potrzeb.

Nie była najlepszą księgową świata, lecz wytłumaczyła sobie, że trzeba po prostu dodać kwoty widniejące na fakturach zakupów, to samo zrobić z rachunkami wystawionymi klientom, odjąć jedno od drugiego i wynikiem będzie – oby! – dochód. Dokonała jednak szokującego odkrycia: jej klienci ociągali się z regulowaniem należności, a ona, nie chcąc sobie ich zrazić, okazywała wyrozumiałość. Z drugiej strony, dostawcy domagali się płatności natychmiast przy odbiorze zamówionych produktów. Aby utrzymać firmę, zmuszona była czerpać pieniądze z comiesięcznych wpłat Olivera na utrzymanie.

Kiedy Thurmont zbeształ ją za tak nieodpowiedzialne zachowanie, odparła:

- Nikt mnie nie uczył, jak prowadzić firmę.
- Niech pani to powie swojemu dostawcy mięsa.
- Tak też zrobiłam.
- No i co?

– Powiedział, że to koniec naszej współpracy. – Wspomnienie tamtej rozmowy rozzłościło ją. – Że gdybym nie była kobietą, sprawa miałaby się zupełnie inaczej. Nie miał do mnie zaufania. Kiedy pokazałam mu rachunki wystawione klientom, roześmiał się w twarz. „To nie mój problem, paniusiu”, powiedział. Na tę „paniusię” krew mnie zalała i rzuciłam w niego mielonym mięsem.

- Był, zdaje się, dobrym dostawcą.

– Niestety. – Czują skurcz w żołądku. – Powiedział mi, że kobiety nie powinny się brać za robienie interesów, bo podchodzą do tego zbyt emocjonalnie. A potem niemal uderzył mnie tasakiem. – Przerwała na moment. – To znaczy, wbił go z całej siły w moją kuchenną deskę. Ale ja wiedziałam, co to znaczy. Wyobrażał sobie, że to ja, że we mnie uderza. Drań.

– Za szybko chciała pani osiągnąć sukces – odrzekł Thurmont. – Powodzenie pani firmy może jedynie zaszkodzić sprawie.

– Bardzo mi przykro – powiedziała sarkastycznie.

– A co z bieżącymi rachunkami domowymi?

– Zalegam z opłatą za gaz, elektryczność i telefon. Wszystko za dwa miesiące. Zakłady energetyczne zaczynają się niecierpliwić, ale zdaje się, że Oliver jeszcze o niczym nie wie. – Spojrzała na adwokata i uniosła brwi. – A może pan pożyczylby mi parę tysięcy? Zwrócę panu z nawiązką.

– On nie płaci moich rachunków już od trzech miesięcy.

– Widziałam je. Przesyła mi kserokopie.

– Ja sprzedaję mój czas, proszę pani. Kiedy pani tu przychodzi na rozmowę, to kosztuje. Dwieście za godzinę. Wiedziała pani o tym od samego początku. Wciąż powtarzam, żeby pani nie przybiegała do mnie z każdym błahym problemem.

– A pan powinien działać w taki sposób, żeby nie musiała zwracać się do pana o pomoc.

– Jestem specjalistą od spraw rozwodowych, a nie konsultantem w kwestiach biznesu. Cały czas przypominałem, żeby pani płaciła rachunki w terminie.

– Teraz jest i tak za późno.

* * *

Barbara postanowiła wziąć pożyczkę z banku. Od razu wstąpiła w nią nadzieja, gdy zobaczyła, że za biurkiem siedzi kobieta.

– Potrzebuję tylko pięć tysięcy. Nic specjalnego. – Wyjaśniła kłopoty, z którymi się boryka prowadząc firmę, opowiedziała też o sytuacji rodzinnej.

– Co pani ma jako zastaw hipoteczny? – spytała uprzejmie urzędniczka. Była pewną siebie, rzeczową kobietą.

– Zastaw hipoteczny? – Barbara miała mgliste pojęcie o znaczeniu tego terminu.

– Na przykład akcje, obligacje. Albo dom.

– Dom? Jest naszą wspólną własnością. Dlatego mamy problemy. Przecież ja proszę tylko o... – urwała, czując się głupio. Szukała zrozumienia, lecz obojętny wyraz twarzy urzędniczki mówił wszystko.

– Boimy się udzielać pożyczek osobom, które są uwikłane w procesy sądowe, zwłaszcza te dotyczące majątku.

– Myślałam, że prawo gwarantuje kobietom równouprawnienie.

– Oczywiście, ale... sama pani rozumie.

– Gównno! – krzyknęła i wyszła. „Ciekawe, czy ta zdzira też myślała, że zachowuję się zbyt emocjonalnie – pomyślała.

– Ten skurczybyk, Oliver, mnie skrzywdził. " Postanowiła nie dać za wygraną. Spróbowała szczęścia w dwóch innych bankach. Jeden z urzędników chciał zaprosić ją na drinka.

– Aha. Więc jeśli dam panu dupy, to dostanę pieniądze – powiedziała naumyślnie bardzo głośno, tak aby usłyszały ją inne osoby.

Wróciła do domu zmęczona i sfrustrowana. Zatelefonowała do klientów prosząc o zapłacenie rachunków. Miała ściśnięte gardło, mówiła drżącym głosem.

Żona ambasadora Tajlandii odpowiedziała:

– My też otrzymujemy fundusze bardzo nieregularnie. Widzi pani, to zabiera dużo czasu, zanim pieniądze dotrą tu z naszego dalekiego kraju. Musi pani zrozumieć naszą sytuację.

Przełknęła tę pigułkę goryczy, z trudem powstrzymując wybuch gniewu. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Tak bardzo się starała, żeby jej potrawy były doskonałe w smaku, pięknie udekorowane i podane, robiła z nich dzieła sztuki i mogła być z nich dumna. Nie spodziewała się takiej obojętności, gdy przychodziło do płatności.

Nocą toczyła w wyobraźni rozmowę z Oliverem.

„... Mówiłem ci, że tam panuje prawo dżungli. Silniejszy zjada słabszego. Oko za oko. Próbowałem cię od tego uchronić.

– Powinieneś był mnie nauczyć, jak walczyć o przetrwanie.

– To nie byłoby po męsku. Przyrzekłaś mi miłość, szacunek i posłuszeństwo. To znaczy, że masz być zawsze gotowa przyjąć mnie do łóża, słuchać mnie i siedzieć cicho. – Jego głos docierał jakby z głębi tunelu.

– Ale nie można trzymać kogoś w zamknięciu. To

niesprawiedliwe... "

Już od kilku miesięcy nie brała „Valium”. Żyła pełnią życia, tak przynajmniej sądziła. Lecz problemy finansowe nie dawały jej spokoju. Powiedziała sobie, że wkrótce dzieci wyjadą na wakacje, a wtedy odzyska pieniądze i Oliver nawet się nie dowie, że była w kłopotcie. „Żeby tylko wyniósł się z domu”. Jego obecność była nieznośna. Powinien się wyprowadzić i zadośćuczynić sprawiedliwości. Złapała się na myśli, że byłoby całkiem dobrze, gdyby ugotował się wtedy w saunie. Nawet nie mrugnęłaby okiem. Zadzwoił do niej Thurmont.

– Oliver dowiedział się o nieopłaconych przez panią świadczeniach. Strasznie się piekli. Goldstein wygłosił do mnie przez telefon złośliwe kazanie.

– Wobec tego zmusimy Olivera, żeby dawał więcej pieniędzy na utrzymanie domu. To, co otrzymuję teraz, po prostu nie wystarcza. Nigdy przedtem nie miałam tego rodzaju kłopotów.

– Proszę pani, on regularnie płaci ustaloną sumę. Niech pani pamięta: to jest sprawa rozwodowa, istnieje podpisana również przez panią umowa separacyjna. Sprawa wejdzie na wokandę dopiero za kilka miesięcy. Jeśli pograży się pani w finansowym dołku, będzie pani zmuszona pójść na kompromis.

– Nigdy! – krzyknęła do słuchawki. – Czy pan wystawi mi rachunek za tę telefoniczną konsultację?

– Naturalnie.

– To niech się pan odczepi.

Dużo czasu spędzała teraz w swoim pokoju. Zrobiło się

gorąco, więc otworzyła okna. Przedtem nie zastanawiała się nad włączeniem klimatyzacji, teraz musiała z niej zrezygnować ze względu na zużycie prądu. Myślała o przeszłości, o tym, że kiedyś była bezwolną kukłą gotową do największych poświęceń. Głupia, romantyczna dziewczyna.

„Oliverze, dla ciebie zrobiłabym wszystko, naprawdę wszystko” – mówiła do niego. On zapewniał ją, że czuje tak samo, ale to nie było to samo. Przypomniała sobie: każdą jego wypowiedź przepełniała mądrość. Idealizowała go, czciła, z lubością patrzyła na jego twarz w świetle budzącego się poranka, całowała uwielbiane oczy, pełne słodkie usta, a gdy brał ją w ramiona, wiedziała, że specjalnie dla niej świat stanął w miejscu. Na tę właśnie chwilę. W wyobraźni usłyszała alarmujące bicie dzwonów: złowieszczy, przejmujący dźwięk. Podzwonne dla jej utraconej niewinności. „Bijemy dla ciebie, Barbaro. To ostrzeżenie. Stałaś się niebezpiecznie bezwzględna”. Miała pretensje do swoich rodziców, przyjaciół. Winiła filmy i piosenki o miłości. Romantyczne kłamstwa. Wszystko kłamstwa.

Jednej nocy zdecydowała się wziąć dwie tabletki „Valium”, aby pogrążyć się we śnie, uciec od natrętnych obrazów, które podsuwała jej wyobraźnia. Spodziewany efekt jednak nie nadchodził. Wciąż przewracała się z boku na bok. Wzięła gorący prysznic i zaraz potem zimny, ale bez skutku. Nie potrafiła zapanować nad kłębiącymi się w jej głowie myślami. Serce biło jak szalone, co chwilę oblewały ją fale to zimnego, to znów gorącego potu. Nie wiedziała, skąd się bierze taka reakcja organizmu na środek uspokajający.

Owładnął ją lęk, czuła, że się dusi, traci oddech. Nie

mogła znaleźć sobie miejsca. Zeszła na dół i usiadła w bibliotece. Porcelanowe figurki wydawały się żywe, tańczyły i patrzyły na nią kobaltowymi oczami. Takimi samymi, jakie miał Oliver. Drżącymi rękami otworzyła barek. Pociągnęła długi łyk palącego alkoholu prosto z butelki. Poczua się jeszcze gorzej.

Wróciła do sypialni, przebrała się w dzinsy i wyszła z domu. Był koniec maja. Ciepło. Przeszła cichymi ulicami Kaloramy, skręciła w lewo w Connecticut Avenue, gdzie przyspieszyła kroku, a nawet zaczęła truchtać. W pewnej chwili obok niej zatrzymał się policyjny radiowóz.

– Trochę późno jak na bieg po zdrowie – zawołał policjant.

– Odczep się pan. Żyjemy w wolnym kraju.

– No cóż, to w końcu pani własna dupa – usłyszała w odpowiedzi.

Była już dobrze zmęczona, gdy wtem spostrzegła, że znajduje się przy Chevy Chase Circle. Usiadła na ławce w samym środku skrzyżowania obserwując przejeżdżające co jakiś czas samochody. Nagle coś zaskoczyło w jej umyśle. „Ależ tak!” Szybko pobiegła do najbliższego telefonu i zadzwoniła do Thurmonta. W słuchawce rozległ się jego przestraszony głos. Widocznie wyrwała go ze snu.

– Oliver zrobił coś z moim „Valium” – krzyknęła w słuchawkę. – Jestem tego pewna. Podły cham.

Thurmont niewiele z tego rozumiał, lecz Barbara powoli zebrała myśli i powiedziała spokojniej:

– Wyjął z fiolki „Valium” i zamienił je na jakieś świństwo, które wywołuje całkowicie przeciwny skutek.

Byłam spięta do granic wytrzymałości, nie mogłam spać.
Teraz czuję się już trochę lepiej.

– Gdzie pani jest?

– Przy Chevy Chase Circle.

– Niech pani nie robi żadnych głupstw.

– Proszę się nie obawiać – powiedziała. – Już nigdy nie
zrobię żadnego głupstwa.

Rozdział 21

Oliver nie powiadomił Goldsteina o tym, że wykonał odlew zamka w drzwiach do sypialni Barbary, a potem dorobił klucz. Mógł sobie wyobrazić reakcję adwokata. Czy ten zarozumiały głupiec miał pojęcie, czym stało się życie z Barbarą pod jednym dachem? Nie mógł mu również powiedzieć o „Dexedrynie”, którą podłożył w miejsce kapsułek „Valium”.

Kto zresztą zrozumiałby motywy jego działania? Dla każdego bezstronnego obserwatora czyny Olivera musiały wydawać się irracjonalne, a już na pewno były prowokacjami. Lecz jakże zareagowałby ów obserwator na postępowanie Barbary? Sauna, wino, prywatny detektyw. To nie było normalne. Oliver musiał być nieustannie czujny, zawsze przygotowany na kolejny atak. No więc, jak osoba z zewnątrz oceniłaby czyny Barbary? Na przykład niespodziewaną decyzję o rozbiciu rodziny? Czyżby nagle w jej głowie odezwał się dzwonek budzika odmierzającego czas trwania małżeństwa, który właśnie upłynął? Ot, po prostu: „Oliverze, twój czas już minął”.

– Cierpliwości – prosił Goldstein, ledwo widoczny spoza chmury dymu z cygara. Tego właśnie potrzebował. Jak na razie, wszystko układało się po jego myśli.

O kwestii finansów Goldstein wyraził się ostrożnie:

– Pańska żona bardzo rozwinęła działalność swojej firmy. Niech pan będzie cierpliwy. Prędzej czy później zwróci się do nas z propozycją kompromisu.

– A co z opłatami za świadczenia? Wkrótce odetną nam dopływ prądu i odłączą telefon.

– Musi pan być wytrwały. Widziałem to już setki razy. Prowadzenie interesów wydaje się proste, gdy patrzy się na to z dystansu. Niedługo poprosi "nas o zaakceptowanie nowej propozycji. Nie ma innego źródła dochodów.

– Dostaje dwa tysiące miesięcznie na samo tylko utrzymanie domu. Boże, przecież to kupa pieniędzy.

– Wcale nie, jeśli prowadzi się własną firmę. Przekona się pan, że mam rację. Przyjdzie do nas, to pewne.

Jak radził Goldstein, miał okazać cierpliwość. Tymczasem coraz częściej powtarzały się telefony z elektrowni, gazowni i zakładu telekomunikacji. Wszyscy grozili, że nieuregulowane płatności spowodują odłączenia i kary.

– Te rachunki opłaca moja żona – odpowiadał.

– Niestety wcale tego nie robi – słyszał w odpowiedzi.

W dniu wyjazdu dzieci na obóz oboje rodzice pojawili się na parkingu przy szkole Sidwell Friends. Oliver przyjechał ferrari za furgonetką Barbary, w którą zapakowała Ewę, Josha oraz ich bagaże. Oczy dziewczyny były wciąż opuchnięte po łzawym pożegnaniu z Anną. Anna przeprowadziła się do schroniska YWCA przy Siedemnastej Ulicy, o czym Oliver dowiedział się z kartki, którą znalazł wsuniętą pod drzwi swojego pokoju.

„Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował – napisała – ja zawsze będę czekała”. Podpisu nie było. Czytając, Oliver poczuł, że gryzie go sumienie. Wiedział, że źle ją potraktował, lecz nie zmuszał jej, aby go pokochała. Miłość.

Cóż to za obrzydliwe słowo. Powinno zostać zniesione, zwłaszcza, że jego znaczenie uległo deprecjacji. Kiedyś kochał Barbarę. Pewnego razu powiedział jej, że miłość jest wynalazkiem Boga, który rzuca dwoje ludzi w różne miejsca na kuli ziemskiej, a potem pozwala im się odnaleźć. Kiedy się odnajdują, stanowią nierozzerwalną jedność. To właśnie jest miłość. „Gówno – myślał teraz. – Chociaż nie – poprawił się – gówno to jest zbyt szlachetne określenie. Miłość jest sraczką”.

Pożegnanie z dziećmi wypadło niezręcznie. Ewa i Josh patrzyli na nich z troską przez okno autokaru.

– Chciałbym, żebyście się pogodzili lub rozstali w pokoju – szepnął Oliverowi do ucha syn. Prawdopodobnie to samo powiedział Barbarze. Uścisnął mocno chłopca, czując jakieś bolesne ukłucie w sercu. Żałował, że Josh nosi w sobie geny Barbary. To zmniejszyło ojcowską miłość. Josh odziedziczył po matce głęboko osadzone, słowiańskie oczy. Oliver nie mógł wyzbyć się poczucia winy. Przed samym sobą wstydził się tak przyziemnych myśli. To samo dręczyło go w odniesieniu do Ewy. „To wbrew naturze”, pomyślał. Kiedy Barbara całowała i ścisnęła dzieci, zanim wsiadły do autokaru, Oliver nie mógł na to patrzeć. Poczul niesmak i odwrócił głowę.

Oboje rodzice stali machając w kierunku oddalającego się pojazdu, aż ten zniknął za rogiem. Wśród odprowadzających rozległ się smętny pomruk i wszyscy powoli kierowali się do swoich aut. Oliver poszedł za ich przykładem. Już wsiadł do ferrari, gdy zatrzymał go głos Barbary:

– Wiem, że „Valium” to twoja robota. Nie mam pojęcia,

jak tego dokonałeś, ale nie myśl sobie, że to ci ujdzie na sucho. Niedoczekanie twoje.

Odwrócił się. Z zadowoleniem spostrzegł nowe zmarszczki wokół jej oczu. Bez słowa wszedł do samochodu i odjechał.

Teraz będzie musiał uważać i będzie musiał być przygotowanym na wszystko. W oczach Barbary widział nienawiść, pragnienie zemsty. Poczł nerwowy skurcz policzka. Spojrzał na zegarek. Na kino było jeszcze za wcześnie. Bał się samotności. Zateśknął za dziećmi i zdał sobie sprawę, że w czasie pożegnania bardzo się mylił. Kochał je ponad wszystko.

Przejażdżka ferrari nie dawała mu przyjemności. Opadła na niego ciężka chmura czarnych myśli. Separacja nie przyniosła uczucia niezależności. W głębi duszy wciąż był bardzo rodzinnym domatorem, mimo przykrych wydarzeń ostatnich kilku miesięcy. Dom, żona, dzieci, pies. Jak w telewizyjnych serialach.

Pomyślał o swoim ojcu, który w zasadzie nigdy nie był – jak to określają socjologowie – modelowym przykładem głowy rodziny, a tylko zwykłym, szarym urzędnikiem państwowym. Lecz gdy wracał do domu, starego drewnianego domu w Framingham, zamykał drzwi i wtedy przychodziło to cudowne uczucie bezpieczeństwa i ciepła. Miał swój fotel, fajkę, szlafrok w kratkę, miał świadomość, że jest u siebie. Dom, żona, dzieci, pies. Zawsze był ukochanym mężem. Matka często mówiła o nim: „Mój mężczyzna”. Na przykład: „Mój mężczyzna lubi jajka gotowane przez cztery minuty... Mój mężczyzna nie cierpi

zapiekanki z ryżem". Albo: „Mój mężczyzna zjada na lunch kanapkę z jajkiem i sałatką, a na deser jabłko. Najchętniej golden delicious, byle nie macintosh". Matka dokładnie wiedziała, co ojciec lubi i robiła wszystko, żeby uprzyjemnić staruszkowi życie. Szczęściarz. Był jak król. Po śniadaniu zjadał kilka suszonych śliwek, bo „zdrowe na żołądek". Galaretką po kolacji „na prostatę", ryba w piątki „dobra dla Pana Boga i dla szarych komórek". Oboje rodzice pochodzili z katolickich rodzin, lecz nie chodzili do kościoła zbyt regularnie.

Oliver wiedział jednak, że matka w tajemnicy przed wszystkimi modliła się o ich zbawienie. Modliła się za męża i dzieci, rzadko za siebie.

Oliver chciał, żeby Barbara miała wszystkie przymioty jego matki, i z początku nawet wierzył, że w istocie tak było. Duże piersi matki stanowiły bezpieczne, ciepłe schronienie, parasol świata. Tuż pod jej cudownym sercem. Płacz w objęciach matki nigdy nie został nieukojonny. To sprawiało, że dom był miejscem, w którym cała rodzina czuła się najlepiej.

– To dobra kobieta – wyznał kiedyś ojciec Oliverowi. I tak naprawdę było. Jakże mu więc mógł zazdrościć. Stary tyle lat spał u boku kobiety, która była ostoją siły, mądrości i bezpieczeństwa. Jak porównać z tym twarde, pełne stresów życie w Waszyngtonie? Oliver wracał pamięcią do lat dzieciństwa, lecz gdy spojrzał na swoje odbicie w bocznej szybie samochodu, zrozumiał, że jest dorosłym mężczyzną. Opuścił dom rodziców przed dwudziestu laty, i chociaż, Bogu dzięki, oboje jeszcze żyli, miał uczucie, jakby ich

stracił. Stracił ich dwadzieścia lat temu. Tamte cudowne lata spędzone we Framingham już nie wróca.

Tknięty nagłą myślą zatrzymał się przed dużym sklepem, w którym był automat telefoniczny. Zadzwoił do rodziców i po chwili w słuchawce zabrzmiał głos ojca:

– Halo?

– Cześć tato – powiedział wesoło. Udawanie dobrego humoru kosztowało go dużo wysiłku.

– Witaj, synu! – zawołał ojciec. – Molly, to Oliver.

Chwilę później rozmawiał już z matką.

– Oliver?

– Tak, mamó. – Urwał na moment i z trudem przełknął ślinę. – Właśnie wyprawilem dzieci na obóz.

– Czy będą miały dobrą opiekę? – spytała. Zawsze, gdy dzwonił, przeczuwała coś złego. Poza murami jej własnego domu toczyło się życie pełne niebezpieczeństw. Odpowiadał na jej typowe pytania: „Jak się czują Josh i Ewa? Co tam w pracy? Jak twoje zdrowie? Co słysząc poza tym?” To ostatnie pytanie dotyczyło rozwodu. Jego rodzice nie odwiedzili ich od czasu separacji, chociaż widzieli się z dziećmi w czasie pobytu Barbary w Bostonie. Ona wtedy nie przyszła: Josh i Ewa przyjechali do dziadków sami.

Matka celowo nie wspominała o Barbarze.

– Czy nie ma sposobu, żebyście się pogodzili? – spytała.

– Żadnego, mamó.

Nastąpiło długie milczenie. Oliver wiedział, co ona teraz myśli, co maluje się na jej twarzy. Takie rzeczy nie zdarzały się w jej świecie. Taka możliwość w ogóle nie istniała. Oliver modlił się w duchu, żeby matka nie zaczęła płakać. Po kilku

zdawkowych zdaniach szybko skończyli rozmowę. Nie byli przyzwyczajeni do prowadzenia długich rozmów przez telefon. Mimo wszystko rozmowa z rodzicami przyniosła mu ulgę. Zastanawiał się, czyje życie jest prawdą, a czyje fikcją. Ich życie, czy jego własne?

Nie zamierzał wracać od razu do domu, lecz stracił poczucie czasu i przestrzeni do tego stopnia, że nagle znalazł się w alejce prowadzącej do garażu. Gdy spostrzegł, gdzie jest, rozejrzał się za Bennym, który powinien być gdzieś w pobliżu i biec na spotkanie swego pana. Oliver zapragnął pojechać gdzieś dalej, może do Hains' Point, gdzie pies mógłby się wyhasać i łapać plastikowy latający talerz. Oliver sam nauczył go tej sztuki.

Wszedł do ogrodu i zagwizdał głośno na palcach. To zwykle wystarczało, żeby Benny porzucił tropienie swoich licznych kochanek. Oliver gwizdnał jeszcze raz, ale odpowiedzi nie było. Wsiadł do samochodu i jeździł po okolicy, od czasu do czasu powtarzając znany psu sygnał. Benny spał w nogach jego łóżka i chociaż czasami zapominał, że nie jest na dworze, był Oliverowi wiernym towarzyszem. A Oliver potrzebował towarzystwa.

Ironia losu rozśmieszyła go. Okazało się, że jedynym kochającym go członkiem rodziny, który pozostał w domu, był brudny sznaucer. Przynajmniej to stworzenie okazywało mu współczucie. W czasie ostatnich trudnych miesięcy Oliver często otwierał przed nim swoje serce. Były rzeczy, które musiał powiedzieć na głos. Benny patrzył na niego mądrymi, brązowymi oczami. Siedział z podniesionym łbem i sterczącymi uszami, słuchając uważnie głosu swego pana.

– Stary draniu – mówił wtedy do niego i obejmował go czule, co wymagało pewnej dozy samozaparcia, gdyż zapach Benny'ego nie należał do przyjemnych.

Myśl, że ma czworonożnego przyjaciela, poprawiała Oliverowi humor i nawet rozczarowanie spowodowane nieobecnością psa nie rozwiało jego optymistycznego nastroju. Szukanie go pozwoliło mu zabić trochę czasu. Kina były już czynne. Oliver obejrzał dwa filmy Woody Allena w sali „Biograph”, zdumiony faktem, że wciąż go śmieszyły, mimo że widział je chyba z pięć razy.

Zjadł dwie kanapki z wołowiną na zimno oraz porcję frytek w „Roy Rogers”, po czym ruszył do domu. Starał się nie myśleć o samotności. Nasłuchiwał radosnego szczekania Benny'ego, który zwykle czekał na niego, leżąc pod jednym z krzaków rosnących wzdłuż ogrodzenia posesji, a na dźwięk głosu swego pana przybiegał natychmiast i ocierał się o jego nogi. Gdy Oliver przyjeżdżał samochodem, pies był trochę zdezorientowany, bo musiał biec na tyły domu i nie mógł dostać się do garażu. Stawał wówczas na tylnych łapach i czekał aż pan otworzy drzwi, po czym zaczynał skakać z radości, rzucać się na Olivera. Po takim powitaniu garnitur bywał pokryty niemalą warstwą błota.

Jednak Benny'ego wciąż nie było. Często wracał do domu późną nocą lub dopiero rano, więc na wpadanie w panikę było jeszcze za wcześnie. Czasami Oliver zostawiał tylne drzwi lekko uchylone, a Benny pchnięciem łapy torował sobie drogę do domu, biegł na górę i skrobał w drzwi swego pana, który budził się i wpuszczał psa do pokoju.

Leżąc pod baldachimem wielkiego łoża Oliver

nasłuchiwał odgłosów dochodzących z domu. Znał je równie dobrze jak bicie własnego serca. Wyraźnie odczuwał nieobecność dzieci i Anny: było cicho i pusto. Kiedy tu mieszkali, czuł się potrzebny. Dom, w którym zna każdy kąt, dawał odrobinę ukojenia. Ciekaw był, czy Barbara myślała podobnie. Wyczuł, że ona czai się w łóżku, które było kiedyś ich wspólnym miłosnym gniazdkiem, czai się i nasłuchuje, skulona jak embrion.

Nie mogąc zasnąć wstał i poszukał butelki z wódką, napełnił alkoholem szklanę, po czym otworzył okno i wziął z parapetu karton z resztką soku pomarańczowego, którego dolał do szklanki i szybko wypił jej zawartość.

Wrócił do łóżka. Zapadając powoli w sen usłyszał znajome drapanie w drzwi.

Benny.

Wstał z zamkniętymi oczami. Kiedy otworzył drzwi, usłyszał, jak pies idzie na swoje ulubione miejsce na dywanie w stylu Art Deco. Z uczuciem ulgi Oliver położył się spać.

* * *

To się zaczęło jak abstrakcja. Najpierw stracił poczucie czasu, potem w jego wyobraźni rozbłyśły wszystkie kolory tęczy. Otworzył oczy. Pokój jawił mu się jak dziecinny kalejdoskop, w którym wszystko ruszało się tworząc coraz to nowe wzory.

Usiadł i przetarł oczy, lecz ruchome obrazy nie zniknęły, jedynie zmieniły swój kształt. Patrzył, jak sekretarzyk Hepplewhite pęcznieje niczym balon, jak regały szybują w

powietrzu. Kiedy wyciągnął rękę, żeby dotknąć jednego z nich, ten rozplątał się, przestał istnieć.

Dopiero gdy spojrział w górę na baldachim, który opadał prosto na jego głowę, usłyszał krzyk. Wcale nie przypominał jego głosu, a raczej rozdzierające skrzeczenie koguta zarzynanego o wschodzie słońca. Zeskakując z łóżka poczuł, jak kolana uginają się pod nim. Legł na podłodze i spróbował zebrać myśli.

„Tracę rozum”, pomyślał. Miał jeszcze dość siły, aby zdać sobie z tego sprawę. „Boże, tracę rozum”. Dotknął głowy, która wydawała mu się znacznie większa niż zwykle i miękka jak gąbka. Kątem oka dostrzegł obok siebie jakiś ruch: coś dużego, świecącego niczym ognista kula. To coś żyło i miało nieprzyjemny oddech. Poczul na twarzy ciepło i wilgoć. Usiadł obserwując potwora: był straszny, wielki, ruchliwy. Rąbnął go pięścią i usłyszał dziwny głos, który niemal rozsadził mu bębenki.

Oczy odmówiły mu posłuszeństwa. Wycofał się sunąc po podłodze, przewracając walające się wszędzie puste butelki. Niektóre z nich pękały pod ciężarem jego ciała i wtedy czuł ostre odłamki szkła, które boleśnie wbijały mu się w pośladki. Ujrzał, jak potwór chodzi wokół niego. Odwrócił się przerażony. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

– Wybacz mi! – zawołał, ale nawet nie usłyszał swego głosu. Posuwając się na czworakach szukał po omacku wyjścia. Spojrzawszy do tyłu zorientował się, że potwór idzie tuż za nim. W pokoju wciąż wirowały błyskające kolorami gwiazdy. Sprzęty i meble przybrały dziwne kształty, tworzyły beładną, abstrakcyjną scenerię dla tego koszmaru. Nagle

uderzył o coś twardego i zimnego, co przyniosło chwilowe otrzeźwienie. Był w łazience i wchodził do wanny, a potwór wciąż szedł za nim.

Chwyciwszy jakiś ognisty, połyskujący złotem przedmiot tkwiący w ścianie przekreślił go i nagle znalazł się w strugach zimnej ulewy. Położył się. Deszcz wielobarwnych kropli spadał na niego jak chmara owadów, których tysiące pełzały już po jego ciele. Ten deszcz wywołał w nim wspomnienie. Tak, to było dawno, bardzo dawno temu. Usłyszał jak spadająca z nieba woda uderza o szyby, usłyszał czyjś przytłumiony, skrzeczący głos: „Po raz pierwszy. Po raz drugi. Sprzedane!”

Drgnął gwałtownie i z powrotem znieruchomiał. Był pewien, że spadające krople deszczu to jego własne łzy.

Powoli rozjaśniało mu się w głowie. Najpierw wracały strzępy świadomości, nieregularnie, bezładnie, potem tworzyły ciągi logicznych myśli. Kolorowe plamy znikły. Dostrzegł promień słońca przenikający spadające krople wody i w końcu zdał sobie sprawę, że leży w wannie pod włączonym prysznicem.

Zanim spróbował wstać, sprawdził, czy jego ciało podoła takiemu wysiłkowi. Czuł silny ból w pośladkach i kiedy powoli wstawał, doznawał lekkiego zawrotu głowy. Wyszedłszy z wanny chwycił się brzegu umywalki i zakręcił kran. Na wyłożonej terakotą podłodze łazienki były ślady krwi, podobnie jak na jego palcach. Powoli odzyskał jasność widzenia. Obejrzał w lustrze swoje pośladki: były pokryte pajęczyną cieniutkich strużek krwi.

Wytarłszy się do sucha zdezynfekował rany i wrócił do

sypialni, gdzie panował straszliwy bałagan. Stłamszona pościel leżała na podłodze, którą pokrywały kawałki rozbitych butelek. Ostrożnie stawiał stopy między odłamkami szkła, w końcu udało mu się włożyć pantofle. Stojąc na środku pokoju próbował zrozumieć, co się właściwie stało. O dziwo wciąż pamiętał niezwykle obrazy, które nawiedziły jego wyobraźnię, koszarne kształty i dźwięki. A potem usłyszał pełne bólu skomlenie Benny'ego. Pies leżał w rogu sypialni, był jakiś odmieniony, nie taki jak zwykle. Oliver zbliżył się do niego i zobaczył, że jego sierść jest pokryta białawą, lepką substancją.

Chwyciwszy obrożę pociągnął go do łazienki. Spuścił żaluzję. W pomieszczeniu zrobiło się ciemno. Farba świecąca. Nagle wszystko zrozumiał. Przypomnił sobie sok pomarańczowy.

– Cholera! – krzyknął. Owładnęła nim wściekłość, poczuł nabrzmiewający uścisk w przetyku.

Ubrał się pośpiesznie, zabrał karton z resztką soku i chwyciwszy Benny'ego za obrożę zszedł na dół. Nawet nie spojrzał na zamknięte drzwi do pokoju Barbary, próbując stłumić w sobie złość. „Zapłacisz mi za to. Poczekaj tylko”, pomyślał. Hondą Ewy zabrał psa do weterynarza.

– Co za bandyta to zrobił? – spytał lekarz.

– Chyba ktoś, kto bardzo go nie lubi – powiedział Oliver.

– To potrwa cały dzień. Muszę zbadać skórę.

Oliver skinął głową, kładąc na stole karton z sokiem.

– Chciałbym pana prosić o drobną przysługę. Ten sok jest czymś zatruty. Zdaje się, że pies to pił. Czy mógłby pan zrobić analizę chemiczną?

– Sok pomarańczowy? – zdziwił się weterynarz. Powąchał zawartość kartonu i wzruszył ramionami.

– Zadzwoń do pana. – Spojrzał na Benny'ego.

– Chodź, biedaku – powiedział biorąc go za obrozę. Oliver pojechał do biura, ale nie mógł się skoncentrować na pracy. Czasami nocne wizje stawały mu przed oczami, wywołując dreszcz przerażenia. Oblewał się zimnym potem. Większość dnia przeleżał na kanapie, próbując odzyskać równowagę ducha.

– Co panu jest? – spytała pani Harlow, wchodząc do jego gabinetu.

– Miałem ciężką noc.

– Wszyscy jesteście jak koty w marcu – mruknęła.

Wreszcie zadzwonił weterynarz.

– LSD – powiedział. – Pański czworonóg wybrał się na zakrapianą zabawę. Może sam pomazał się tą farbą?

– Bardzo śmieszne. – Informacja nie zaskoczyła Olivera. Właśnie czegoś takiego się spodziewał.

– Pies ma się dobrze. Oczyszcziliśmy go z farby. To twarda sztuka.

– Tak jak ja – syknął przez zęby odkładając słuchawkę. Myślał już zupełnie jasno. Nareszcie.

Nie zadzwonił do Goldsteina, bo i tak nie miał żadnych materialnych dowodów przeciwko Barbarze. Wspominając to, co zrobił z „Valium”, uśmiechnął się ponuro. „Sprytna kurwa”, szepnął do siebie. Złapał się na myśli, że trochę ją nawet podziwiał.

„A więc ona wyrasta na jadowitą, morderczą żmiję – pomyślał. – Już ja ci pokażę, co to naprawdę oznacza”.

Kiedy wrócił wieczorem do domu, zobaczył na drzwiach swojego pokoju kartkę przyklejoną samoprzylepną taśmą. Rozpoznał pisane lewą ręką bazgrały Barbary: „W piątek wieczorem wydaję przyjęcie. Byłabym wdzięczna za nie stwarzanie mi żadnych przeszkód”.

Podpisu nie było, jak gdyby taka identyfikacja miała oznaczać nawiązanie pewnej nici porozumienia. Zmiał kartkę i rzucił ją pod drzwi Barbary. „Przyjęcie? A skąd pieniądze?”, spytał w myślach.

– Ty zarazo! – krzyknął. W domu panowała cisza.

Zapragnął napić się czegoś mocniejszego. Zszedł do biblioteki, gdzie nalał sobie szklaneczkę whisky. Czystej. Nie rozcieńczył alkoholu, bo na samą myśl o soku pomarańczowym robiło mu się niedobrze. Nie tknął też wódki. „A więc teraz płacę za wydawane przez nią przyjęcia – pomyślał. – Jak wiele wyrzeczeń mam jeszcze tolerować?” To było nie do zniesienia. Ostentacyjne popisy. Poniżenie. Wstał tak gwałtownie, że ostry ból przeszył jego okaleczone pośladki. Coś nie dawało mu spokoju, podświadomie czuł, że w bibliotece czegoś brakuje. Wolno omiółł wzrokiem pomieszczenie, po kolei sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu, jakby przez jego mózg przesuwawa się karta z dokładną listą inwentarza.

Intuicja podpowiadała mu, że się nie myli. Wyteżył uwagę.

– Czerwony Kapturek! – zawołał nagle. Rzeczywiście, brakowało Czerwonego Kapturka. Wiedział, że coś tu jest nie w porządku. Szybko pobiegł do telefonu i wykręcił numer Goldsteina.

– Czerwony Kapturek zginął – krzyknął w słuchawkę.

– Wiem. To wilk pożarł małe biedactwo.

– Jeszcze pan nie rozumie? Ukradła go, żeby mieć pieniądze na przyjęcie. Czerwony Kapturek to figurka ze Staffordshire.

Po dłuższej chwili Goldstein powiedział:

– Radzę panu wyjechać na długie wakacje.

– Ona to ukradła. Nie rozumie pan? Dostanie za tę porcelanę co najmniej dwa tysiące.

– Ja teraz wyjeżdżam na wakacje. Pan też powinien to zrobić. I to jak najszybciej. Zajmiemy się tym, kiedy wrócę.

– Jakże to: pan jedzie na wakacje? Teraz?

– Zawsze robię urlop w tym samym okresie co Thurmont. Proszę się nie martwić. To przecież tylko sześć tygodni.

– Co??? Sześć tygodni?

– Mamy do tego prawo, panie Rose. Ciężko pracujemy.

– Pan nic nie rozumie.

– Czego nie rozumiem? Dzwoni pan do mnie późno w nocy, aby mi oznajmić, że zginął Czerwony Kapturek.

Dalsze wyjaśnienia nie miały sensu, chociaż słowa cisnęły się Oliverowi na usta.

– Stąd pochodzą jej pieniądze, panie Goldstein. – Adwokat nie odpowiadał. – Pieniądze...

– Jadę na wakacje – zakończył rozmowę Goldstein. – A właśnie, to mi przypomina, że spóźnia się pan z zapłatą mojego honorarium.

Oliver odłożył słuchawkę i przez dłuższą chwilę patrzył na telefon. „A więc to tak? – pomyślał. – Każdy sobie rzepekę skrobie, żadnych uprzejmości, żadnych przysług”. Nowa

porcja adrenaliny popłynęła w jego żyłach. Już on im pokaże, co to jest silna wola i determinacja.

Rozdział 22

Barbara musiała sama wypolerować wszystkie srebra, co bynajmniej nie było lekką pracą. Najwięcej wysiłku kosztowało ją oczyszczenie rokokowej ozdoby – kopii dzieła de Lamerie – która zajmowała miejsce na środku biesiadnego stołu. Barbara postanowiła sobie, że przyjęcie będzie naprawdę przyjemne i udane.

Miała też nadzieję, że Oliver zrozumiał jej przesłanie. Tak, słyszała dziwne dźwięki dochodzące z jego pokoju. Ale przecież nie zrobiła nic wielkiego. Pomalowanie Benny'ego przyszło jej do głowy dopiero później. Oliver musi zrozumieć, że nie może czuć się bezkarny. Na każdy jego atak ona odpowie kontruderzeniem, a dobrych pomysłów na pewno jej nie zabraknie. Niechże w końcu wyniesie się z domu. To skończyłoby mękę ich obojga.

Jeśli chodzi o Czerwonego Kapturka, to uważała, że ma prawo go zabrać. Figurka i tak nie była ładna, a poza tym Barbarę nie interesowało kolekcjonowanie porcelany. Te figurki były kiczowate, nie miały w sobie ani krzty piękna, a ich twarze miały doprawdy idiotyczny wyraz. A wszystko zaczęło się od Cribba i Molineaux. Wspomnienie tego epizodu wywoływało u niej mdłości. Za Czerwonego Kapturka dostała dwa tysiące, a Cribb i Molineaux byli warci pięć tysięcy. Miała nadzieję, że Oliver przez jakiś czas nie zauważy braku figurki. Powinna mieć spokój, przynajmniej do czasu powrotu Thurmonta z wakacji. Oliver też był bezradny z powodu wyjazdu Goldsteina.

Była z siebie bardzo dumna. Między nią a Oliverem toczyła się bezpardonowa walka i Barbara nie zamierzała przegrać. Zastanawiała się, czy wykorzystać pieniądze uzyskane za figurkę na opłacenie zaległych świadczeń, lecz nie potrafiła się oprzeć nadarzającej się sposobności zaprezentowania swoich talentów zarówno stałym, jak i dopiero potencjalnym klientom. Przyjdą, obejrzą jej wspaniały dom, a ona pokaże im, czym jest prawdziwy styl. Może wtedy, zawstydzeni, nie będą już zwlekać z płaceniem wystawianych im rachunków. „Firma to ja, Barbara”, mówiła sobie zabierając się za przygotowania do wspaniałego obiadu dla czternastu osób. A właściwie trzynastu, gdyż zdecydowała się wystąpić bez osoby towarzyszącej, co miało podkreślić jej samodzielność.

Starannie układała menu oraz listę zaproszonych gości. Chciała im udowodnić, że można zrobić coś znacznie lepszego niż tradycyjne dania. Było to zadanie trudne, lecz w wypadku sukcesu mogło przynieść jej duże korzyści. Lato dopiero się zaczęło i ambasadorowie, których zamierzała gościć, nie powyjeżdżali jeszcze na urlopy.

Zaprosiła nawet ambasadora Grecji, wkładając dodatkowo do koperty krótki liścik z prośbą o możliwość zrehabilitowania się za nieudaną imprezę sprzed paru miesięcy. Z radością dowiedziała się, że zaproszenie zostało przyjęte. Taką samą odpowiedź dostała od ambasadora Tajlandii, któremu regularnie dostarczała *pate* i który słynął jako smakosz i koneser dobrej kuchni, a także od państwa Fortunato – właścicieli jednego z najlepszych domów w Waszyngtonie, gdzie często bywali przedstawiciele

miejscowej elity.

Ze względu na reklamę zaprosiła też redaktora działu kulinarnego z „The Washington Post” wraz z małżonką. Nazywał się White, był autorem paru książek kucharskich, wśród których była publikacja zawierająca przepisy byłych szefów kuchni Białego Domu. Nie zdobyła się na wysłanie zaproszenia do któregoś z ministrów, zadowolając się podsekretarzem stanu w Pentagonie. Jego żonę знаła przelotnie ze spotkań rodziców dzieci uczęszczających do szkoły Sidwell Friends. Listę gości zamykali attache wojskowy ambasady francuskiej z małżonką – młoda i sympatyczna para obecna na większości bankietów wydawanych przez ich przedstawicielstwo dyplomatyczne.

Celem Barbary było wywarcie tak silnego wrażenia na gościach, żeby zaczęli o niej opowiadać i wyrobili jej dobrą opinię. To miało być pierwsze z całej serii przyjęć, istna kampania reklamowa. Dzieci wyjechały, miała więc trochę spokoju, mimo że napięcie między nią a Oliverem przybierało na sile. Pogodziła się z myślą, że będzie musiała z tym żyć, chociaż nauczka, którą dała mężowi, powinna raz na zawsze położyć kres jego podchodom. „Już niedługo się opamięta i odejdzie z mojego domu”, myślała.

Wszystkie dania przygotowywała, oczywiście, samodzielnie. Na początek *vichyssoise*, potem kraby, pieczeń wołowa a la Wellington z *pate de foie gras*, delikatna sałatka z rzeżuchy, pieczarek i cykorii, a na deser eklery z budyniem polewane gorącym sosem czekoladowym. Do przekąsek wybrała wino Chablis Grand Cru, z kolei przy daniu głównym zamierzała podać Saint-Emilion rocznik 1966, przy

deserze zaś – dobrego szampana.

Przez chwilę miała chęć włamać się do piwnicy z winem Olivera, ale w końcu oparła się pokusie. Za wszelką cenę musiała unikać konfrontacji. Poza tym to była jej impreza. Tylko jej i nikogo więcej. Chciała udowodnić samej sobie, że potrafi bez niczyjej pomocy wydać wspaniałą kolację. Sprawdziła stan chińskiej porcelany, przeliczyła srebrne nakrycia i kryształowe kieliszki. „Trudno – pomyślała – w interesach nie można nikomu ufać”.

Zrobiła długą listę potrzebnych składników: kraby, polędwica wołowa, ziemniaki, kapary, cykoria, pieczarki, jajka, czekolada i mnóstwo innych. Wyszukiwała towar w najlepszym gatunku. Nie mając na głowie dzieci, mogła spokojnie pracować, nie przejmując się Oliverem. Wydawało się, że schodził jej z drogi, co przyjęła z niejaką wdzięcznością. Przestała też myśleć o kłopotach finansowych. Odkryła, że realizacja tak ambitnego przedsięwzięcia daje jej mnóstwo przyjemności. Oto miała jasno wytknięty cel i na nim koncentrowała całą swoją uwagę. Wspaniałe uczucie wolności. Aby dobrze wypocząć, brała wieczorem silnie działający środek nasenny. W ten sposób noce mijały szybko, bez uciążliwych myśli o trudnościach i kłopotach. Wymyśliła również plan mający na celu zapobieżenie ewentualnej ingerencji Olivera. Tak na wypadek, gdyby lekcja z Bennym nie okazała się wystarczającą nauzką.

W dniu poprzedzającym kolację przeniosła do kuchni polowe łóżko. Chciała skończyć przygotowania i spędzić noc w kuchni, pracując do chwili zjawienia się trzech wynajętych

do pomocy osób. Uważnie obejrzała wszystkie zakupione produkty, łącznie z winem, szukając śladów sabotażu. Zadowolona z wyniku oględzin przystąpiła do pracy.

Z jakiegoś powodu w kranie nad stalowym zlewozmywakiem nie było zimnej wody. Podeszła do drugiego zlewozmywaka, gdzie dokonała identycznego odkrycia. Nie przejmując się przesunęła dźwignię zaworu na ciepłą wodę i z kranu połał się wrzątek, dotkliwie parząc ją w rękę. Krzyknęła z bólu. Nic takiego nie miało dotychczas miejsca. Gdy minął chwilowy szok, rozwiązała problem wrzucając do dużego garnka nagromadzone w zamrażarce kostki lodu, po czym użyła powstałej w ten sposób zimnej wody do umycia zgromadzonych produktów.

Gdzieś w zakamarkach jej umysłu zaświtała myśl, że to sprawka Olivera, ale nawet jeśli tak było w istocie, postanowiła zrealizować wszystko konsekwentnie i do końca. Ale gdy wirujące mieszadło miksera wystrzeliło nagle w powietrze muskając jej twarz, poczuła strach. Drżącymi palcami podniosła trzepaczkę, przyjrzała się uważnie nagwintowanej końcówce i zamocowała mieszadło z powrotem. „Może to moja wina – pomyślała. – Może nie dokręciłam tego dość silnie”.

Do pojemnika robota kuchennego włożyła nasadkę krojącą plastry i włączwszy urządzenie zaczęła wkładać przez otwór obrane ziemniaki. Z zadowoleniem patrzyła, jak cienkie płatki lądują na dnie przezroczystego naczynia. Ale gdy przekręciła pokrywę, co powinno automatycznie zatrzymać silnik robota, tarcza nie przestała wirować. Szybko przekręciła wyłącznik główny, ponownie bez rezultatu.

Wtedy rzuciła się do wtyczki, lecz ta nie dała się wyciągnąć z gniazdka.

Kiedy zastanawiała się, co z tym począć, w pomieszczeniu zrobiło się bardzo gorąco. Spostrzegła, że wszystkie płytki na elektrycznej kuchence są rozgrzane do czerwoności. Przekręciła regulatory, jednak widocznego efektu nie było. Skoncentrowała całą siłę woli, aby nie wpaść w panikę. Postanowiła zachować spokój, mimo hałasu wywołanego nieustannie wirującą tarczą robota. W końcu ze złością pociągnęła za kabel i robot spadł na podłogę, co spowodowało uwolnienie ostrej nasadki, która lecąc niczym pocisk uderzyła w okap, odbiła się rykoszetem od szafki, a potem wylądowała z brzękiem w zlewozmywaku.

Aby uniknąć uderzenia, Barbara rzuciła się na podłogę, a gdy wstawała, przewrócił się na nią stojak z nożami, które posypały się raniąc ją w uda. Biegając do zlewozmywaka niechcący przesunęła dźwignię kranu i znowu sparzyła sobie rękę. Kiedy ją gwałtownie cofnęła, trąciła włącznik urządzenia do prasowania odpadków, które zaczęło głośno pracować i nie dało się wyłączyć. Kiedy odsunęła się nieco dalej, nagle zaczął pracować wentylator zainstalowany w okapie i dwa elektryczne młynki stojące na półce. Sięgnęła do wtyczek i przypadkiem dotknęła rozgrzanego do czerwoności toster. Czerwone światelko zapłonęło w maszynie do kawy i kuchence mikrofalowej. Zmywarka do naczyń również rozpoczęła realizację włączonego niespodziewanie programu. Kuchnię ogarnęła przerażająca muzyka orkiestry, w której pierwsze skrzypce grała prasa do odpadków, z metalicznym chrobotem kręcących się,

najeżonych szpicami wałków.

. Plecy Barbary oblały się zimnym potem. Wszystkie elektryczne urządzenia w kuchni włączały się samoczynnie, jedno po drugim.

Kakofonia dźwięków uderzyła ją boleśnie. Krew z ran po spadających nożach zaczęła przesiąkać przez jej luźne spodnie. Oparzona ręka bardzo ją piekła, gdy biegła jak szalona po kuchni, co chwilę potykając się o garnki, patelnie, miski, gdy strącała z półek puszki i rozbijała talerze. Uderzyła głową w wiszące na okapie miedziane rondle i czując jak traci grunt pod nogami, chwyciła je, aby nie upaść, a one spadły prosto na nią przysparzając jej kolejnych guzów i siniaków.

Leżała na tym pobojuwisku krzycząc z bezsilnej wściekłości. Zebrawszy resztkę sił podczołgała się do drzwi prowadzących do piwnicy, chwyciła klamkę. Udało jej się wstać, lecz gdy ruszyła drewnianymi schodkami na dół, straciła równowagę i uderzyła się mocno w głowę. Harmider panujący w kuchni nie ustawał. Po omacku znalazła skrzynkę bezpieczników, otworzyła metalowe drzwiczki i nacisnęła główny wyłącznik, pogrążając cały dom w ciemności.

Leżała na zimnej posadzce piwnicy zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest już na tamtym świecie. W domu panowała niespotykana dotąd cisza, nie pracowało nawet urządzenie klimatyzacyjne. Bolało ją całe ciało, co wkrótce doprowadziło ją do wniosku, że jednak nie umarła. Coś spływało po jej policzkach, lecz w panujących ciemnościach nie mogła stwierdzić, czy to były łzy czy krew.

Próbowała wstać, ale nogi ugięły się pod nią i upadła na

plecy. W górze dostrzegła smugę dziennego światła, która przedostawała się przez niedomknięte drzwi. Z wysiłkiem wciągnęła się po schodkach. Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko. Omijając walające się naokoło przedmioty dokuśtykała do łazienki, żeby obejrzeć swoje poturbowane ciało. Na boku głowy widniało kilka siniaków, uda były poznaczone ciętymi ranami, na których krew zdażyła już zakrzepnąć. Miała też posiniaczone ramiona i oparzenia na dłoni.

Ból fizyczny był jednak niczym w porównaniu z ogarniającą Barbarę wściekłością. Nie miała wątpliwości, co się stało. Ten skurczybyk zmienił kuchnię w pełną ukrytych niespodzianek pułapkę. Przemywając rany płynem odkażającym, co dostarczyło jej nowych cierpień, nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o zemście. Już wtedy, gdy zamknęła Olivera w saunie, zdała sobie sprawę, że jest zdolna zabić. Bez oporów, bez poczucia winy, bez żalu. Czy on nie nastawał na jej życie, robiąc z kuchni śmiertelną pułapkę?

Po żądzy zemsty przyszła determinacja tak silna, jakiej nie czuła jeszcze nigdy w życiu.

– Nigdy mnie nie powstrzymasz – powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

* * *

Uporządkowała kuchnię, jak tylko umiała. Potem wzięła jego narzędzia z warsztatu i przy ich pomocy wyciągnęła zaklinowane w gniazdkach wtyczki odłączając wszystkie

urządzenia od sieci, z kuchenką elektryczną na czele. Jeden zlewozmywak ostał się bez uszkodzeń. Nie wezwała elektryka, bo nie było na to czasu.

Oceniwszy sytuację doszła do wniosku, że mimo wszystko zdoła przygotować kolację bez pomocy mechanicznego wyposażenia kuchni. Musiała jednak pójść do sklepu po ręczną maszynkę do mięsa oraz kilka tarek i noży do szybkiego krojenia w plastry.

– Do diabła z tą całą techniką – szepnęła patrząc na bezużyteczne sprzęty. Ostrożnie sprawdziła, czy jest sprawna kuchenka gazowa. Jakimś cudem działała bez zarzutu. Ucieszyła się, bo będzie jej potrzebowała, a zwłaszcza piekarnika.

Pracując do późna w nocy musiała z niechęcią przyznać, że techniczne urządzenia, które oszczędzały tyle czasu i wysiłku kobiecie podczas zajęć w kuchni, są jednak wspaniałymi osiągnięciami techniki. Zdała sobie sprawę, że – o ironio – większość z nich wymyślili mężczyźni, mimowolnie czyniąc z kobiet swoich wrogów. Utwierdzała się w niezłomnym postanowieniu pozostania niezależną, była dumna z własnych zdolności do stawienia czoła przeciwnościom losu.

Spała w ubraniu trzymając z jednej dłoni kuchenny tasak. Gdyby Oliver pojawił się w pobliżu, nie zawahałaby się użyć tej broni. Ta świadomość dziwnie ją uspokoiła. Słyszała, jak wrócił do domu, lecz nie zatrzymał się, tylko poszedł prosto na górę. Usłyszała stukot pazurów Benny'ego na marmurowej podłodze hallu. Aby zabezpieczyć się jeszcze bardziej, nad wszystkimi drzwiami kuchni rozpięła sznurki, na których

zawisły garnki i patelnie, które ostrzegłyby głośnym brzękiem, gdyby Oliver chciał przekroczyć próg jej królestwa.

Leżała z otwartymi oczami na połówce, nasłuchując. Niech no tylko wejdzie... Była gotowa.

Wstała skoro świt, dokończyła przygotowany zawczasu *foie gras*, wyrobiła ciasto, w które chciała zawinąć wołowinę. Potem napełniła foremki w kształcie muszli po małżach mięsem z krabów, tak że były gotowe do pieczenia. Wołowina dusiła się w piekarniku. Dopiero później zostanie pokryta warstwą *foie gras*, obłożona francuskim ciastem i udekorowana. *Vichysoise* czekał gotowy w lodówce.

Nie straciła głowy. Była z siebie naprawdę dumna, a gdy nadeszły wynajęte do pomocy osoby – dwóch kelnerów w białych rękawiczkach i jedna służąca ~ ogarnęła ją euforia zwycięstwa. „Nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych”.

M

* * *

Siedziała na honorowym miejscu przy stole jak przewodniczący magistratu. Ubrała się wytwornie, zamówiła też fryzjera do domu. W jej uszach wciąż dźwięczały zachwyty gości nad jej urodą. Czuli się duszą towarzystwa, żartowała swobodnie z siedzącym po jej prawej ręce ambasadorem Grecji i sąsiadującym z lewej dyplomatą z Tajlandii. Spodziewała się, że po zakończonym posiłku towarzystwo będzie wznosiło toasty na cześć jej pięknego wyglądu, osobistego uroku, a przede wszystkim zdolności kulinarnych. Pan White z „Washington Post” zadawał dużo

pytań dotyczących każdego dania i wydawał się zachwycony szczegółami, które podawała w odpowiedzi.

Czuła, że dom, jego umeblowanie, a także wspaniałe srebra i chińska porcelana leżące na stole wywarły na zebranych duże wrażenie. Pieczeń wołowa a la Wellington udała się znakomicie. Barbara wierzyła, że znalazła się pod szczęśliwą gwiazdą.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa – powiedziała głośno, gdy kelnerzy serwowali gościom plastry wołowiny. Robili to profesjonalnie, z dużym znanstwem francuskiej kuchni.

Barbara rzeczywiście nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czuła się bardziej szczęśliwa. „To jest pierwsze z wielu przyjęć, które jeszcze wydam – postanowiła. – Będę kimś więcej niż tylko właścicielką wspaniałej firmy gastronomicznej – fantazjowała. – Będę zapraszała dostojnych gości”. Miała dom, którego nie musiała się wstydzić, we własnej opinii była atrakcyjną i pełną osobistego uroku kobietą. Ponadto będzie, albo już była, jednym z największych kulinarnych autorytetów. Wkrótce prześcignie Julię Child, stanie się jednym ze światowych ekspertów w tej dziedzinie. Sławni ludzie będą rywalizowali między sobą, żeby być zapraszany na jej przyjęcia, jej książki kucharskie pojawią się w księgarniach całego świata.

Ambasador Grecji wbił widelec w delikatne mięso.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że pani jest tak niezwykłą kobietą. – Spojrzał na nią ze szczerym podziwem. Po raz pierwszy w życiu czuła się taka silna, pewna siebie. Wszystko sama wymyśliła, zorganizowała i wykonała. To

usprawiedliwia jej determinację w walce o dom. Zniesie wszystko, aby tylko osiągnąć swój cel.

Z przyjemnością patrzyła na gości – mężczyzn w czarnych smokingach i kobiety w drogich sukniach. Taka plejada znakomitości w jej domu! To oznaczało nie tylko nobilitację. Zawsze wiedziała, że jej dom ma w sobie coś niezwykłego, lecz dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego prawdziwej wartości. To nadawało sens jej prywatnej wojnie. W Waszyngtonie, a może i wszędzie indziej, ludzi ocenia się według specyficznych kryteriów: dzielnicy, w której mieszkają, wielkości domu, według jego wyposażenia. Dla kogoś takiego jak ona walka o realizację własnych ambicji oznaczała wstęp do prawdziwej wolności i kariery.

Ta myśl uspokoiła ją. „Może jednak uda się namówić Olivera do jakiegoś kompromisu?”, pomyślała. Czuła się teraz znacznie pewniej. Być może sama byłaby gotowa pójść na pewne ustępstwa. Musiał tylko zabrać się z domu. Jego obecność przygniatała ją, irytowała i nie dawała jej spokoju.

Ambasador Grecji wciąż do niej mówił, a ona bezwiednie potakiwała głową. Myślami była gdzie indziej. Powinna przekonać Olivera o tym, jak bardzo ten dom jest dla niej ważny. Było jeszcze sporo możliwości osiągnięcia kompromisu. Mimo wszystko Oliver był człowiekiem praktycznym, rozsądnym, nawet litościwym. Jej decyzja uderzyła w niego jak grom. Oboje zareagowali zbyt gwałtownie. A poza tym, czyż kiedyś nie byli w sobie zakochani?...

Nagle usłyszała skądś przytłumione szczekanie Benny'ego. Drgnęła zdenerwowana. Ten dźwięk oznaczał, że

Oliver jest gdzieś w pobliżu. Na krótką chwilę ogarnęła ją panika.

W napięciu nasłuchiwała zbliżających się kroków męża. Szczekanie trwało chwilę, potem stopniowo zamarło. Rozejrzała się po jadalni. Wszystkie trzy zatrudnione osoby były zajęte uprzążaniem ze stołu, przygotowując się do podawania deseru. Kelnerzy sprawnie, szybko i bez hałasu wykonywali swoją pracę. Zawodowcy w każdym calu.

A jednak poczuła się trochę zaniepokojona. Przeprosiła grzecznie gości i poszła do kuchni. Eklery leżały przygotowane na tacy, sos czekoladowy podgrzewał się na wolnym ogniu. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku.

– Czy coś się stało? – spytał jeden z kelnerów, zdziwiony jej obecnością.

– Dlaczego wszyscy wy szliście z kuchni? – Wiedziała, że musiało to zabrzmieć dość dziwacznie. Kelner, wysoki dystyngowany Murzyn, wydawał się zakłopotany. – Zresztą nieważne – powiedziała szybko, jeszcze raz omiatając wzrokiem pomieszczenie.

Wróciła do gości, których widok rozwiął jej podejrzenia. Usiadła. Kelnerzy nalewali do kieliszków deserowych szampana.

– Wszystko było naprawdę wyśmienite – szepnęła do niej żona ambasadora Tajlandii. Barbarę roznosiła duma, odsuwając na drugi plan niepokojące myśli.

Jeden z kelnerów nakładał na talerzyki gości eklery, a drugi polewał ciastka płynną czekoladą. Pan White z „The Washington Post” dał ręką znak pełnej aprobaty dla deseru,

pozbawiając Barbarę resztek wątpliwości. Wbiła w deser widelec. Sos czekoladowy okazał się trochę gęstszy, niż by sobie tego życzyła, ale budyniowe nadzienie było doskonałe.

Drgnęła na dźwięk postukiwania w kryształowy kieliszek. Ambasador Grecji wstał. Poza swoją oficjalną rezydencją dyplomatyczną przy Sheridan Circle okazywał się bardzo towarzyskim człowiekiem. Teraz, kiedy stał zadowolony, po zakropionym obficie świetnym winem, obfitym posiłku, na które złożyły się jedne z najlepszych – o czym była przekonana – i najlepiej przygotowanych dań, jakie można sobie wymarzyć, ubrany w czarny smoking, zdawał się wszem i wobec potwierdzać, że dom Barbary Rose jest jednym z najlepszych w Waszyngtonie. Jakie znaczenie miał fakt, że prawie wcale jej nie znał? Był zachwycony i nic więcej nie miało znaczenia. Jego toast był mieszaniną wzniosłych zachwyków i komplementów, które mile polechtały jej próżność. Jeszcze nikt nie zwracał się do niej w ten sposób.

– Nasza gospodyni to rzadko spotykana piękność, najwyższej klasy specjalistka w dziedzinie dobrej kuchni, kobieta o niezwykłej elegancji i wyszukanym smaku. – Słowa spływały na nią jak płatki róży. Czowała się cudownie. Pozostali goście również wstali przyłączając się do toastu ambasadora.

Kiedy skończył, odpowiedziała kilkoma pełnymi skromności zdaniem, których przedtem wyuczyła się na pamięć, a następnie zaprosiła wszystkich do biblioteki na kawę i koniak.

– Czy moglibyśmy się umówić na wywiad? – spytał

White. – To, co pani robi, wydaje mi się niezwykle interesujące.

Skinęła głową oblewając się rumieńcem. Wypadło okazać, że czuje się zaszczycona.

– Nie potrafię pani powiedzieć, jak bardzo się martwiłam z powodu tamtej przykrej historii – odezwała się do niej żona ambasadora Grecji nieco sztuczną angielszczyzną.

– Doprawdy nie spodziewałam się – powiedziała żona podsekretarza, całując ją lekko w policzek.

Kelner podsuwał panom cygara i wprawnym ruchem obcinał ich końce. Mężczyźni wdali się w dyskusję o polityce, panie rozmawiały o swoich sprawach. Gwar rozmów, znamionujący udane przyjęcie, bardzo ucieszył Barbarę.

Nagle kątem oka dostrzegła dziwny grymas na twarzy francuskiego attache, który szepnął coś kelnerowi, a ten szybko pokazał ręką w stronę hallu. Dyplomata pospiesznie wyszedł z biblioteki.

W tej samej chwili wstała żona ambasadora Grecji i spojrzała błagalnie na Barbarę. Ta w mig zrozumiała o co chodzi.

– Na pierwszym piętrze – powiedziała szybko. Obserwując wychodzącą kobietę. Barbara poczuła się lekko zaniepokojona.

Kiedy White wybiegł sprintem z biblioteki, niepokój Barbary jeszcze wzrósł. Z hallu dobiegło głośnie pukanie do drzwi znajdującej się tam, zajętej toalety. Kiedy przyszła zobaczyć, co się stało, ujrzała niezwykle bladą i napiętą twarz dziennikarza.

I – Czy dobrze się pan czuje?

– Błagam panią – wykrztusił.

– Na górę! W sypialni jest jeszcze jedna toaleta.

Patrzyła, jak pędzi po schodach, a gdy się odwróciła, ujrzała nadbiegającego ambasadora Tajlandii z wyrazem bólu na ciemnej twarzy. Straszna prawda zaświtała jej w głowie.

– Tu jest zajęte – zawołała. – Niech pan biegnie na trzecie piętro.

Jej uwagę odwrócił kobiecy krzyk.

– Jacques!

Kobieta pukała natarczywie w drzwi toalety. Uszu Barbary dobiegła seria przytłumionych francuskich przekleństw, wśród których wyraźnie padło słowo *merde*. Z biblioteki wyszli zwartą grupą pozostali goście i nieuchronnie ruszyli w jej stronę. Mówili coś podniesionymi głosami.

– Boże. Przepraszam – zawołała Barbara. – Proszę zrozumieć... to nie ja.

Nagle cały dom jakby ożył. Rozległy się dźwięki spuszczonej wody, otwieranych i zamykanych drzwi, pospiesznej bieżaniny. Ci, którzy nie mieli szczęścia, przebiegli obok Barbary i wydostali się na zewnątrz.

– Błagam, wybaczcie mi! – krzyknęła za nimi zrozpaczona. – Jezu! – Przerażona ruszyła do kuchni, przebiegła obok wystraszonych kelnerów, którzy ubrani w fartuchy gorliwie zmywali naczynia, i przez tylne drzwi wydostała się do ogrodu.

– Co się stało? – usłyszała za sobą wołanie jednego z nich.

Straciła poczucie kierunku. Przykucnąwszy za kępą azalii

przy ścianie garażu, usłyszała tuż obok siebie odgłos, który nie pozostawiał cienia wątpliwości. Niestety. Był to we własnej osobie Jego Ekscelencja Ambasador Republiki Grecji. W świetle księżyca jaśniały jego obnażone pośladki. Powoli odwrócił głowę w jej stronę. Jego kamienna twarz nie zdradzała żadnej myśli.

– Pani – odezwał się kiwając głową z zagadkowym uśmiechem.

– Ratunku! – krzyknęła odwracając się od niego. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Siedziała w tym ukryciu bardzo długo. Czuła się jak sparaliżowana, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu. Wciąż obserwowwała dom. Dopiero gdy była pewna, że wszyscy już poszli, znalazła w sobie dość siły, aby ruszyć się z miejsca. Wstając poczuła, jak wypełnia ją mściwa żądza odwetu. Gdyby Oliver był teraz w pobliżu, z przyjemnością by go zadusiła gołymi rękami. Rozglądając się po opuszczonym ogrodzie, zobaczyła w świetle księżyca pokrowiec otulający ferrari, widoczny przez okno garażu.

Jakby wiedziona zewnętrznym, niezależnym od jej woli nakazem, weszła do garażu bocznymi drzwiami. Powoli zdjęła z samochodu pokrowiec, następnie podniosła fiberglasowy dach, który ostrożnie położyła na boku. Sam Oliver pokazał jej, jak to robić. Kiedy kupił ferrari, pozwalał jej nim jeździć, ale nie dawało to jej wielkiej przyjemności. Takie auto było zabawką dla mężczyzn.

Wyjęła ze skrzynki na narzędzia śrubokręt i odkręciła pokrywkę, pod którą mieścił się mechanizm otwierający i zamykający drzwi garażu. Unieruchomienie systemu

zabezpieczającego je przed zamknięciem na wypadek, gdyby poniżej znalazła się jakaś przeszkoda, zajęło jej tylko chwilę. Kiedyś te drzwi niemal zmiażdżyły Mercedes i po tym wypadku Oliver wyjaśnił jej zasadę działania systemu zabezpieczenia. Drzwi były ciężkie, solidne. Myśli towarzyszące pracy wprawiły ją w dobry humor. Już wiedziała co robi. Skoncentrowana przystąpiła do dzieła. Kiedy wszystko było gotowe, posłużyła się wiszącym na ścianie pilotem do zdalnego otwierania drzwi i wykonała próbę. Drzwi opuściły się i uniosły. Zwolniła ręczny hamulec ferrari, przesunęła dźwignię zmiany biegów na luz i popchnęła lekkie auto, zatrzymując je w otwartych drzwiach garażu. „Waży niecałe półtorej tony – wyjaśnił jej Oliver. – I ma tylko metr dwadzieścia wysokości”.

Nacisnęła guzik oznaczony strzałką w dół i jej usta mimowolnie ułożyły się w zjadliwy uśmiech. Ciężkie drzwi opadły na bezbronny samochód. Z radością wsłuchiwała się w chrzęst gnieczonego metalu, jakby to była najpiękniejsza muzyka. Kilkakrotnie podnosiła i opuszczała drzwi, które działały niczym wielki młot. Kiedy zniszczenie było kompletne w jednym miejscu, popychała samochód kawałek dalej i zaczynała od nowa. Kolumna kierownicy była powyginana, kierownica pękła, deska rozdzielcza rozsypała się na kilkanaście kawałków. Po każdym uderzeniu drzwi przechodził ją radosny dreszcz. Nigdy jeszcze nie doznała tak dzikiej rozkoszy. Dała się ponieść temu nowemu uczuciu, tej czystej, niczym nie zakłóconej radości. Z lubością naciskała guziki pilota.

Kiedy uniesienie powoli ustąpiło, wepchnęła pojazd z

powrotem do garażu i zamknąwszy drzwi zawiesiła pilota na przeznaczonym dla niego haczyku.

To, co zrobiła, wróciło jej pewność siebie, tak że czuła się już na siłach wrócić do domu. „Przynajmniej teraz – pomyślała – będę mogła cieszyć się w spokoju”.

Rozdział 23

Oliver siedział w swoim gabinecie popijając kawę i zagryzając pączkiem, który przyniosła nieoceniona pani Harlow. Posepnie wpatrywał się w okno. Był pewien, że uszkodzenie kuchennych urządzeń zniechęci Barbarę do wydawania tego idiotycznego przyjęcia. Poświęcił na to całą noc. Ona nie miała prawa robić wystawnej kolacji, którą finansowała z pieniędzy uzyskanych za skradzioną mu porcelanową figurkę. A jednak nie. zrezygnowała i tym samym sprowokowała go o podjęcia kolejnej akcji.

Oliver cieszył się jak dziecko, gdy ukryty w cieplarni czekał na właściwy moment, a potem wrzucił do czekoladowego sosu potężną dawkę środka na przeczyszczenie. Gdyby następnie nie poszedł do kina, może ocaliłby ferrari, chociaż wcale nie był tego pewien. Kiedy ujrzał rano samochód, chciało mu się płakać, ale nie uronił ani jednej łzy. Mógł się spodziewać takiej reakcji Barbary. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów wyrzucone na śmietnik. W dodatku sam nauczył ją, w jaki sposób obsługiwać niszczycielskie narzędzie. Musiał przyznać, że świetnie to wymyśliła.

Nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, żeby ona tak bardzo się zmieniła. Zresztą on również stał się innym człowiekiem. Własne czyny zaskakiwały go w równym stopniu co postępowanie żony. Najtrudniej przyszło mu pogodzić się z jej ostentacyjnym demonstrowaniem własnej siły i niezależności. Czuł się tym poniżony.

– Są ludzie, do których nic nie dociera, dopóki nie odczują tego na własnej skórze – powtarzał jej często, opowiadając o różnych konfliktach, z jakimi miał do czynienia w swojej pracy zawodowej. Goldstein określiłby to jednym słowem: *hucpa*, które Oliver rozumiał bez tłumaczenia. Urządzenie wystawnego przyjęcia za pieniądze uzyskane – według litery prawa – z kradzieży, było ostentacyjną bezczelnością. To samo tyczyło się niepłaconych rachunków za świadczenia. A dokonane z premedytacją zniszczenie jednego z cudów techniki naszego stulecia...

Poczuł, jak zawartość żołądka podchodzi mu do gardła. Gwałtownym ruchem odstawił filiżankę na spodek. Na jego biurku zebrało się już kilkanaście listownych upomnień od zakładów energetycznych. Podarł wszystkie. Przedstawiciele tych firm zaczęli wydzwaniać do niego do pracy, ale kazał mówić, że go nie ma.

- Odetną panu dopływ prądu – ostrzegła pani Harlow.
- Jej też – odparł.
- Będzie pan bez światła, bez klimatyzacji.
- Ona również.

Dzieci zaczęły pisać listy z obozu. Dotknęło go, że otrzymywał je zaadresowane do pracy, jakby dom nie był już jego własnością.

„Proszę, żebyście pisali do mnie na adres domowy. To mój dom, płacę za jego utrzymanie i nie zamierzam tego zmieniać”.

Czytając napisane do nich słowa pomyślał, że brzmią trochę brutalnie, lecz nie podarł listu. Chciał być dobrze

zrozumiany. We własnej opinii wciąż był głową rodziny. Zastanawiał się, co jeszcze napisać, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Inne sprawy zaprzętały jego myśli. Poprzestał na włożeniu do koperty dwóch czeków.

Nie rozstawał się z listą zinventaryzowanego majątku i każdego wieczoru sprawdzał, czy Barbara nie zabrała czegoś, co stanowiło ich wspólną własność. Z kolei ona wciąż przylepiała mu na drzwiach karteczki z jednorazowymi informacjami, które po pewnym czasie zaczęły się powtarzać. Zwłaszcza te o nieuniknionym odcięciu ich domu od elektryczności, gazu i sieci telefonicznej.

„Ty płacisz świadczenia”, nabazgrał na skrawku papieru i nalepił go na drzwiach jej sypialni.

Żyjąc teraz z dnia na dzień, Oliver zmienił sposób patrzenia na świat. Inaczej pojmował mijający czas. Potrafił myśleć jedynie w kategoriach terażniejszości. Odrzucał wszystko, co wymagało przewidywania choćby tylko na kilka chwil naprzód. W wyniku tego nie przejmował się wcale groźbą odcięcia dopływu energii. Nic nie było w stanie go poruszyć.

Anna kilkakrotnie telefonowała do niego do pracy. Celowo rozmawiał z nią oficjalnym tonem, choć musiał przyznać, że mu jej brakowało. Teraz zdecydowany był jednak na życie w samotności.

– Jak się miewasz? – pytała Anna.

– Jakoś sobie daję radę – odpowiadał. Kiedyś nienawidził tego wyrażenia. „Dawać sobie radę” oznaczało być na pograniczu wytrzymałości.

– Dzieci regularnie do mnie piszą – powiedziała mu. –

Czują się dobrze, ale martwią się o was.

– Nie powinny.

– Ja też jestem niespokojna.

– Niepotrzebnie.

– Tęsknię za tobą, Oliverze – mówiła **szeptem, na** co on zwykle szybko kończył rozmowę.

Pewnego wieczoru wrócił do domu i stwierdził, że panuje w nim dziwna cisza. Nie było słyhać znajomego pomruku klimatyzatora, co mogło oznaczać tylko jedno: odcięto im dopływ prądu. W domu czuło się już wilgoć parnego lata. Barbara specjalnie nie otwierała okien, aby powietrze w domu nie ogrzało się zbyt szybko.

Oświetlając sobie drogę zapalkami zszedł do warsztatu, skąd zabrał dwie latarki i podszedł na górę. Wtedy przypomniał sobie o winie. Kiedy temperatura wzrośnie, czerwone, a nawet białe wino może ulec zepsuciu. Zupełnie wyleciało mu to z głowy. Zdenerwowany tym przeoczeniem obiecał sobie, że zajmie się winem następnego dnia. Winem, które było kolejną, niewinną ofiarą ich wojny. Aby opanować wzburzenie, postanowił napić się drinka i ruszył do biblioteki.

Drewniane gałki na drzwiach palety, którą przerobił na barek, nie chciały się obracać. Oliver pomyślał, że widocznie drewno napęczniało pod wpływem zwiększonej wilgotności powietrza. Odłożył latarkę i chwyciwszy gałkę, szarpnął mocno przytrzymując ręką drzwi, ale pozostały zamknięte. Szarpnął jeszcze raz i wtedy usłyszał skrzywienie gdzieś u podstawy niemal trzymetrowego barku, który zaczął się powoli przechylać i przygniatać Olivera swoim ciężarem.

Zapał się mocno i próbował zatrzymać przewracający się mebel. Nie było już ucieczki. Usłyszał brzęk rozbijających się wewnątrz butelek. Wykonując szybki obrót udało mu się przerzucić cały ciężar na swoje barki. Z wysiłkiem próbował wyprostować ugięte nogi.

Na chwilę zdołał zatrzymać upadek barku, a nawet popchnął go trochę do tyłu. Był jednak uwięziony. Mięśnie bolały go coraz bardziej. Wiedział, że nie wytrzyma długo w tej pozycji. Kiedy opadnie z sił, przygniecie go olbrzymi ciężar, chyba że w ostatniej chwili uda mu się uskoczyć w bok, co było mało prawdopodobne. Pot zalewał mu twarz, powodując pieczenie oczu.

– Na pomoc! – krzyknął. Nagle przypomniał sobie niedawną przygodę w saunie. „Nie mam żadnych szans – pomyślał. – Pieprzona dziwka”. Postanowił się nie poddawać. Co chwilę przenosił ciężar na inne mięśnie, lecz w końcu ból w ramionach stał się nie do wytrzymania. Mimo niebezpieczeństwa, które było jak najbardziej realne, czuł się trochę śmiesznie. Niedługo będzie musiał wykonać desperacki skok i pogodzić się z ryzykiem ciężkiej kontuzji spowodowanej przez upadający mebel.

Po kolei słabły mięśnie jego ramion, pleców, w końcu z ledwością utrzymywał się na drżących nogach. Chciał wołać o pomoc, ale zreflektował się: „Kto mnie usłyszy? Komu na mnie zależy?”

– Cholera jedna – wymamrotał przez zaciśnięte zęby. Może złość doda sił jego słabnącym mięśniom? Oddychał ciężko. Wiedział, że już długo nie wytrzyma. Olbrzymi ciężar coraz bardziej przygniatał go do ziemi. Kolana zaczęły się

pod nim uginać. Zbierając resztki sił przygotowywał się do skoku. Jednak właśnie sił mu zabrakło. Opadł na kolana. Ramiona potwornie go bolały. Myśl, że ten wypadek może się skończyć jego kalectwem, a nawet śmiercią, wywołała w nim gwałtowny bunt. To oznaczałoby przecież ostateczne zwycięstwo Barbary. Wściekłość, która go nagle ogarnęła, dodała mu energii. Poczł jakąś nadprzyrodzoną moc w mięśniach. Skoncentrował wszystkie siły i skoczył.

Nie uniknął jednak kontuzji. Berek opadając zatrzymał się na pantoflu – a dokładniej: na ustawionej bokiem podszewie – wykręcając Oliverowi nogę w kostce. Przeszył go straszny ból. Był jeszcze na tyle przytomny, że szybko rozwiązał sznurowadło i uwolnił stopę z uwięzionego w pułapce buta.

Spod przewróconego mebla wyplnęła kałuża whisky wsiąkając w ubranie Olivera i roztaczając dookoła ostry zapach alkoholu.

Jeśli Barbara znajdowała się w swoim pokoju, musiała usłyszeć głośny łomot towarzyszący upadkowi barku. Nie miał złudzeń co do motywów, które nią kierowały. Ta pułapka nie była zastawiona dla kawału. Wpadnięcie w nią groziło śmiercią. Podczołgał się w kierunku Benny'ego, który przestraszony hałasem znalazł się w bibliotece, a teraz polizal swojego pana gorącym jęzorem po twarzy.

– Kochany, stary Benny – szepnął Oliver obejmując brzydko pachnącego psa. Ta woń była mu jednak miłsza od duszących oparów alkoholu, którym był przesiąknięty.

Stanął ostrożnie na zdrowej nodze i małymi skokami dobrnął do telefonu. Z ulgą stwierdził, że aparat nie został jeszcze odłączony. Wezwał taksówkę i pokuśtykał na

zewnątrz.

– Ma pan szczęście, że kości są całe – powiedział do niego czarnoskóry lekarz w izbie przyjęć kliniki Washington Hospital Centre. Kręcąc głową dodał: – Powinien pan skończyć z piciem. To się często kończy jakimś wypadkiem.

– Ja nie piję.

– Śmierdzi pan jak gorzelnia.

Nie było sensu udzielać wyjaśnień. Czy ktokolwiek by mu uwierzył? Wziął zastrzyk ze środkiem znieczulającym i wrócił do domu.

Zanim położył się spać, przykleił na drzwiach Barbary kartkę. Był jeszcze osłabiony, więc nabazgrał niezręcznie: „Radzę ci uważać”. Podobnie jak Barbara, zostawił kartkę bez podpisu.

Obudził się zlany potem. Bolały go wszystkie mięśnie, czuł się zmęczony, rozbity. Noga w kostce pulsowała rwącym bólem. Przy wyłączonej klimatyzacji stęchłe powietrze wisiało nieruchomo w pokoju.

– Czy to ja, czy nie ja? – zadał sobie pytanie. W zakamarkach umysłu szukał jakiegoś potwierdzenia własnej tożsamości. Wyszpełtał swoje imię, numer polisy ubezpieczeniowej, datę urodzenia, nazwę swojej firmy, adres domowy, imiona dzieci. „To wszystko nieważne”, pomyślał. Z niejakim rozbawieniem zdecydował, że ta masa obolałego ciała, leżąca w liczącym dwieście lat łożu z baldachimem, to jednak nie on.

On był przecież czterdziestoletnim mężczyzną o nazwisku Oliver Rose, który miał dwójkę wspaniałych dzieciaków – Ewę i Josha – a także cudowną, wierną, piękną i kochającą

żonę – Barbarę.

Barbara. To imię zabrzmiało jak muzyka. Kochana Barbara. Co się z nią stało?

Żył z osobą, którą kochał przez prawie dwadzieścia lat, a okazało się, że ona istniała tylko w jego i wyobraźni. Tak bardzo chciał wymazać ze swojej i pamięci ją i wspólnie spędzone lata, cały fałsz, z ja – \ kim odgrywała przed nim swoją rolę.

Wstał i rozsunął zasłony, wpuszczając do pokoju promienie wstającego słońca. Otworzył okno. Z rozczarowaniem stwierdził, że powietrze na zewnątrz jest cieplejsze niż w domu. Już zapomniał, jak bardzo gorące może być waszyngtońskie lato, W pokoju czegoś brakowało. Benny'ego. Zgubił się gdzieś podczas wydarzeń ostatniej nocy. Wychylając się przez okno Oliver zawołał psa i nasłuchiwał znajomego szczekania. Nie martwił się, bo Benny potrafił dać sobie radę w każdej sytuacji.

Kiedy szedł do łazienki, niechcący przeniósł ciężar ciała na chorą nogę i przewrócił się wyjąc z bólu. Dopiero po jakimś czasie zebrał dość sił, aby wstać. Popatrzył na odbicie swojej zniszczonej twarzy w lustrze i poczuł się dziwnie wolny, oswobodzony. To było niezwykle. Zastanawiał się, jaka może być przyczyna tego doznania. Po raz pierwszy od chwili, gdy . Barbara zdruzgotała go swoim bezlitosnym oświadczeniem, pozbył się wszelkich złudzeń i wątpliwości. To była wojna totalna. „Ta pieprzona dziwka nie spocznie, dopóki mnie nie wykończy. Niedoczekanie jej!” Nadeszła chwila prawdy.

Wciąż stojąc przed lustrem, zwinął dłoń w pięść i

pomachał nią przed swoją twarzą. Jego nienawiść pozbawiona była żywiołowej emocji. Stał się zimny, wyrachowany i już wiedział, co zrobi. Zadzwoił do pani Harlow.

– Biorę kilkudniowy urlop – powiedział sekretarce.

– Dobrze to panu robi – odparła. Przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się nad jej słowami.

– Sam nie wiem, co dobrze mi robi – wycedził i odłożył słuchawkę.

Rozdział 24

Paleta na broń w bibliotece nigdy się Barbarze nie podobała. Olbrzymia i ciężka, była w jej oczach symbolem męskiej manii wielkości. Z radością podpiłowała przednie nogi mebla i zacementowała drzwiczki.

Była jednak rozczarowana znikomymi skutkami wypadku Olivera. Może nie przemyślała pułapki tak dobrze, jak powinna. Działała z entuzjazmem równym temu, z jakim Oliver dokonał „przeróbek” w kuchni i zatrzał serwowane przez nią potrawy. To, co zrobiła z ferrari, uznała za wynik nagłej inspiracji. Naturalnie znała się na mechanice i narzędziach gorzej od męża. Nadszedł czas, aby pójść na całego, wyzbyć się resztek zahamowań. Była gotowa całkowicie poświęcić się walce. Weźmie na siebie ten ciężar. I tak dużo już zniosła. Według niej Thurmont był tylko zwykłym dusigroszem.

Dom był pusty, dzieci wyjechały na obóz, miała więc duże pole manewru. Przyrzekła sobie, że wykurzy stąd Olivera albo umrze.

Pułapka w bibliotece, chociaż nie zadziałała tak, jak powinna, była ostrzeżeniem. Widziała z okna, jak Oliver skacząc na jednej nodze wgramolił się do taksówki, a więc nie odniósł dużych obrażeń. Potem usłyszała go, gdy wchodził kuśtykając po schodach.

Noc była strasznie parna i Barbara otworzyła wszystkie okna. Nie była przyzwyczajona do odgłosów miejskiego ruchu, które docierały teraz do sypialni. Hałasy, gorąco i

niepokój, z jakim nasłuchiwała kroków Olivera, nie pozwalały jej spać. O brzasku wstała z łóżka i wzięła prysznic. Od razu poczuła się lepiej.

Kiedy cichutko zamykała drzwi, zobaczyła przyklejoną na nich kartkę od Olivera. Zerwała ją i dopisała szminką: „Piekło jest już blisko”, po czym nakleiła papier na drzwiach męża.

Z pantoflem w ręku zeszła ukradkiem do kuchni. Wyjęła z zamrażarki wciąż twardy jak kamień *pate* i *galantine*, które zaniósła do samochodu. Pomyślała, że zamiast wyrzucać na śmietnik, może je podarować swoim klientom, przynajmniej tym, na których mogła jeszcze liczyć. Gości obecnych na tamtej pamiętnej kolacji spisała na straty. Nie mogła przeboleć poniżenia i wstydu, miała tylko nadzieję, że nikomu z nich nie będzie musiała więcej spojrzeć w oczy. Pozostali klienci powinni dobrze zapamiętać jej hojność. Trudności zdawały się dopingować ją do bardziej przemyślanego działania.

I tak przez kilka najbliższych tygodni niewiele się wydarzy, przynajmniej w jej firmie. Latem większość ludzi opuszczała Waszyngton, zwłaszcza od połowy lipca do końca sierpnia. Poza tym miała teraz na głowie ważniejsze sprawy.

Chociaż nie miała zwyczaju uprzedzać wydarzeń, przeniosła do swojego pokoju puszki zjedzeniem oraz to, co zostało w bezużytecznej już lodówce. „Tak na wszelki wypadek”, powiedziała sobie, dumna z własnej przebiegłości. „Na wypadek czego?”, zreflektowała się po chwili. Ta wątpliwość nie wpłynęła jednak na uczucie przemożnego samozadowolenia.

– Wyjeżdżam na jakiś czas – powiedziała właścicielowi supermarketu, który przyjął *pate* z wielką radością i ucałował ją w obydwie policzki. Odwiedzenie reszty klientów zabrało jej trzy godziny.

Kiedy wróciła, weszła do domu tylnymi drzwiami. Ostrożnie, jakby stąpała po minowym polu, dostała się zapasowymi schodami na piętro. Powiedziała sobie, że musi być nieustannie czujna. Być może Oliver jest w domu.

Na drzwiach swojego pokoju znalazła nową informację, tym razem napisaną na kawałku tektury z opakowania po koszuli. Zauważyła, że z jego drzwi zniknęła przyklejona przez nią wcześniej kartka.

„Sama tego chciałaś”. Słowa napisane były niedbałym, podobnym do lekarskiego charakterem pisma. Drzwi sypialni były lekko uchylone, a z wnętrza wydobywał się jakiś nieprzyjemny zapach. A więc potwierdziło się to, czego była pewna już od dawna: Oliver dorobił sobie klucz do jej pokoju, co wyjaśniało, w jaki sposób wykonał sztuczkę z „Valium”.

Kiedyś postanowiła sobie, że nic, co on zrobi, nie będzie w stanie jej zadziwić. A jednak, gdy weszła do pokoju, musiała zmienić zdanie. Oliver przeszedł samego siebie.

Metodycznie, jedną po drugiej, pootwierał wszystkie puszki, które przyniosła do sypialni, i wyrzucił ich zawartość do wanny, umywalki i sedesu. Jedzenie zaczęło się już psuć i śmierdzieć, a sam jego widok przyprawił Barbarę o mdłości. Zła była na siebie, że nie przewidziała tego, co się właśnie stało. Mimo wszystko stłumiła w sobie złość. Nie da ponieść się nerwom. „Spokój”, powiedziała sobie. Okna były

pozamykane. Podeszła, aby je otworzyć, lecz klamki nie dawały się obrócić. Sprawdziła je dokładnie. Drań zacementował wszystko na amen.

Nie namyślając się, jednym z trzymanyh w ręce pantofli na wysokim obcasie wybiła jak młotkiem wszystkie szesnaście szybek, potem ostrożnie, przez chusteczkę wyciągała pozostałe w ramie kawałki szkła i rzuciła je w krzaki. Nie wiadomo dlaczego Oliver powkładał opróżnione puszki z powrotem do kartonów. Może chciał uchronić przed zniszczeniem cenne meble i dywany? Uśmiechnęła się na tę myśl, bo pojęła, że to, co zrobiła z barkiem w bibliotece, musiało doprowadzić go do rozpacz. Wobec tego jego zemsta wcale nie była dotkliwa, raczej śmieszna i żalсна.

Niemal podśpiewywała radośnie idąc do łazienki, aby posprzątać. Chciała to zrobić jak najszybciej, lecz znowu nie doceniła Olivera, który zamknął dopływ wody. „Bardzo sprytnie”, pomyślała. Oczywiście wiedziała, gdzie jest główny zawór. Kiedy zeszła na dół, zobaczyła, że zawór wcale nie jest zakręcony, co mogło oznaczać tylko jedno: Oliver zablokował rury doprowadzające wodę do jej sypialni.

Krany w kuchni działały normalnie. Napęlniła wszystkie garnki i ostrożnie zaniósła je na górę, wylewając następnie wodę do wanny. I znowu spotkała ją przykra niespodzianka: rury ściekowe także były zablokowane.

To odkrycie zakłóciło jej dotychczasowy spokój. Mimo że do pokoju wlatywało świeże powietrze, zapach był wciąż nieprzyjemny. Zrozumiała, że nie wytrzyma tu zbyt długo. Noszenie garnków z wodą porządnie ją zmęczyło i pot oblewał jej ciało. Przebrała się w dzinsy i podkoszulek.

Żadnej bielizny ani obuwia. Oto jej połowy mundur. Zasalutowała patrząc na siebie w lustrze.

Zarzuciwszy na plecy dużą płócienną torbę na zakupy zeszła na dół, gdzie włożyła do niej różne potrzebne rzeczy, a więc latarkę, zapalki, chleb, ser, herbatniki. Następnie wyszukała największy i najostrzejszy z kuchennych tasaków. Tak wyposażona ruszyła do warsztatu Olivera. O dziwo pomieszczenie było otwarte. Wrzuciła do torby młotek i śrubokręt, po czym wolno, systematycznie opróżniła wszystkie poustawiane na półkach pojemniki, w których leżały starannie posortowane różne śrubki, nakrętki, podkładki, gwoździe i nity.

W głębi serca wiedziała, że zawsze pragnęła zniszczyć panujący tu porządek, który grał jej na nerwach. Oliver nazywał to miejsce swoją oazą. To wspomnienie dodało ognia jej niszycielskiej pasji. Odcięła wszystkie kable od elektronarzędzi, a większość pozostałych rzeczy wrzuciła do wielkiej beczki z olejem.

We wszystkim, co robiła, była jakaś logiczna konsekwencja, taka jak w wymiarze sprawiedliwości. Potrafiła nawet usprawiedliwić moralnie swoje postępowanie, przypomniawszy sobie często powtarzane przez Olivera zdanie, podobno myśl Hemingwaya: „Moralne jest wszystko to, co poprawia ci samopoczucie”. A ona czuła się wspaniale.

Robiło się ciemno. Świecąc latarką wchodziła po schodach, rozsypując na nich gwoździe i wkrety z dwóch ocalałych pudełek.

„Każda przeszkoda jest bronią”, pomyślała, bardzo z

siebie zadowolona.

W drodze na drugie piętro minęła jego pokój. Kartki na drzwiach już nie było. A więc Oliver opuścił swoje królestwo.

Cicho poszła do byłego pokoju Anny. Łóżko w kształcie sań z łatwością dało się przesunąć do drzwi. Położyła się na gołym materacu i czekała trzymając w zaciśniętej dłoni tasak, którego chłodne ostrze przyłożyła do policzka. Miała nadzieję, że Oliver spróbuje ją zaatakować. Była gotowa. Tylko na to czekała.

Rozdział 25

W migotliwym blasku świec Oliver widział długi rząd butelek z winem, które wyniósł z piwnicy. Wypił już Grand Vin de Chateau Latour rocznik '66, zagryzając camembertem znalezionym w nie działającej lodówce. Teraz otworzył butelkę tego samego wina z 1964 roku. „Zdecydowanie gorsze”, pomyślał smakując wolno trunek. Przechylił flaszkę i pociągnął kilka głębokich łyków.

Był w samych szortach, lecz mimo to strasznie się pocił. Przez otwarte okno słyszał odgłosy miasta, które żyło swoim rytmem także w nocy: czasami klakson przejeżdżającego samochodu, pisk opon, czyjs głośny krzyk. Pomyślał o tym, co zrobił z puszkami w pokoju Barbary. Zostawił po sobie niezgorszy chlew. Roześmiał się głośno.

„Oczywiście będą jeszcze inne miłe niespodzianki”, powiedział sobie. Dopił wino i potoczył butelkę pod łóżko. Wcześniej szukał Benny'ego. Tęsknił za nim, potrzebował go, jak przyjaciel potrzebuje przyjaciela. Chciał mu wszystko opowiedzieć. Benny zawsze go rozumiał. Oliver wychylił się przez okno i zawołał:

– Benny, wracaj, ty stary byku!

Rano musi zadzwonić do schroniska dla zwierząt. Raz czy dwa razy Benny zawędrował tak daleko, że złapał go jakiś hycel.

– Obiję ci grzbiet. Potrzebuję cię, a ty się wybrałeś na wycieczkę. I to właśnie teraz, gdy masz być przy mnie.

Wiedział, że jest pijany. Ale teraz życie w trzeźwości

straciło sens. Tak jak wszystko.

Wziął następną butelkę i z latarką w ręce wyszedł ostrożnie na korytarz. Przyłożył ucho do drzwi Barbary. Przez szparę między drzwiami a futryną wydobywał się obrzydliwy smród – efekt jego niedawnej działalności. Oliver był pewien, że wykurzył Barbarę z sypialni. Ich sypialni. Pierwsze zadanie zostało wykonane. Uczcił zwycięstwo kolejnym łykiem wina prosto z butelki. Następnie wszedł do pokoju Ewy, pomajstrował trochę przy jej przenośnym radiu i wyszukawszy najbardziej agresywną muzykę rockową nastawił odbiornik na pełną głośność. Eksplozja dźwięków zalała pogrążony w ciszy dom. Zajrzał do pokoju Josha, aby się upewnić, że jest pusty, i postawił na korytarzu radio, z którego usunął pokrętła do regulacji siły dźwięku. Wiedział, że Barbara nie cierpi muzyki rockowej jeszcze bardziej niż on sam. „Dobrej zabawy, dziwko”, mruknął z satysfakcją.

Trzymając się mosiężnej balustrady z trudnością dzierżył latarkę i butelkę z winem. Opróżnił ją duszkiem, po czym cisnął gdzieś w kąt. Ostrożnie zszedł do biblioteki, która wciąż śmierdziała alkoholem. Berek leżał na podłodze niczym jakiś olbrzymi potwór. Oliver wzruszył ramionami. Nie ma sensu opłakiwać ofiar wojny, zwłaszcza, że po nich będą następne. Kuśtykając wyszedł do hallu, minął kuchnię i zaczął schodzić do warsztatu.

Chociaż czuł się oszołomiony wypitym winem, przekonywał sam siebie, że nie stracił motywacji do działania, którego jedynym celem było wypędzenie Barbary z domu. Z jego domu. Trzymając wysoko latarkę, aby oświetlała schody, stanął na ich szczycie. Ruszył zdrową

nogą naprzód i uderzył w coś boleśnie. Stracił równowagę. Nie mogąc uchwycić jakiegoś oparcia zjechał po schodach w ślad za upuszczoną wcześniej latarką. Poczul bolesne ukłucia, gdy porzucane na schodach ostre, metalowe przedmioty wbijały się w jego skórę.

Latarka rozbiła się pograżając otoczenie w ciemności. Utrata równowagi i ból szybko otrzeźwiły Olivera. Zorientował się, że leży u wejścia do warsztatu. Przejechał dłonią po swoim ciele, w którym tkwiły metalowe zadziory. Krwawił. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, zaczął rozpoznawać sprzęty w warsztacie, ujrzał też zniszczenia, jakich dokonała Barbara. Na czworakach dobrnął do sauny, podciągnął się chwyciwszy drewnianą rączkę i otworzył drzwi. Po omacku wczołgał się do środka.

Poczul się jak w czarnej dziurze. Spoczął na drewnianej ławie ze świadomością, że nie wyjdzie stąd, dopóki światło poranka nie rozproszy ciemności w warsztacie. Jeszcze raz zbadał ręką poturbowane ciało i ponownie wyciągnął z niego kilka ostrych przedmiotów.

W wyobraźni słyszał dobiegające z oddali dźwięki rockowej muzyki. Fakt, że zakłócił spokój Barbarze, trochę go pocieszył, chociaż mimo wszystko miał do siebie żal. Poprzednia euforia już minęła. Przeklinał własną głupotę, że nie przewidział kolejnego świństwa. Widocznie wciąż jeszcze myślał o niej jak o kobiecie, którą ongiś poślubił, a nie jak o wstrętnej żmii, którą się stała.

Szok wywołany upadkiem wzmógł czujność Olivera. W myślach dokonał przeglądu całego domu, każdego zakamarka, szczeliny, każdej rury i przewodu. Z pewnością

znał dom lepiej niż ona. Jeśli miał się stać bronią – niech tak będzie. Mógł wymyślić i zrealizować tysiące pomysłów, które uprzykrzyłyby życie Barbarze. Dom należał do niego, a więc był jego zaufanym sojusznikiem. Razem będą z nią walczyć. .. Nic w życiu nie ma wartości, jeśli się o to nie walczy", powiedział sobie dla dodania odwagi. Będzie jej potrzebował tak samo jak cierpliwości.

Pot spływał po jego ciele. Od czasu do czasu otwierał drzwi, żeby sprawdzić, czy robi się widno. Ta noc ciągnęła się w nieskończoność.

Kiedy nadszedł świt, opuścił saunę i wszedł do zdemolowanego warsztatu. Miał już wszystko obmyślane. Zaczął szukać tego, co mu było potrzebne i ze zdziwieniem odkrył, że pojemniki z silikonem oraz duża puszka ze smarem zostały nienaruszone. Leżały tam gdzie zawsze.

Wziął jedno i drugie, a także łom, który miał mu służyć chyba tylko jako broń. Lawirując między poprzewracanymi urządzeniami doszedł do schodów, z których zgarniał dłonią, stopień po stopniu, rozrzucone tam metalowe przedmioty i wydostał się na górę. Kulejąc szedł korytarzem, a gdy mijał wiszące na ścianie w hallu lustro, spojrzął na własne odbicie i szybko odwrócił głowę. Wyglądał strasznie, był zmęczony, nie ogolony.

Rozbite radio leżało u podnóża schodów na piętrze. Widocznie Barbara bezlitośnie rozprawiła się z martwym przedmiotem, który nie dawał jej spać. Trzymając się poręczy Oliver wszedł na drugie piętro. Przypuszczał, że Barbara przeniosła się do pokoju Anny.

Łomem powyciągał gwoździe z listwy przytrzymującej

chodnik, który pokrywał schody, i zwinął go odkrywając gołe drewno. Nie spiesząc się spryskiwał każdy stopień silikonem, a gdy ten się skończył, na pozostałe deski położył warstwę smaru.

Mimo że robił to wszystko mając za całe ubranie szorty, czuł się jak profesjonalista, który starannie wykonuje swoją robotę. W jego sytuacji mogło to równie dobrze oznaczać pisanie konspektu lub dyktowanie pani Harlow jakiegoś listu. To, co robił, było konieczne, było niezbędnym działaniem mającym na celu zmiękczenie twardego uporu Barbary. Pomyślał, że to wszystko byłoby do uniknięcia, gdyby tylko ona nie była tak zaciekła i nierozsądna. Nie miał wyboru. Kiedy wykonał postawione sobie zadanie, wspiał się tylnymi schodami na samą górę i wbił drewniany klin w drzwi uniemożliwiając ich otwarcie, po czym wrócił do swego pokoju, aby odpocząć, jak robotnik, który przychodzi zmęczony z pracy. Pomyślał, że należy mu się za to łyk czegoś dobrego, więc otworzył butelkę Lafite-Rotshild rocznik '59. W końcu była to chwila niezwykła. Wypiwszy wino położył się bezwładnie na łóżku. Wydało mu się, że słyszy dobiegające gdzieś z oddali znajome szczebanie Benny'ego. To przypomniało mu, że powinien zadzwonić do schroniska dla zwierząt. W słuchawce nie było sygnału centrali. Wściekle szarpnął wyrywając sznur ze ściany i cisnął przez pokój aparat, który rozleciał się na kawałki uderzając o podłogę. Oliver odkorkował kolejną butelkę wina i wlał w siebie jej zawartość.

Zbudził się, przerywając jakiś koszmary sen i z początku nie wiedział, czy wciąż jeszcze śni, czy wrócił już na jawę. W pokoju było ciemno i strasznie gorąco. Oliver leżał w kałuży śmierdzącego potu. Wygramolił się z łóżka i chwiejnym krokiem poszedł do łazienki, czując, że zbiera mu się na wymioty. W gardle czuł jakby pałący ogień. Wsadziwszy głowę pod kran przekręcił kurek, ale bez rezultatu: wody nie było. Wrócił do pokoju, gdzie otworzywszy butelkę polał winem rozpaloną głowę, potem przepłukał nim usta, a w końcu pociągnął duży łyk. To nieco go uspokoiło. Zapalił świecę i podszedł do lustra, a przejrzawszy się, zrozpaczony, pokręcił głową. Podkrążone oczy, zarośnięta twarz, poznaczony ranami tors.

Otwierając drzwi na korytarz miał nadzieję, że znajdzie Barbarę leżącą bez przytomności u podnóża schodów. Już przedtem czuł rozczarowanie faktem, że z dołu nie dobiegły żadne okrzyki przestrochu i bólu. Tego pragnął bardziej niż czegokolwiek: słuchać jak ona wyje z bólu.

Stojąc w korytarzu odniósł dziwne wrażenie, skądś mu już znane, lecz przez chwilę nie potrafił go sprecyzować. Nagle zorientował się, że z kuchni dochodzą znajome zapachy gotowanych potraw. Zważywszy okoliczności, pomysł robienia obiadu wydał mu się dość niezwykły.

Wtem odwrócił się jak dźgnięty nożem. Na jego drzwiach wisiała nowa kartka. Równe, staranne pismo znamionowało opanowanie: „To nie może ciągnąć się bez końca, Oliverze. Musimy porozmawiać. Spotkajmy się w jadalni o dziewiątej”.

Ta wiadomość sprawiła, że nagle poczuł spływającą na niego falę spokoju. Przez chwilę poczuł nawet wstyd, który szybko zmienił się w nadzieję. Może ten koszmar dobiega końca? Może Barbara zaczęła myśleć trochę rozsądniej? Przeczytał kartkę jeszcze raz. Oczywiście. Taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Jakby na potwierdzenie jego myśli duży zegar w hallu wybił dziewiątą. Przypomniawszy sobie, że nie jest ubrany, wrócił do pokoju i nałożył szlafrok. To powinno wystarczyć na rozejmowe negocjacje.

Rozdział 26

Anna zapisała się na kurs wakacyjny bardziej po to, żeby usprawiedliwić swój pobyt w mieście, niż zdobywać wiedzę na egzamin magisterski. Chodziła na zajęcia tylko dlatego, że za nie zapłaciła. Myślami była jednak cały czas przy rodzinie Rose'ów, a zwłaszcza przy Oliverze.

Poza telefonami do pracy, dzięki którym mogła usłyszeć jego głos i sprawdzić, w jakim jest nastroju, nie podejmowała innych prób kontaktu. Powiedziała sobie, że udało się jej doświadczyć pięknego, choć nieodwzajemnionego uczucia. Było ono żywiołowe, młodzieńcze, a co gorsze – jednostronne. Anna nie uważała siebie za głupią geś. Chciała sprawdzić, czy Oliver za nią tęskni. Złościło ją, że stała się niewolnicą emocji, obsesji, która nieustannie zaprzętała jej myśli. Lecz nie znalazła w sobie dość silnej woli, aby odrzucić natrętne uczucie. To było jakby ciężące nad nią przekleństwo. Lecz najbardziej mierzył ją fakt, że miała pewną nadzieję związaną z rozwodem Rose'ów: gdyby do niego doszło, być może Oliver wolałby czyjaś miłość od obojętności. Ona, Anna, uczyniłaby go szczęśliwym. Kochała jego dzieci. Każdego dnia czekała na telefon. Od niego. Ale czekała daremnie. Wysłała list do dzieci, parę razy rozmawiała z Ewą.

– Czy widzisz mamę i tatę? – pytała dziewczyna.

– Tak, czasami – skłamała Anna.

– Dostałam listy od niej i od niego – wyznała niechętnie Ewa. Anna wyczuła w jej głosie troskę i żal. – Największym

moim i Josha problemem jest: co zrobić z **Dniem Rodziców?**
– dodała zaniepokojona.

Anna obróciła wszystko w żart, chciała ją uspokoić, dlatego nie podjęła tematu.

– Powinnam być w domu – nie ustępowała Ewa. – Źle się stało, że wysłali mnie z domu.

– To sprawa między nimi, Ewo. Sami muszą dojść do porozumienia.

– Wiem, ale czuję, że powinnam być przy nich. Oni mnie potrzebują.

– Sami dadzą sobie radę – powiedziała bez przekonania Anna.

Minęły dwa tygodnie, a Oliver nie dał znaku życia. Zadzwoiła do jego biura i dowiedziała się, że wziął urlop. Zastanawiała się, dlaczego dzieci nie wspomniały o tym w listach, które nadchodziły regularnie i wyrażały coraz większy niepokój Ewy i Josha o rodziców.

Po długim namyśle zdecydowała się zatelefonować do domu Rose'ów. Nagrany na taśmie głos poinformował ją, że abonent został odłączony od sieci. Przygotowawszy sobie kilka niewinnie brzmiących pytań, zadzwoniła do Goldsteina i Thurmonta. Oni także byli na wakacjach.

Nie potrafiła zapanować nad ciekawością. Dlaczego nie zawiadomili dzieci? Ta zagadka nie dawała jej spokoju i prowokowała do snucia różnych przypuszczeń. Nie mogła usiedzieć bezczynnie. Pewnego popołudnia wybrała się Connecticut Avenue w kierunku Kalorama Circle. Z zewnątrz dom wyglądał tak jak zwykle, wspaniale. Obeszła go i znalazłszy się w ogrodzie zajrzała przez szybę do garażu.

Drgnęła na widok ferrari, który był już tylko kupą złomu. Furgonetka Barbary i honda Ewy stały na swoich miejscach. Nic z tego nie zrozumiała. Może się już pogodzili i wyjechali na wspólne wakacje? Lecz w jaki sposób uległ zniszczeniu ukochany ferrari Olivera? Jednak chwilę później postawiła sobie najważniejsze pytanie: gdzie oni są?

I dlaczego nie piszą do dzieci?

Wróciła przed front domu, gdzie spotkała chłopca rozwożącego „Washington Star”, którego знаła przelotnie.

– Odwołali subskrypcję – wzruszył ramionami.

– To znaczy, poprosili o niedostarczanie gazety przez jakiś czas? – dopytywała się Anna.

– Nie. W ogóle wycofali zamówienie – odparł chłopak rzucając gazetę przed drzwi sąsiada.

Nie zrażona tą wiadomością weszła na stopnie i uderzyła kołatką w drzwi, co zwykle powodowało uruchomienie przyjemnie brzmiącego gongu. Cofnęła się kilka kroków. Spojrzała na górne okna, ale zasłony były szczelnie zaciągnięte, tak jak na dole. Znowu zastukała kołatką, zaczekała chwilę i odeszła. Chciała zawiadomić policję, lecz zmieniła zdanie. Na zgłoszenie zaginięcia było jeszcze za wcześnie.

Rano zadzwoniła do pani Harlow.

– Bardzo mi przykro, ale pan Rose jest na urlopie – powtórzyła sekretarka.

– Dzieci bardzo się niepokoją – odparła Anna.

– I ja również.

– Dzwoniły tutaj. Szczerze pani powiem, że sama też jestem zaniepokojona.

– A co się dzieje z Barbarą?

– Dzwoniłam do tego supermarketu, gdzie dostarczała swoje wyroby. Powiedziano mi, że wyjechała na wakacje. – Przerwała na chwilę. – Czy pani sądzi, że się pogodzili i razem gdzieś wyjechali?

– Być może – rzekła Anna. Sama w to nie wierzyła. Wszystko to nie miało sensu. Zastanowiła się, czy nie wspomnieć o ferrari, lecz zarzuciła ten pomysł. „To nie moja sprawa”, pomyślała i zakończyła szybko rozmowę.

Po nieprzespanej nocy, wcześniej rano wróciła pod ich dom. „Washington Post” nie został dostarczony, co oznaczało, że dom stoi pusty. Niewielu mieszkańców stolicy zaczynało dzień bez tej gazety.

Już chciała wracać, gdy nagle spostrzegła coś, od czego nogi wrosły jej w ziemię. Po raz pierwszy w oknach sypialni nie odbijały się promienie wschodzącego słońca. Przyjrzała się uważniej. W ramach nie było szyb.

„Może zostały wybite przypadkowo?”, pomyślała. Puste domy często bywały nawiedzane przez różnych wandalów. Ale żeby powybijać wszystkie szesnastce szyb w obydwu oknach?

Nie potrafiła myśleć o niczym innym. Po południu wróciła w to samo miejsce. Długo stała w cieniu drzewa po przeciwnej stronie ulicy i obserwowała dom. Powoli zapadały ciemności, zapłonęły uliczne latarnie. Lecz w domu nie zapaliło się żadne światło. Wciąż miała wątpliwości i jeszcze raz zastukała do drzwi. Potem wróciła do YWCA.

Kilka dni później zadzwoniła do Ewy.

– Nie mam od nich wiadomości już od dwóch tygodni –

powiedziała Ewa. W jej głosie dało się wyczuć zdenerwowanie. – Żadnych listów ani telefonów. Nic nie rozumiem.

– Wszystko jest w porządku – skłamała Anna. – Widziałam się z nimi wczoraj. Oboje mają się dobrze.

– Więc dlaczego nie piszą i nie dzwonią?

– Ojciec wyjeżdżał, a mama jest bardzo zapracowana. Ma mnóstwo zamówień.

– Oni nigdy tak nie postępowali. Czy już przestali nas kochać? – Ewa uderzyła w płacz. – Dzień Rodziców już w przyszłym tygodniu. Anno, ja się boję.

– Przechodzą teraz ciężki okres. Musisz się uzbroić w cierpliwość. – To zabrzmiało jak małe ostrzeżenie. Anna nienawidziła siebie za to, że została zmuszona do kłamstwa. Ewa odłożyła słuchawkę wciąż płacząc.

To rzeczywiście było do nich niepodobne: do tej pory nigdy nie zapominali o dzieciach. Byli jednak w takim stanie, że wszystko stało się możliwe.

Wciąż pełna obaw Anna jeszcze raz wybrała się do ich domu. Czowała się dość głupio, uderzając z całej siły kołatką w drzwi. Tak jak przedtem, w domu panowała cisza. Przyłożyła ucho do grubych drewnianych drzwi i usłyszała jedynie tykanie wielkiego zegara w hallu. Dłużej nie umiała opanować zdenerwowania. Bała się powiedzieć Ewie prawdę: albo rodzice świadomie zerwali wszelki kontakt ze światem zewnętrznym, albo też zaginęli. Zaginęli. Na myśl o tym przeszedł ją dreszcz.

Dopiero w nocy przyszło jej do głowy oczywiste pytanie: kto nakręcał zegar? Wydała stłumiony jęk. Trzęsąc się leżała

w łóżku i próbowała doszukać się w tym wszystkim jakiejś logiki. Może to gospodarz? Albo ktoś inny, kogo wynajęli, żeby pilnował domu w czasie ich nieobecności? Tylko po co nakręcać zegar? Postanowiła wyjaśnić tę sprawę do końca.

Wczesnie rano wróciła na Kaloramę. Położyła kilka gazet na trawie pod drzewem po przeciwnej stronie ulicy i przez cały dzień nie ruszała się z miejsca. Nic się nie zmieniło. Mijały ją samochody, a kierowcy spoglądali ciekawie. Lecz Anna wytrwała w swoim postanowieniu, chociaż czuła się trochę niezręcznie w roli wartownika czy też obserwatora. Sama nie wiedziała, na co czeka. „Chyba na Godota”, pomyślała śmiejąc się z własnej głupoty. Odgrywała rolę w napisanej przez siebie sztuce z pogranicza absurdu. Dziwne, ale mimo całkowitej beczynności poczuła się zmęczona i powieki same się jej zamykały. Gdy ponownie otworzyła oczy, od razu zauważyła, że coś uległo zmianie. Z bijącym sercem przyjrzała się fasadzie domu. Czarne okiennice w oknach sypialni były zamknięte. Wstała i popatrzyła przez chwilę, następnie przebiegła na drugą stronę ulicy i znowu uderzyła mocno kołatką w drzwi. Gong odezwał się echem w hallu. Potem nastąpiła cisza.

– Oliverze! Barbaro! – zawołała. – To ja, Anna!

Słuchała przystawiając ucho do drzwi. Z wnętrza dobiegało jedynie miarowe tykanie zegara.

Z domu stojącego obok wyszła sąsiadka. Spojrzała na Annę.

– Zdaje się, że wyjechali na wakacje – powiedziała z nutką przygany w głosie. – A zresztą, to nie moja sprawa – dodała i wróciła do domu.

Wszyscy mieszkańcy tej okolicy cierpieli na kompleks odosobnienia. Każdy żył swoim własnym życiem. Anna wiedziała, że się nie pomyliła: ktoś przecież zamknął okiennice, a więc ktoś musiał być w domu. Postanowiła dostać się do wnętrza, nie chciała jednak, żeby ktoś ją zauważył i wziął za włamywaczkę. Cierpliwie czekała do zmroku.

Żelazne kraty uniemożliwiały wejście przez okna na parterze. Przeszła na tyły domu i nacisnęła klamkę drzwi prowadzących do piwnicy i warsztatu Olivera. Były zamknięte na klucz od wewnątrz.

Przypomniała sobie o drabinie, którą Oliver trzymał w garażu. Wyniosła ją i przystawiła do tylnej ściany domu. Wspiąwszy się kilka szczebli w górę, zajrzała do cieplarni. Księżyc w trzeciej kwadrze dawał trochę światła, a jej oczy szybko przywykły do ciemności. Znajome pomieszczenie wydawało się w najlepszym porządku. Puste doniczki stały rzędem przy ścianie tuż pod oknem. Pantoflem rozbiła szybę i ostrożnie wyjęła kawałki szkła. Kiedy wchodziła do środka, ostra krawędź skaleczyła ją w kolano. Aby uniknąć powiększenia rany, wykonała gwałtowny ruch i niechcący potrąciła drabinę, która spadła na ziemię.

Kolano bolało ją, ale rana nie okazała się głęboka. Szybko o niej zapomniała i powoli ruszyła do kuchni. Było tam tak ciemno, że z trudnością rozpoznawała kształty sprzętów. Posuwała się bardzo ostrożnie.

Prawie natychmiast spostrzegła, że coś tu nie gra. Zdawało się, że wszystkie przedmioty są nie tam, gdzie powinny, jedynie „wyspa” z szerokimi blatami była na swoim

miejscu. Anna szła po omacku, wyciągniętymi daleko przed siebie rękami szukała drogi. Nagle coś wyłoniło się z ciemności tuż przed nią. Sznurek. Pociągnęła go, a wtedy na jej głowę posypały się garnki i rondle, lądując z głośnym, świdrującym uszy brzękiem na podłodze. Krzyknęła i spróbowała odbiec kilka kroków, lecz potknęła się i wylądowała na ziemi. Wszystkie sprzęty w kuchni zmieniły swoje miejsce. Wstała i ruszyła korytarzem do hallu. Lecz gdy tylko stanęła na marmurowych płytach, pośliznęła się, wyrzuciła i przejechała kilka metrów po śliskiej podłodze. Nie mogła wstać, bo cała powierzchnia była pokryta jakąś oleistą substancją, uniemożliwiającą utrzymanie się na nogach.

Może w innych okolicznościach przypomniałaby sobie dziecinne igraszki w lunaparku, ale to, co działo się w tym domu, wcale nie było śmieszne, lecz przerażające, niepojęte. Prawo ciężenia jakby przestało istnieć. Nadludzkim wysiłkiem doczołgała się do kuchni. Lekko trąciła coś ramieniem, a wtedy jakiś olbrzymi przedmiot zaczął walić się na nią całym ciężarem. Lodówka. Anna uskoczyła w bok w ostatniej chwili, unikając ciężkiego wypadku. Krzyknęła rozpaczliwie, zastanawiając się, czy przypadkiem nie postradała zmysłów.

Po omacku znalazła klamkę drzwi prowadzących do piwnicy, otworzyła je i szukając ręką poręczy zrobiła krok naprzód. Jej nogi zawisły w powietrzu. Schodów nie było. Cudem nie upadła, obejmując mocno ramionami ocalałą poręcz. Instynktownie zaczęła szukać nogami jakiegoś oparcia i oparłszy je o ścianę zdołała ucześcić się rami

schodów. Ostrożnie zsunęła się tak daleko, jak to było możliwe i skoczyła na cementową podłogę. W samą porę. Czowała się kompletnie wyczerpana, a mięśnie były już na granicy wytrzymałości.

Poturbowana i o krok od hysterii miała przerażona Anna doczołgała się jakoś do drzwi, które jednak okazały się zaklinowane. Znalazłszy drewniany klin próbowała go wyciągnąć, siedział jednak bardzo mocno.

Była pewna, że znalazła się w nieznanym, dziwnym, nierealnym świecie. Wszystko w tym domu było nastawione przeciwko niej, przerażało ją do granic wytrzymałości. Ale to nie miało sensu: może znalazła się w domu dla obłąkanych albo grała rolę w jakimś sennym koszmarze. Leżała na podłodze ciężko dysząc, osłabiona strachem.

< Usłyszała jakiś dźwięk. Czyjeś kroki ponad sobą! Instynkt samozachowawczy kazał jej rozejrzeć się uważnie po wnętrzu. Niektóre ciemne przedmioty wydawały się znajome. Tak, była w warsztacie Olivera, lecz wszystko wyglądało tak, jakby przeszedł tędy huragan. Zaczęła szukać jakiegoś narzędzia, którym dałoby się usunąć tkwiący w drzwiach klin. W pobliskim rogu znalazła duży kowalski młot. Wstała i spróbowała go unieść. Strach dodał jej sił. Niespodziewanie wykrzesła z siebie dość energii, żeby podnieść narzędzie nad głowę i uderzyć nim mocno w drzwi. Wstrząs obluźował klin i drzwi stanęły otworem. Wybiegła do ogrodu. Otwierając furtkę zreflektowała się. Mimo przerażenia musiała tam wrócić.

Ujrzała go przez rozbite okno cieplarni. Wyglądał jak zjawa. Był straszliwie wymizerowany, nieogolony,

podkrążone oczy patrzyły tępo przed siebie. Nie wiedziała, czy się go bać, czy mu współczuć. I to miał być Oliver jej marzeń? Ten Oliver, którego obdarzyła miłością?

 Nie czekała, żeby się o tym przekonać.

Rozdział 27

Barbara włożyła dziesięć świec do srebrnego rokokowego świecznika. Nigdy dotąd tego nie robiła. Oświetlony blaskiem ogników stół w jadalni wyglądał prześlicznie. Płomienie tańczyły i migotały odbijając się w polerowanym blacie z mahoni. Po obu końcach stołu Barbara położyła srebrne nakrycia oraz także puchary i talerze. Na talerzu Olivera znajdowała się już godziwa porcja *pate* i kilka grzanek.

Zdecydowała się zorganizować to spotkanie, w jadalni, która leżała na jej terytorium. Doprowadziła się do porządku jak mogła najlepiej i teraz czekała na niego zajmując honorowe miejsce przy stole. Sięgnęła do torby, która leżała przy jej prawej nodze i dotknęła chłodnego ostrza tasaka. Poczowała się odważniejsza, silniejsza, pewna siebie. „Najważniejsze są podstawowe środki obrony”, powiedziała sobie.

Z początku obawiała się, że Oliver nie przyjdzie. Może jej zaproszenie za bardzo przypominało wezwanie? Mimo to przygotowała się do spotkania. Zegar w hallu wybił dziewiątą i Barbara wyteżyła słuch, spodziewając się odgłosu kroków męża.

Zobaczyła Olivera niemal w tej samej chwili, w której go usłyszała. Miał na sobie szlafrok, który kupiła mu na piętnastą rocznicę ślubu, a może na szesnastą. Z przyjemnością stwierdziła, że nie pamięta. Ich wspólne życie coraz bardziej zacierało się w jej pamięci. Przeszłość traciła

znaczenie. Oliver niósł naręczne butelek wina i duży łom. Ustawił butelki rzędem przed swoim nakryciem, otworzył dwie z nich i posunął jedną w jej stronę. Oboje równocześnie nalali wino do pucharów, po czym Oliver uniósł swój kielich.

– Twoje zdrowie, kochanie – powiedział naśladowując głos Noela Cowarda. Przyjęła toast i ostrożnie pociągnęła łyżeczek wina, podczas gdy on opróżniwszy swój puchar napelnił go ponownie. Barbara cały czas trzymała dłoń na ręczce tasaka.

– Ostatnia butelka z rocznika 1959 – odezwał się Oliver.
– W złych warunkach szybko traci na wartości.

– Mimo to wciąż jest doskonałe, Oliverze. Nie utraciło mocy ani unikatowego smaku: półsłodkie, a zarazem półwytrawne.

Odstawiwszy puchar Oliver pochylił się nad talerzem i powąchał *pate*. Nabrał trochę, delikatnie rozsmarował na grzance i skosztował.

– Wspaniale. Nikt nie potrafi zrobić takiego *pate* jak ty.

– Zawsze miałeś wybredne podniebienie znawcy – uśmiechnęła się zadowolona, że smakuje mu jej wyrób.

Ponownie wziął puchar, napił się i jadł dalej. Patrzyła na jego nieogoloną twarz w migocącym świetle. Wyglądała upiornie, jakby była odlana z wosku. Cienie odmłodziły jego rysy i ujrzała go takim, jakim był w latach młodości. Odrzucała od siebie ten wizerunek, nie cierpiała go, zwłaszcza teraz.

– Mam nadzieję, że zdałeś już sobie sprawę z faktu, że ja nie ustąpię.

Kiedy unosił kielich, jego ręka drżała.

– Zaprosiłaś mnie, żeby mi to powiedzieć? – spytał

unosząc brwi. Nie tego się spodziewał.

– Jestem w stanie znieść wszystko, co przeciw mnie wymyślisz. Wszystkie świństwa i prowokacje.

– I tylko dlatego teraz rozmawiamy?

– Nie – powiedziała dobitnie. – Mam dla ciebie propozycję.

– Zamieniam się w słuch – odparł dolewając sobie wina.

– Pozwolę ci zabrać połowę rzeczy, które znajdują się w domu, wyłączając to pomieszczenie i kuchnię, a także meble w pokojach dzieci. Bierz książki, obrazy, porcelanę.

– Cóż za hojność – ironizował.

– Możesz to zrobić teraz, ale musisz wynieść się z domu. To dla ciebie naprawdę korzystna oferta.

Pocierając podbródek udawał, że się namyśla.

– Na inne ustępstwa nie pójdę – oświadczyła.

– Dom pozostanie mój.

Rozejrzał się po jadalni i machnął ręką.

– I to też.

– I to też – powtórzyła. – Sądzę, że to wyjątkowo uczciwa i rozsądna propozycja. Nie będą nam potrzebni adwokaci. Załatwimy to sami.

– Tak, sami – odparł gorzko. Barbara patrzyła na niego zimno, zadowolona, że powiedziała mu wszystko jasno, wyraźnie, bez owijania w bawełnę. Nie brakło jej odwagi ani determinacji.

– Ja się nie boję – powiedziała. – Jeśli to będzie konieczne, gotowa jestem stawiać czynny opór do końca.

Obserwowała, jak Oliver popija *pate* winem i unosi wzrok na sufit. Miał pot na policzkach. Świece znacznie

podniosły temperaturę w jadalni. Wstawszy Oliver zdjął szlafrok i z gołym torsem usiadł znowu przy stole.

– A ja gotów jestem zwalczać ten twój opór. Też do końca. To jest mój dom. Ja za niego płaciłem. I nawet jeśli sąd zadecyduje inaczej, znajdę sposób, żeby go odzyskać.

– Po moim trupie.

– Mam nadzieję. O ile uda mi się nie ponieść za to kary.

Dotknęła chłodnej powierzchni tasaka.

– Nie zdołasz mnie zastraszyć – powiedziała spokojnie. Napila się wina i dołała sobie kolejną porcję.

– To stadium przerobiliśmy już dawno temu, Barbaro.

– Nie mogę zrozumieć... – przerwała na chwilę pociągając łyk wina. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak trudno ci zrozumieć moją sytuację. Przecież inni też się rozwodzą. Nie musiałeś tu zostawać. Mogłeś uniknąć wszystkich tych... nieprzyjemności.

– Ależ to wcale nie jest nieprzyjemne – zaśmiał się Oliver. – Powiedziałbym, że raczej dość interesujące.

Pokręcił głową.

– Podły z ciebie drań.

– Ja po prostu nie zamierzam nagrodzić cię za to, że jesteś wstrętną dziwką, która zniszczyła naszą rodzinę. Ludzie nie powinni otrzymywać nagród za dokonane przez siebie zniszczenia.

– W kółko ta rodzina i rodzina. Dlaczego mam żyć w więzach formalnej instytucji, której nienawidzę, która niszczy moje życie? – Uderzyła ręką w stół, aż brzęknęły talerze, a świecznik zachwiało się mocno. – Chcę się wydostać na wolność i uzyskać rekompensatę za wszystkie poświęcenia.

Jego twarz błyszcząca od potu. Uśmiechnął się zimno.

– Kiedy się z tobą ożeniłem, byłaś zwykłą gówniarą, bez żadnych życiowych perspektyw. To dzięki mojej przedsiębiorczości zamieszkałaś w tym domu. Za moje pieniądze kupiliśmy te wszystkie rzeczy. Moja pomoc i wsparcie pozwoliły ci zostać doskonałą specjalistką w dziedzinie kuchni. Gdyby nie ja, mieszkałabyś w jakiejś ruderze w Nowej Anglii, gotując ziemniaki dla pośledniego urzędniczyny.

– Jestem ci wdzięczna do śmierci – rzuciła.

– Nie zamierzam opuścić tego domu – krzyknął. Barbara mocniej chwyciła trzonek tasaka. – Nic nie będzie rozdzielone, tylko my.

– W takim razie moje sumienie jest czyste.

– Ty nie masz sumienia.

Patrzyła na niego i nagle ogarnęło ją współczucie dla męża. Tak jak ona sama był ofiarą losu. Miłość – to niewyjaśnione do końca pojęcie – oszukała ich oboje.

– Nic już da mnie nie znaczysz, Oliverze – powiedziała smutno. – Nic a nic. Czuję do ciebie wstręt.

– No proszę. A ja dopiero pracuję nad nienawiścią.

– Moja nienawiść już się skończyła. Zbyt długo z nią żyłam. To zresztą nie jest twoja wina. Po prostu, niestety, zjawileś się w moim życiu, niewłaściwy człowiek w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Bardzo cię proszę, Barbaro, nie mów mi, że jestem niewinny. Potrzebuję nienawiści tak samo jak ty. Inaczej nie miałbym motywacji do walki.

Dotarł do niej sarkazm jego słów, ale nie znalazła w nich

nic zabawnego.

– Spójrz na to inaczej – powiedziała. – Przynajmniej dzieci nie uczestniczą w naszych podchodach.

– Dzieci? Zupełnie o nich zapomniałem.

– Ja też.

– Chyba mają się dobrze.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość. Cieszę się, że ich tu nie ma.

– Widzisz? Jesteśmy jednak oboje cywilizowanymi ludźmi. – Uniósł kielich. Ona zrobiła to samo. – Ludzie się nie liczą, Barbaro. Tylko przedmioty. One są lojalne, prawdziwe, nie uciekają. Z biegiem lat nawet zyskują na wartości, w przeciwieństwie do ludzi, którzy robią się coraz gorsi. – Uśmiechnął się do niej. Był już dobrze wstawiony.

– Może masz rację – ucieła. – Wobec tego chyba wycofam swoją propozycję.

– A potem wystarczy, żebyś wzięła połowę wartości. W gotówce. I to całkiem pokaźną sumę. A potem się wynoś i sprawa załatwiona. *Fini*.

– Prędzej piekło obrośnie lodem.

– Przy takim upale to raczej niemożliwe.

– W takim razie musimy chyba walczyć do końca, prawda?

– Za to właśnie wypiję. – Wychylił puchar i otworzył kolejną butelkę. Przeczytał widniejący na etykiecie napis.

– Chateau Beycheville, rocznik '64. Myślę, że dla nas to był dobry rok.

– Tylko dla ciebie, Oliverze. Nie dla mnie.

Pociągnął łyk prosto z butelki, potem dla nadania

znaczenia swoim słowom wycelował nią w Barbarę.

– Masz się stąd wynieść – powiedział. – To mój dom.

– Wyjałeś mi to z ust, Oliverze – odparła zimno.

– Mam do niego więcej praw niż ty – krzyknął.

– Tylko nie mów mi o prawach.

– Kocham go bardziej niż ty. On mnie się należy. Ty go nie kochasz.

– Nie muszę wysłuchiwać tych bzdur.

– I nie możesz zabrać mi wszystkiego. Musisz mi coś zostawić.

– Robisz się sentymentalny.

Wyczuła narastającą w nim złość.

– Jesteś bezwzględna egoistką. **Podłą obrzydliwą** kurwą.

– Pracowałam na ten dom i będę o niego walczyć.

Wlał w siebie resztę wina z butelki, której pozwolił upaść na podłogę. Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

– Dzięki za *pate* – wycharczał.

– Nie dziękuj mnie – urwała, aby się upewnić, że jej słucha. – Podziękuj Benny'emu.

– Benny'emu?

Oparł się o ścianę i przytrzymał ręką, żeby nie upaść.

Pochylił się, lecz po chwili z wysiłkiem stanął prosto i przyglądał się jej nienawistnie. Wyczuła, co chciał zrobić, jeszcze zanim się poruszył, unosząc rękę uzbrojoną w łom. Szybko sięgnęła po torbę, przytrzymała ją kurczowo przy piersi i wstała przewracając krzesło. »

Łom opadł z wielką siłą na świecznik, który poleciał na podłogę. Oliver po kolei gasił palące się jeszcze płomyki stając na każdym z nich.

Zapadła ciemność. Barbara wyjęła z torby tasak i trzymała go mocno nad głową, w każdej chwili gotowa użyć narzędzia w samoobronie. Chciała mu pokazać, że się nie boi, że nie ustąpi ani o krok.

Oczekiwała jego ataku w każdej chwili i zdziwiła się, gdy nic takiego się nie stało. „Pewnie się boi”, pomyślała.

Nagle powietrze rozdarł potworny huk. Usłyszała przenikające dreszczem skrobanie metalu o drewno i silne uderzenia, którymi łom wbijał się w zabytkowy stół Duncan Phyfe. Ból ranionego mebla zdawał się przenikać jej własne ciało. Pod osłoną ciemności wycofała się z jadalni i cichutko poszła na górę do pokoju Josha.

Tam ukryła się w szafie. Torbę trzymała w jednej ręce, obnażony tasak w drugiej. Bicie serca częściowo zagłuszało dochodzący z dołu odgłos niszczycielskiej działalności Olivera.

Rozdział 28

Oliver długo leżał na podłodze w swoim pokoju starając się odzyskać poczucie czasu. Celowo odwlekał tę chwilę, bo powrót do realiów oznaczał ból i cierpienie. Teraz czas stał w miejscu i Oliver mógłby tak leżeć przez całą wieczność, pogrążyć się w błogim niebycie.

W pokoju robiło się na przemian ciemno i widno. Nie był w stanie przypomnieć sobie, ile już minęło wschodów i zachodów słońca. To byłaby katastrofa – powrót do rzeczywistości. Leżał w kałuży cuchnącego potu. Odkrycie tego faktu zaniepokoiło go, było bowiem sygnałem odzyskiwania orientacji w przestrzeni. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zdoła umknąć w świat zapomnienia, otworzył oczy.

Był dzień, nie wiedział jaki. Postanowił wytrwać w tej niewiedzy. W pokoju wały się puste butelki po winie. Gdy ruchem nogi poruszył je niechcący, potoczyły się uderzając jedna o drugą. Brzęk szkła przypomniał mu o pragnieniu. Na czworakach zaczął szukać wina.

Kiedy znalazł pełną butelkę, przykucnął. Korkociągu nigdzie nie było, więc rozbił szyjkę o podłogę i wlał sobie trochę wina do gardła. Reszta połała się po jego brodzie i obnażonym torsie. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby stwierdzić jakie to wino. Mogło być czerwone lub białe. Podniebienie miał całkiem nieczułe, nie rozróżniał smaku.

Odzyskawszy nieco sił, chwycił za poręcz łóżka i wstał. Zemdliło go, poczuł zawrót głowy. Poczucie czasu dobijało

się do jego świadomości. Nie było przed nim ucieczki.

Usłyszał jakieś bliżej nie określone dźwięki. Powiedział sobie, że to dom – jego sojusznik w prowadzonej wojnie – próbuje nawiązać z nim łączność. Coś zatrzeszczało w oddali, potem nastąpiły odgłosy uderzeń. Tak, na pewno dom miał dla niego ważną wiadomość. Te ściany również cierpiały i pałały żądzą odwetu.

Świadomość, że martwe "przedmioty są zupełnie bezbronne, pomogła mu odzyskać równowagę. Wiedział już, gdzie jest, i nagle zdał sobie sprawę, że dotąd nie słyszał bicia zegara. Zapomniał go nakręcać. Na szczęście łatwo było przywrócić życie zegarowi.

Chociaż terażniejszość już zaistniała, przeszłość ostatnich kilku dni była pogrążona w mroku. Jak przez mgłę przypomniał sobie to, co wydarzyło się do chwili obecnej, jakby puszczał wstecz filmową taśmę. Szukał Barbary. Sprawdził kuchnię, cieplarnię, garaż, następnie powyrywał stopnie tylnych schodów, żeby uniemożliwić jej ucieczkę na wypadek, gdyby jeszcze była w środku. Następnie przeczesał teren wokół domu i wszedł z powrotem frontowym wejściem. Przyszło mu do głowy, że ona może być na poddaszu, więc ruszył pędem na górę. Zapomniawszy o zastawionej przez siebie pułapce, spróbował wbiec po schodach na ostatnie piętro. Przewrócił się już na drugim stopniu. Sam uczynił poddasze niedostępnym.

Mimo, że pułapka była jego własnym dziełem, wzmógł uwagę. Jeśli Barbara zrobiła z Benny'ego pasztet, to była w stanie zrobić wszystko. Dosłownie. A gdyby on też został usunięty z drogi, kto wtedy zajmowałby się domem?

Jednego wieczoru usłyszał okrzyki bólu i zszedł na dół. Z okna cieplarni zobaczył w ogrodzie jakąś biegnącą znajomą postać. Anna, Te pułapki zastawił na Barbarę, a nie na Annę. I cieszył się, że udało się jej uniknąć wypadku.

Przypomniawszy sobie, że właśnie wtedy wrócił do pokoju i zapadł w letarg. Barbara musiała być gdzieś w domu, tego był pewien. Żyła jak szczur, chowając się po różnych dziurach i zakamarkach. Musiał ją wykurzyć, ale ostrożnie i sprytnie. Bez ryzyka.

Leżąc obmyślał plan. Za oknem robiło się ciemno. Na stoliku obok łóżka znalazł na wpół wypaloną świecę, którą teraz zapalił. Migotliwe żółte światło działało uspokajająco. Poczul się bezpieczniej, odzyskał pełną jasność myśli.

Zjadł trochę czerstwego chleba i popił winem. Trzymając świeczkę i łom, powoli otworzył drzwi. Uderzył nogą jakiś przedmiot, chwilę potem rozległ się chrzęst. Schylił się i zobaczył rozbitą porcelanową figurkę – Garibaldiego. Należała do jego ulubionych. Dusząc w sobie jęk uniósł świecę. W jej świetle dojrzał znajome pismo. Barbara przestała używać papieru, lecz pisała szminką bezpośrednio na drzwiach.

„Codziennie rozbiję kilka z nich”, odczytał.

Nie pozwolił sobie na najmniejszy emocjonalny odruch. Skoncentrował się na tym, co miał do zrobienia. Wziął potrzebne narzędzia i pozdejmował z zawiasów wszystkie drzwi, z wyjątkiem frontowych i swoich własnych. Ustawił je w taki sposób, że upadłyby przy najdrobniejszym ruchu, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Potem zabrał się za meble: luzował blokady i sworznie, podcinał nóżki, przechylał

sprzęty tak, że nawet lekkie dotknięcie spowodowałoby ich upadek.

Jadalnię zostawił w spokoju, bo i tak była w oplakanym stanie, chociaż nie mógł się oprzeć przyjemności, z jaką obejrzał napis „DZIWKI” wryty łomem na stole. W kuchni zabawił trochę dłużej. Obluzował kołki, na których wisiały garnki i rondle, tak że trzymały się jak na włosku. To samo zrobił z szafkami i drzwiami kredensów. Pracował spokojnie, metodycznie, skoncentrowany na wykonywanych czynnościach i udało mu się odegnąć na jakiś czas niepożądane myśli.

Wkrótce świeczka się wypaliła, ale na zewnątrz już rodził się nowy dzień. Wdzięczny naturze za światło, Oliver zabrał z kuchni najcięższe żelazne gary i ustawił je u szczytu schodów na pierwszym piętrze. Inne wetknął w podstopnice.

Pracując teraz ze zdwojoną energią, obluzował wijącą się poręcz schodów, potem częściowo usunął gwoździe mocujące chodnik do podstopnic. Lekkie dotknięcie poręczy spowodowałoby teraz obsunięcie się jej wraz z chodnikiem.

Zegar stanowił oddzielne zadanie. Pomajstrował trochę przy wahadle, tak aby przy każdym wahnięciu uderzało w drewnianą ściankę szafki. Zmienił też ustawienie mechanizmu wybijającego godziny na bardziej donośne i świdrujące dźwięki. Potem jeszcze obluzował haczyki, na których wisiały obrazy w bibliotece i salonie.

To, co robił, sprawiało mu dużo radości. Wyobrażał sobie zniszczenia, jakie wywoła nawet najdrobniejsza wibracja. Jeden wypadek pociągnie za sobą następny – zacznie się lawinowa reakcja jak eksplozja w fabryce fajerwerków. Na tę

myśl poczuł się trochę mniej pewnie. Z maksymalną ostrożnością wszedł na górę do swojego pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozejrzał się za czymś do picia i znalazł jeszcze dwie butelki Dom Perignon rocznik '69. Mimo że szampan był ciepły, otworzył go. Korek wyskoczył z charakterystycznym dźwiękiem, a piana wydostała się na zewnątrz. Wypił trochę, resztę wylał sobie na głowę, jak to robią niektórzy sportowcy dla uczczenia zwycięstwa.

„Ale ja jeszcze nie zwyciężyłem”, zreflektował się.

Jeszcze nie. Postanowił zachować drugą butelkę na ostateczne zwycięstwo.

Rozdział 29

Barbara słyszała, jak Oliver porusza się po domu. Spoczywała na prowizorycznym pościeli wykonanym z waty izolacyjnej ułożonej warstwami w rogu poddasza. Stojące powietrze było tak nagrzane, że Barbara rozebrała się do samej bielizny. Obok leżała płócienna torba zawierająca cały jej ruchomy dobytek.

W ciągu ostatnich dni i nocy kilkakrotnie zmieniała kryjówkę, przechodząc ostrożnie, na palcach z miejsca na miejsce.

Ruch, który słyszała na dole, był czymś nowym. Raz, gdy Oliver chrapał z regularnością zabiego rechotu, zrobiła krótki wypad. Zeszła do biblioteki, skąd zabrała kilka porcelanowych figurek, a jedną z nich – Garibaldiego – rozbiła i rozsypała skorupy przed zamkniętymi drzwiami Olivera. Potem spokojnie napisała szminką ostrzeżenie.

Z kolei weszła do sypialni po jakieś świeże ubrania. Panował tam straszliwy smród psującej się żywności. Zatkąła nos. Wszystko w pokoju, łącznie z ułożonymi w szafach ubraniami, było przesiąknięte nieznośnym zapachem.

Wyostrzony instynkt samozachowawczy podpowiedział jej, że ktoś obserwuje dom. Spojrzała przez szparę w zasłonach i ujrzała Annę siedzącą pod drzewem po drugiej stronie ulicy. Nie rozpoznała jej od razu, bo cała przeszłość była już zamkniętym rozdziałem życia. Kim była Anna?

Przypomniła sobie, że to wróg. Odgrodziła się od zewnętrznego świata zamykając okiennice.

•Wróciła na górę, siadając po kolei na każdym schodku i trzymając się przy tym ściany. Cieszyło ją, że w ten sposób uniknęła podstępnej pułapki. Zresztą dawała sobie doskonale radę również przy innych okazjach, a nawet sama zastawiła na Olivera sidła. Zdecydowała, że jej główną bronią będzie nieustępliwość, że wytrwa do końca.

On wcale nie usiłował zachowywać się cicho, więc Barbara wydostała się ze strychu przez kwadratowy otwór w podłodze do małego składziku na tyłach domu. Czołgając się do schodów nasłuchiwała odgłosów z dołu, próbowała odgadnąć, gdzie jest i co robi. Majstrował coś przy drzwiach i meblach. Słyszała, jak wszedł do kuchni, potem do hallu i w końcu ruszył na górę.

Miała tak wyczulony słuch, że bez trudu potrafiła stwierdzić, gdzie Oliver jest w danej chwili. Wspięła się i z kocią zręcznością wdrapała z powrotem na strych, dumna ze swojej fizycznej sprawności. Położyła się wzdłuż otworu i wciąż nasłuchiwała. Oliver stawiał pułapki, robił wymyślne przeszkody, tworzył nowe niebezpieczne miejsca. To ją rozbawiło. Czyżby nie wiedział, że dom jest jej sprzymierzeńcem? Nic, co on wymyśli, nie będzie mogło wyrządzić jej krzywdy. Oliver jest głupcem, jeśli tego nie rozumie.

W jej wyobraźni każdy nowy dźwięk oznaczał jakąś nową pułapkę, którą na nią zastawiał. Była jednak pewna, że wie, co i gdzie robi Oliver. Sama miała w zanadrzu kilka sztuczek.

Na poddaszu było straszliwie gorąco. Jedyne światło docierało przez osłonięte atrapami otwory wentylacyjne. Barbara posuwała się na czworakach, niosąc na ramieniu

płócienną torbę. Pętlą ze sznura, na której wisiał tasak, opasała się wokół tułowia. Broń wisiała na jej piersi niczym łuk.

Kiedyś była już na strychu. Jeden raz, przed laty, gdy robotnicy montowali zaczep do żyrandola. Inżynier powiedział, że główna krokiew musi być wzmocniona, aby mogła bezpiecznie dźwigać nowy ciężar, dlatego przymocowano na niej dodatkowe grube belki.

Barbara znalazła miejsce, gdzie łańcuch żyrandola tkwił przybity hakami do drewna. Przypomniała sobie, że robotnicy byli bardzo dumni z wykonanej pracy. Mieli do tego prawo. Żyrandolowi nie groził upadek ani przesunięcie, co było naprawdę imponujące, zważywszy, że wisiał na łańcuchu przechodzącym przez wszystkie kondygnacje domu.

Uderzyła tasakiem w belkę, ale okazało się, że czeka ją ciężkie zadanie. Bardziej przydatna byłaby siekiera. Barbara dość szybko się zmęczyła i musiała co chwilę odpoczywać. Chciała osłabić zamocowanie żyrandola, tak na wszelki wypadek. To może się okazać groźną bronią. Przecież Oliver także nie żałował energii na zastawianie perfidnych pułapek.

Po godzinie wyteżonej pracy Barbara położyła się i leżała dopóty, dopóki nie odzyskała sił.

Było już ciemno, kiedy ponownie opuściła strych przez otwór w podłodze. Usłyszała, jak Oliver zamykał drzwi swojego pokoju: znak, że mogła bezpiecznie wyjść z kryjówki. Wyciągniętymi przed siebie rękami badała drogę. Drzwi do komórki wydały się jej inne niż zwykle i zaraz odkryła, że nie wisiały na zawiasach. Otworzyła je

powolutku i wymknęła się na zewnątrz. Czy on naprawdę sądził, że ten dom wyrządzi jej krzywdę? Ani teraz, ani nigdy.

Ruszyła dalej na czworakach z wyciągniętą ręką, jak saper z wykrywaczem min. Podłoga była śliska. Barbara stwierdziła, że Oliver poluzował chodnik pokrywający schody, więc położyła się na plecach, wolno zjechała na dół i wylądowała łagodnie. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, spostrzegła jakieś dziwne przedmioty u szczytu schodów na pierwszym piętrze. Była już tak przyzwyczajona do wyteżania uwagi, iż najdrobniejsza zmiana od razu obudziła jej czujność. Delikatne dotknięcie wystarczyło do odkrycia, że poręcz schodów jest obluzowana.

Dumna ze swojej przenikliwości i sprytu ruszyła w kierunku drzwi prowadzących na tylne schody. Oliver wyjął umieszczony tam wcześniej klin, aby zdjęte z zawiasów drzwi od razu wypadły z futryny, lecz Barbara była na to przygotowana. Stosując tę samą metodę co poprzednio, zjechała na plecach. Przeszkody, które umieścił co parę kroków, były łatwe do ominięcia. Doczołgała się do biblioteki. Ostrożnie zabrała z kominka kilka porcelanowych figurek, włożyła je do torby i wycofała się tą samą drogą, unikając znanych już sobie pułapek.

Wspięła się na górę tylnymi schodami jak alpinistka, coraz to wbijając tasak w ścianę domu i podciągając się przy jego pomocy o kilkadziesiąt centymetrów. „Z każdej sytuacji można znaleźć jakieś wyjście”, powiedziała sobie. Z politowaniem myślała o wysiłkach Olivera, który zdecydowanie nie docenił jej sprytu i przenikliwości.

Kiedy znalazła się przy jego pokoju, wyjęła z torby dwie figurki przedstawiające Napoleona, tasakiem obcięła im głowy i ustawiła je na podłodze dokładnie przed drzwiami.

„Skazani na ścięcie”, napisała szminką na drzwiach. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Potem wycofała się szybko i tylnymi schodami dotarła na górę i dalej do kryjówki na strychu.

Leżała ignorując upał, który wyciskał jej ostatnie poty, ignorując niewygodę i zmęczenie. Czuła tylko jedno: radość z wyprowadzenia Olivera w pole. Jej ciało też udzieliło się emocjonalne podniecenie, drżała jakby właśnie doznała orgazmu. Miała twarde sterczące sutki i wilgotne krocze.

Była teraz sobą. Tak, to właśnie ona, Barbara, niezależna, walcząca o przetrwanie w pełnej niebezpieczeństw dżungli.

Rozdział 30

Straszne przeżycia zupełnie rozkleił Annę. Leżała w łóżku słuchając przerywanego stukotem szumu zepsutego klimatyzatora, który pracował jakby w duecie z jej własnym sercem. Wciąż zadawała sobie pytanie: Czy miała obowiązek powiadomić kogoś o tym, co się dzieje w domu Rose'ów? Lecz w gruncie rzeczy, co mogła o tym powiedzieć? Wszystko, co wiedziała, nie trzymało się kupy. A co naprawdę dzieje się w tym domu? Wyobrażała sobie rozmowę z policjantami w jakimś obskurnym pokoju.

– Myślę, że oni próbują pozabijać się nawzajem.

– Skąd pani o tym wie?

– Byłam w środku. Cały dom jest pełen niebezpiecznych pułapek.

– A co pani tam robiła?

Nie bała się żadnych oskarżeń. Może gdyby rozmawiała z Oliverem, dotykała go... Ale czy ten podobny do żywego trupa człowiek, którego widziała, był Oliverem? Na pewno nie tym Oliverem, jakiego znała i kochała. Kochała? Przestraszyła się tego słowa.

Mimo wszystko bardziej od Olivera przerażał ją sam dom. On żył, był jakimś strasznym i groźnym potworem. Wspomnienie brutalności, z jaką się tam zetknęła, przypomniał jej cielesne kary z okresu dzieciństwa. Nienawiść Olivera i Barbary tchnęła życie w dom, który stał się dziką bestią. Ogarnęło ją obrzydzenie. Znalazła w sobie dość siły, żeby wstać.

Nie mogła usiedzieć w pokoju. Ubrała się i zeszła na dół, gdzie na biurku znalazła wiadomość od Ewy: „Proszę, zadzwoń do mnie najszybciej, jak tylko możesz”.

Było jeszcze bardzo wcześnie, ale zatelefonowała. Kierownik obozu nie ukrywał oburzenia i nie chciał poprosić Ewy do czasu, gdy dowiedział się, że chodzi o sprawę życia i śmierci.

– Już od trzech tygodni nie mam od nich wiadomości – krzyknęła histerycznie Ewa. – Boję się, Anno. Josh też ledwo się trzyma. Oboje jesteśmy na granicy wytrzymałości.

– Pewnie są jeszcze na wakacjach.

– Nie wierzę. Dlaczego odłączono telefon w naszym domu? Wysłałam im nawet telegram, który wrócił do mnie z pieczątką: „ADRESAT NIEOBECNY”. Ale moje listy nie wracają.

– No właśnie – powiedziała odważnie Anna. – Nie zostawili adresu, na jaki trzeba kierować do nich korespondencję. To znaczy, że niedługo wrócą.

– Zadzwońłam do dziadków. Jednych i drugich. Oni też nic nie wiedzą i też bardzo się martwią.

– Naprawdę nie ma powodów. Po prostu zdecydowali się odpocząć od siebie i wyjechali, każde w swoją stronę.

– Przepraszam cię, Anno ale ja w to nie wierzę. – Anna wiedziała, że jej słowom brak przekonania i siły perswazji. – Zamierzam wrócić do domu i sama wszystko sprawdzić – podjęła Ewa.

– To przecież nonsens – wybełkotała przerażona Anna.

– No więc dlaczego oni nie dzwonią? I nie piszą? Mogą się nawzajem nie lubić, ale przecież jesteśmy ich dziećmi. –

Zaczęła płakać, w jej głosie wyraźnie brzmiała panika.

Anna z trudem powstrzymywała się od podobnej reakcji. W myślach błagała ich, żeby nie przyjeżdżali.

– Zawrzyjmy umowę – powiedziała prędko. – Dowiem się, gdzie oni są i powiem, żeby natychmiast do was zatelefonowali, bo bardzo się o nich martwię. Oddzwonię do ciebie wieczorem, obiecuję. – Potrzebowała czasu, aby rozważyć sytuację i musiała ich zatrzymać z dala od tego potwornego domu.

W słuchawce rozlegało się ciche pochlipywanie Ewy. To nie były żarty – dziewczyna naprawdę cierpiała. Anna bardzo chciała ją objąć, pocieszyć.

– Dobrze – odezwała się w końcu Ewa. W tonie jej głosu brzmiało ultimatum.

– Tylko nie róbcie żadnych głupstw – ostrzegła Anna i natychmiast pożałowała tej przezorności, bo Ewa mogła odgadnąć, że jakieś nieszczęście wisiało w powietrzu. – Bardzo cię proszę – dodała.

– Będę czekała na twój telefon – powiedziała Ewa, która chyba trochę ochłonęła.

Anna przez kilka chwil stała w kabinie. Dygotała ze zdenerwowania. Bała się wrócić do domu Rose'ów.

Szła pod prąd fali pieszych, którzy o tej porze spieszyli się do pracy. Nie oglądając się na boki przechodziła przez jezdnie pośród trąbienia gwałtownie hamujących pojazdów.

Nie miała żadnego planu. Zastanawiała się, czy nie zawiadomić policji, ale może nie miała prawa wtrącać się w cudze sprawy. W głowie miała zupełny chaos. Wiedziała tylko jedno: już więcej nie wejdzie do tego domu.

Jego wygląd nie uległ zmianie. Biała fasada i czarne okiennice błyszczały w promieniach słońca. Drżącą dłonią ujęła kołatkę i zastukała głośno. Serce biło jej mocno. Tak jak przedtem w środku panowała cisza. Anna przyrzekła sobie, że tym razem będzie czekała do skutku. Uderzała w drzwi rytmicznym staccato. Prędzej czy później muszą je otworzyć.

Po dwudziestu minutach zostawiła kołatkę w spokoju i zaczęła walić w drzwi pięściami.

– Otwórzcie! – zawołała. – Chodzi o wasze dzieci! Otwórzcie mi!

Jej głos wkrótce zmienił barwę i przeszedł w rozdzierający wrzask. Nikt z sąsiadów nie reagował, dookoła było cicho i spokojnie. Tutejsi mieszkańcy nie wtykali nosa w nic swoje sprawy. Każdy mieszkał w domu odgrodzonym od świata wysokim murem lub płotem. Zresztą wiele osób z pewnością wyjechało na wakacje. Tylko gdzieniegdzie szumiały cicho klimatyzatory, ludzie żyli zamknięci we własnych domach, nieświadomi rozgrywających się u ich boku dramatów. Pomyślała, że bogaci nie potrafią chyba żyć ze sobą w prawdziwej przyjaźni, okazywać pełnego troski zainteresowania kłopotami innych. Każdy z tych domów był jak okręt wojenny, którego załoga zdążała w sobie tylko znanym kierunku.

Anna nieustępliwie uderzała w drzwi. Jej dłoń zeszywniała z bólu.

– Wiem, że tam jesteście! – krzyknęła.

Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Uniosła wzrok i zobaczyła jego twarz między zasłonami w oknie na piętrze.

Chroniąc oczy przed słońcem cofnęła się kilka kroków.

– Oliver! – zawołała ułożywszy dłonie w trąbkę. Widziała, jak stoi nieruchomo w cieniu. – Oliver!

Podszedł do okna. Wygląd jego twarzy przeraził ją. Miał nienaturalnie błyszczące oczy, zapadnięte policzki, był blady i nieogolony.

– Musisz zadzwonić do dzieci!

Oliver patrzył na nią tępo, obojętnie.

– Twoje dzieci! – krzyknęła jeszcze raz.

Jego twarz pozostała nieruchoma.

– To ja, Anna! – krzyknęła. Czowała się głupio.

Powoli skinął głową. Co tam się działo? Oliver wyglądał jak upiór w domu, w którym straszy. Anna wydała zduszony jęk, gdy zobaczyła twarz Barbary w oknie na ostatnim piętrze. Uśmiechała się z zadowoleniem. Jej wygląd też uległ zmianie: włosy miała w nieładzie, policzki przybrały szarą barwę i utraciły dawną krągłość.

– Musicie zadzwonić do dzieci! – zawołała jeszcze raz Anna z nadzieją, że oboje ją usłyszą. Zdumiona patrzyła, jak Barbara potakująco kiwa głową. „Dlaczego muszę ich o to prosić? – pomyślała Anna. – Ewa i Josh to przecież ich własne dzieci”. Ta obojętność oburzała ją. Oliver wciąż patrzył na nią z twarzą, która nie wyrażała żadnego uczucia, żadnej myśli. Po chwili podniósł do ust butelkę i pociągnął łyk wina. „Kim oni są naprawdę?”, zastanawiała się Anna.

– Rozumiecie? – zawołała.

Barbara wciąż potakiwała jak zabawka, której zawieszona na haczyku głowa kołysze się miarowo. Oliver znowu napił się wina, patrząc na nią obojętnie. Anna czuła się bezsilna.

Przypomniała sobie, jak wygląda wnętrze domu i aż zadrżała z niepokoju.

Na zewnątrz wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Szczęśliwy dom. Chciała, żeby zawalił się w gruzy jak ściany Jerycha. Krył w sobie straszliwą tajemnicę. Jego czysta biała fasada miała jakiś nieprzyjemny, niemal arogancki wygląd, przypominający jej domy arystokracji. Odwróciła się z niesmakiem i ruszyła do furtki. Kiedy odchyliła głowę, żeby spojrzeć na dom po raz ostatni, Olivera i Barbary już nie było widać. Anna powiedziała sobie, że zrobiła, co do niej należało. Nie chciała więcej widzieć ani jego, ani jej, nie chciała też do końca życia oglądać tego domu.

* * *

Długo spacerowała ulicami usiłując zrozumieć to, co widziała. Człowiek w oknie nie był tym mężczyzną, którego kochała. Przypominając sobie jego koszmarny wygląd odrzuciła myśl, że po prostu wpadł w alkoholizm. To było coś znacznie gorszego. I Barbara, sprawiająca wrażenie bardzo zadowolonej, prawie szczęśliwej. Też był jakaś odurzona, odcięta od rzeczywistości.

Anna szła Dwudziestą Pierwszą Ulicą, ominęła Washington Circle, skierowała się do Mauzoleum Lincolna i dalej przez most drogą obok rowerowej alejki w pobliżu Pentagonu. „Co dobrego przynosi majątek? Lepiej nie mieć w ogóle nic. Posiadane rzeczy mają w sobie jakąś niszczycielską moc, a w porównaniu z godnością ludzką są nic nie znaczącą dekoracją życia”. Jej własne ubóstwo

wydobyło z niej pierwotne odruchy niesienia pomocy innym. Postanowiła, że nie będzie bogata. A jeśli chodzi o miłość... Cóż, może Barbara miała jednak rację. Powiedziała kiedyś Annie, że miłość kłamie. Ale kłamie komu?

Była tak bardzo zaabsorbowana swoimi myślami, że nawet nie zauważyła, kiedy zaszło słońce. Zapadające ciemności przypomniały jej o obiecany telefon do Ewy. Zaczęła szukać automatu. Ktoś powiedział jej, że telefon jest przy tej samej ulicy. Był jednak znacznie dalej niż się spodziewała i gdy do niego dotarła, było już zupełnie ciemno. Nie miała przy sobie drobnych, musiała więc przejść na drugą stronę autostrady, gdzie w motelu „Marriott” rozmieniono jej dolarowy banknot.

Czekała niecierpliwie, aż Ewa podejdzie do telefonu. W końcu usłyszała czyjś obcy głos.

– Ewa wyjechała – powiedział ktoś szeptem.

– Wyjechała?

– Razem z Joshem. – Po chwili dziewczęcy głos spytał nieśmiało: – Czy to Anna?

– Tak.

– Jestem Kathy, przyjaciółka Ewy. Nikt tu jeszcze nie wie, że ona wyjechała. Powiedziała mi, że zadzwoni do ciebie, kiedy przyjedzie do domu.

– Co takiego? – Anna z trudem nabrała powietrze.

– Martwiła się o rodziców i zabrała Josha do domu.

Pojechali autobusem o pierwszej.

– Kiedy będą w Waszyngtonie?

– Około ósmej.

– Dlaczego nie zaczekała na mój telefon?

– Nie mogła już tego znieść. Powiedziała, że musi sama sprawdzić, co się dzieje. Każdej nocy przed zaśnięciem płakała.

– Idioci – krzyknęła Anna do słuchawki. Kathy nabrała gwałtownie powietrza. – Nie ty – zapewniła ją Anna, po czym szybko podziękowała i skończyła rozmowę. Spojrzała na zegarek. Było prawie wpół do dziewiątej.

Wybiegła przed motel i przywołała taksówkę.

– Musi pan pobić rekord trasy – powiedziała kierowcy. – Błagam pana.

Rozdział 31

Oliver na czworakach przedzierał się przez ogarnięty ciemnością las pustych butelek. Wszystkie świeczki już się wypaliły, nie miał też więcej zapalek. Od czasu do czasu znajdował butelkę z kilkoma kroplami wina, ale nigdy nie było go tyle, żeby mógł wypić porządny łyk.

Jego frustracja przeradzała się niekiedy w agresję. Brał wtedy pustą butelkę i rozbijał o ścianę. Już parę razy ostre kawałki szkła wbijały się w jego ciało, gdy czołgał się po omacku. Teraz ból fizyczny nie miał już dla niego znaczenia. W końcu udało mu się znaleźć pełną butelkę. Odkorkował ją i napił się wina. Było bez smaku, ale Oliver wcale na to nie zważał.

Myślał tylko o jednym: o dokończeniu swojej misji. Musi wykurzyć Barbarę z domu. Reszta się nie liczyła. Przypomniawszy sobie młodą kobietę, która stała przed ich domem. Tak. Pamiętał ją. Była pełna ciepła, miała delikatne ciało, jakby stworzone do miłości. Przez chwilę poczuł tęsknotę za czymś, co bezpowrotnie stracił, o czym już zdążył zapomnieć. Jednak w tej chwili jego umysł był tak zaprogramowany, że odrzucał podobne myśli. Najważniejsze to ustalić, gdzie znajduje się Barbara.

Słyszał, jak ona przedziera się przez dżunglę, którą stał się ich dom. Nie był tylko pewien, czy dźwięki są wytworem jego wyobraźni, czy też dochodzą naprawdę. Najpierw sądził, że dobiega go odgłos cichych kroków Mercedes. Takie skradanie się było przecież typowe dla kotów. W chwilę

potem przed oczami stanął mu obraz niezwyłego zwierzęcia. Mercedes już nie ma. Nie ma też Benny'ego. Na wspomnienie psa poczuł w ustach kwaskowaty smak *pate*. Przełknął ślinę.

Nasłuchiwał uważnie, a każdy dźwięk tworzył w wyobraźni nowe wizje. Do tej pory Barbara sprytnie unikała zastawionych na nią pułapek. Prędzej czy później powinie się jej noga, a wtedy nastąpi niszczycielska reakcja łańcuchowa. To tylko kwestia czasu.

Pijąc wino zdawał sobie sprawę, że próbuje w ten sposób uciec w krainę zapomnienia. Rozsądek był jego wrogiem tak samo jak miłość i poświęcenie. Rozsądek osłabiał wolę. Oliver rozsunął zasłony i ponownie spojrzął na ulicę. Było ciemno. Przypomniał sobie, że kobieta, która była tu wcześniej, krzyczała coś o dzieciach. Dzieci? Wojna między nim i Barbarą to nie ich sprawa. Czyż Goldstein nie mówił mu, żeby nie wciągał w to dzieci?

– Idź precz! – zawołał patrząc na ulicę. – Idź precz! – powtórzył. Tym razem wołał do Barbary.

Z gąszcza kłębiących się myśli nagle wyłonił się obraz malutkiej dziewczynki. Nadeszła fala wspomnień. Cierpiał, gdy bezbronne dziecko płakało, za wszelką cenę chciał tego uniknąć. On, ojciec. Kiedyś wyjaśnił to Barbarze: rodzice winni są dać dziecku ciepło, schronienie, poczucie bezpieczeństwa. Ona protestowała, miała pretensje, że Oliver psuje córkę, lecz kupili większe łóżko, aby znalazło się w nim miejsce także dla maleństwa. Kładli je między sobą, gdzie było mu cudownie, gdzie czuło ich miłość. „Teraz jest bezpieczna”, powiedział wtedy Barbarze.

Potem urodził się Josh, chłopiec, jakiego sobie wymarzył, jakiego oboje sobie wymarzyli. Oliver powiedział wtedy, że stanowią już pełną rodzinę. Barbara zgodziła się z nim, tak mu się przynajmniej zdawało. Wszyscy istnieli w jego myślach jako obrazy: ich czworo na tle całego świata. Mąż, żona, syn i córka. Rodzina.

Zbudował twierdzę, żeby ich chronić – ten dom.

„Nic już dla mnie nie znaczysz”, powiedziała mu, jakby rzuciła pierwszą garstkę ziemi na jego trumnę.

„Mogłaś mi to powiedzieć wcześniej, zanim stworzyłem dla nas to wszystko”. Być może tak właśnie jej odpowiedział. Nie był pewien. Wydobył z pamięci strzępy rozmów.

„Nie wiedziałam”.

„Nie wiedziałaś?”

„Byłam zaślepiona miłością”.

„Zaślepiona? Czy miłość jest ślepa?”

„Tak. ”

„Wobec tego mnie też zaślepiła – pomyślał. – Jak ona może odbierać mi całe życie? Moją rodzinę?”

Wiedział jedno: dom należał do niego. Ona nigdy go nie dostanie. Nigdy. Nigdy. Nigdy.

Wciąż drapał się czując dokuczliwe swędzenie. Nagle ciszę przerwały nowe dźwięki: pisk opon, szum silnika samochodu. Wyjrzał spomiędzy zasłon. Na dole zamajaczył mu kształt taksówki, z której wysiadły dwie dziwnie znajome postacie: chłopiec i dziewczyna. Stali i patrzyli na dom. Oliver otworzył usta, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów. Zsunąwszy zasłony cofał się w głąb ciemnego pokoju i nagle potracił jedną z butelek, tracąc przy tym równowagę.

Oparł się o ścianę, potem przyklęknął w kącie. Miał nadzieję, że dzieci odejdą. Patrząc w górę zaczął się modlić. Sam nie wiedział, do kogo.

– Boże, pomóż mi – szepnął próbując wstać. Coś zatrzymywało go w miejscu, nie pozwalało opuścić bezpiecznego schronienia. Po chwili usłyszał natarczywe, rytmiczne stukanie kołatki w drzwi. Kiedy przebrzmiał dźwięk gongu, Oliver wciąż tkwił w tym samym miejscu. „Może jednak sobie pójdą?” Podniósł się z klęczek i nasłuchiwał.

W domu było cicho, lecz nagle rozbrzmiały głosy dzieci:

– Mamo! Tato! To my!

„Kim oni są?”, pomyślał.

Znowu zaczęli pukać, co zagłuszyło ich wołanie. Potem Oliver usłyszał jakieś szepty, a wreszcie metaliczny szczęk. To, czego obawiał się najbardziej, stało się faktem. Ktoś otwierał frontowe drzwi.

Oliver wyskoczył gwałtownie z pokoju, lecz od razu potknął się o stojące w korytarzu rozbite figurki. Stracił równowagę i upadł. Przez mosiężne pręty balustrady zobaczył otwierające się drzwi, a w chwilę później dobiegły go przerażone okrzyki dzieci, które przewracały się na śliskiej podłodze hallu próbując dojść do schodów.

– Cofnijcie się! – wyrzucił z siebie. Jego słowa zginęły w hałasie, spowodowanym przez dzieci, które wciąż szły naprzód.

– Cofnijcie się! Błagam was!

To nie był jego głos. Barbara. Zobaczył ją, jak stała piętro wyżej u szczytu schodów. Przerażona patrzyła w dół.

– Mamo! Mamo!

Dzieci krzyczały jedno przez drugie. Dojrawszy ją ruszyły naprzód, dla utrzymania równowagi chwyciły chodnik pokrywający schody, który natychmiast rozwinął się pociągając za sobą lawinę ciężkich garnków. Naczynia z brzękiem potoczyły się na dół. W tej samej chwili zegar w hallu zaczął wybijać godzinę, wypełniając dom wibrującym, przenikliwym dźwiękiem. Obrazy spadły ze ścian. Ewa i Josh tuląc się do siebie cudem uniknęli bombardowania spadającymi garnkami.

– Cofnijcie się! – krzyknęła łamiącym się głosem owładnięta paniką Barbara. Przeniosła wzrok na Olivera i spojrzała błagalnie. – Ratuj je! To nasze dzieci!

Jej płacz wstrząsnął nim do głębi. Po raz pierwszy od początku tego koszmaru dostrzegł w Barbarze jej dawną opiekuńczość i delikatność.

– Nasze dzieci – powtórzył.

Desperacko próbował zebrać myśli. Czas nagle stanął w miejscu. Popatrzyli na siebie przez chwilę, która wydała się im wiecznością. Oliver odczuwał teraz to samo co przed laty w Chatham. Może to jeszcze nie umarło? Czy jej błagalne spojrzenie nie wyrażało tego, o czym marzył: że mają jeszcze szansę ułożyć sobie życie?

Ewa i Josh znowu ruszyli na górę. Zegar wciąż bił jak oszalala w całym domu przewracały się i spadały coraz to nowe przedmioty. I wtedy, ponad rumorem postępujących zniszczeń, rozległ się pełen przerażenia krzyk Barbary, odbijając się wielokrotnym echem w całym domu. Niechący podeszła zbyt blisko balustrady, która spadła na sam dół.

Barbara straciła równowagę i teraz wisiała dwa piętra nad podłogą trzymając się rozpaczliwie krawędzi schodów.

– Trzymaj się! – zawołał Oliver. – Już po ciebie idę. Cofnijcie się – krzyknął do dzieci. – Ja ją uratuję, tylko wyjdźcie z domu!

Ewa i Josh nieporadnie przesunęli się w kierunku • wyjścia, potem stanęli w otwartych drzwiach i z przerażeniem patrzyli na to, co się stanie.

– Trzymaj się, Barbaro! Jeszcze tylko chwilkę. Musisz wytrzymać.

Serce waliło mu jak młotem. Stanął przy krawędzi schodów i oceniwszy odległość dzielącą go od żyrandola skoczył chwytając łańcuch. Szybko wspiał się do miejsca, gdzie zawisała Barbara i zaczął kołysać żyrandolem. Wykorzystując wahadłowy ruch łańcucha zbliżał się coraz bardziej do krawędzi, której trzymała się Barbara. Wreszcie dosięgnął belki, mocno zacisnął na niej dłoń, a wolną rękę wyciągnął w stronę Barbary.

– Tylko spokojnie – usiłował chwycić ją za słabnące ramię.

– Nie dam rady – szepnęła.

– Dasz – powiedział twardo. Gdzieś na górze rozległ się trzask pękającego drewna, a żyrandol zachwiał się niepewnie.

– Uwolnij jedną dłoń i złap mnie za rękę!

Potrząsnęła głową.

– Nie, Oliverze – załkała histerycznie.

– Rób, co mówię!

Znowu pokręciła głową, lecz widać było, że jest u kresu sił i nie utrzyma się długo w tej pozycji. Nagle wyrzuciła w

jego kierunku rękę i objęła go przenosząc ciężar ciała na żyrandol. Trzask na górze powtórzył się, tym razem głośniej. Łańcuch obniżył się, wyraźnie zmienił położenie.

Oliver nawet nie zdążył spojrzeć. Poczul, jak żyrandol zaczyna spadać, a on i Barbara razem z nim. Zobaczył otwierającą się w suficie dziurę, jak podczas trzęsienia ziemi. Nie było czasu, żeby krzyknąć. Objął mocno Barbarę. Wszystko teraz spadało. Lecąc patrzył w górę i myślał, czy już wkrótce zobaczy niebo.

Rozdział 32

Anna usłyszała huk upadku w chwili, gdy taksówka ruszała od krawężnika. Nogi wrosły jej w ziemię. Z otwartych drzwi domu buchnęła chmura pyłu. Anna nie była w stanie wykonać kroku.

Zobaczyła dzieci, które stały patrząc na dom. Kurz osiadł na ich włosach, na twarzach i ubraniu. Wyglądały jak zjawy. Zawołała je po imieniu, a gdy się odwróciły, dostrzegła w ich oczach przerażenie. Łzy płynęły po ich zakurzonych twarzach, znacząc ślady cienkimi strużkami. Po chwili Ewa i Josh ruszyli w kierunku otwartych drzwi.

– Zaczekajcie – krzyknęła Anna biegnąc w ich stronę.

– Oni tam są – odkrzyknął Josh.

Anna podbiegła szybko i zagroziła im drogę. Z wnętrza domu dochodził odgłos przewracających się przedmiotów.

Mocno objęła histerycznie płaczące dzieci. Po pewnym czasie dźwięki w domu przycichły, w końcu zamarły. Anna odwróciła głowę i przez otwór w ścianie zobaczyła istne pobjowisko.

– Ja tam wejść – powiedziała łagodnie, lecz kiedy ruszyła, dzieci poszły za nią. Nie znalazła w sobie dość sił, żeby je zatrzymać. Stanąwszy przy drzwiach patrzyła na dzieło zniszczenia. To było potworne: zawalony dach, spaczone ściany, zegar, który leżał na boku z pękniętą tarczą. Wszędzie było pełno odłamków kryształu rozbitego żyrandola. Kurz i pył jeszcze nie opadły.

Anna weszła do środka mrużąc piekące oczy. Zaczęła

przeszukiwać rumowisko. Z tyłu usłyszała kroki płaczących dzieci.

– Mamo! Tato! – zawołała Ewa. – Dlaczego oni to zrobili?

Anna pokręciła głową. Nagle zobaczyła Olivera i Barbarę: ich nieruchome twarze zastygłe w przerażeniu, szeroko otwarte martwe oczy, ich ciała splecione w uścisku pod warstwą połamanych desek. Leżeli pokryci całunem białego pyłu. Anna poczuła skurcz gardła i odwróciła się. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z obecności dzieci.

Oboje przyglądali się rumowisku. Josh klęczał, a Ewa odsuwała kawałki drewna czubkiem buta. W lewej ręce trzymała jakiś znajomy przedmiot, porcelanową figurkę z czarną głową. Molineaux – o dziwo – nie był uszkodzony i jak zawsze trwał w tej samej pozycji z uniesionymi pięściami gotowy do walki.

Josh wstał uśmiechając się zwycięsko. Wylał o koszulę trzymaną w dłoni bliźniaczą figurkę i zdmuchnął z niej kurz. Anna spojrzała na Ewę, która szybko wyciągnęła rękę i chwyciła Cribba za tułów.

Przez moment oboje ciągnęli figurkę z równą siłą, po czym Josh złapał mocno podstawkę, na której stał Molineaux.

– On jest mój – zawołał.

– Mój – wrzasnęła Ewa.

Z głośnym trzaskiem, przypominającym strzał z pistoletu, obydwie figurki rozleciały się na kawałki. Anna patrzyła, jak zaskoczone dzieci przyglądają się pozostałym w ich rękach glinianym odłamkom.

Odwróciwszy się na pięcie ruszyła w stronę drzwi. Idąc wzbijała chmurki pyłu pod stopami.